

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZABEZPIECZANIE
ŚLADÓW

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984

ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 398

ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

ISBN 2-7168-0059-6

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1984

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Zasypie wszystko, zawieje..., 1973, wyczerpane

LIST

... To są już sprawy bardzo dawne. Dwadzieścia lat... Rozumiem Cię, zbieracza opowieści autentycznych, kolekcjonera detali tamtych wydarzeń, być może nawet nie dla zaspokojenia zwykłej ciekawości li tylko, choć trudno mi domyślić się, jak mógłbyś je spożytkować w kraju, gdzie obowiązuje prawo „zatarcia” całych połąci historii i gdzie w ogóle wszystko, co dotyczy okupacji sowieckiej i tego, co nam przyniosła, jest tabu...

Ale dwadzieścia lat, to dostateczny kawał czasu, żeby się odalić, stać innym człowiekiem (a starałem się „stać się” innym człowiekiem i nawet musiałem, aby osadzić mocno nogi na twardej gruncie tego „drugiego” świata, gdzie przecież sama manna nikomu nie spada z nieba), nie zrozum mnie opacznie...

Zresztą, czy nie sądzisz, że przeżycia, żeby nie wiem jak dramatyczne, po jakimś czasie, nawet bez zewnętrznego przymusu, też przyprósza niepamięć? Albo jeszcze inaczej: że świadomość ich się pozbywa, gdyż uciskałyby, gniotły, przeszkadzały egzystować normalnie? I że coś takiego być może ze mną się właśnie stało? Oczywiście, czasem tamto powraca jeszcze. Ale już, jak płynna magma, przemieszane, chaotyczne, albo w kawałkach jedynie, i mgliste, bez ostrych konturów, i również jak gdyby nie własne, ale zastyszane, albo w ogóle wymyślone. Tym bardziej (a nie wiem, czy to pojdziesz), że tu się nikomu o takich przeżyciach nie mówi. Bo albo nikt nie uwierzy, uzna za kłamcę, w lepszym przypadku koloryzatora (nas Polaków, z naszymi sprawami, mają tutaj i tak dość powszechnie za hochsztaplerów historii), albo będzie się go uważało za człowieka uprawiającego propagandę...

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie przyjadę na spotkanie.

Nawet gdybym miał zamiar się wymówić, nie przysłoby mi to łatwo. Moja żona, dla której rodzina to coś pełnego znaczenia, a której tyle zawsze opowiadałem o Tobie, nigdy by tego nie pojęła. Ale nie chcę się wymówić. To przecież niebywała okazja, skoro pierwszy raz jesteś na Zachodzie. Chciałbym Cię tylko nakłonić i z góry przekonać, żebyśmy sobie darowali „Polaków nocne rozmowy”, żebyśmy spotkali się po prostu, jak ludzie, których łączą więzy krwi i przyjaźni, a którzy po rozłące na przeszło dwa dziesięciolecia mają sobie tyle do powiedzenia o dzisiejszym swym życiu, że można by tamte wcześniejsze lata i sprawy zostawić w spokoju, w imię — czy ja wiem, czy nie wpadam w zbyt gładkie słowa — niezakłócania cmentarnej ciszy naszym zmarłym. Nie wiem zresztą, czy mógłbym i co mógłbym Ci o nich opowiedzieć, czy w ogóle potrafiłbym...

Przypuszczam przecież, że o niejednych sprawach możesz wiedzieć nawet więcej, niż ja. Chociażby przez fakt bliższego im miejsca zamieszkania. O śmierci naszej mamy ojciec Twój potrafił zebrać garść wiadomości jeszcze jesienią trzydziestego dwiętego roku. Bo ja, że wywieziono ją ze Lwowa pod koniec grudnia transportem do Horodni i że jednego etapu nawet nie przeżyła, bo w Horodni już jej nie było, dowiedziałem się dopiero od pewnej nauczycielki spotkanej na punkcie zbiorowym rodzin wojskowych, ewakuowanych do Persji w dwa lata później. Trzymali je w jednej celi na Zamarstynowie, tam mama ciężko chorowała, razem poszły do transportu. O czym miałbym Ci mówić? Jak mama gorączkowała? Że tamta kobieta zrobiła to, co właściwie my zrobić winniśmy byli, gdybyśmy tam wtedy z nią przebywali? Trzymała głowę mamy na swym ramieniu, trzymała mamy dłoń, wycierała jej z potu czoło, nawilżała jej spieczone usta i mówiła: Jestem, nie odeszłam, nie odejdę, niech pani będzie spokojna. Zanim ich nie rozdzielono, mamę przenosząc na jakimś postoju do innego wagonu. A wtedy mrozy były okrutne; zapewne została w jednym z tych zbiorowych dołów, które oni zapełniali ciałami przy torach, zatrzymując pociąg przed węzłowymi stacjami. Nawet nigdy nie dowiedziałem się, czy było to na naszej jeszcze, czy na obcej już ziemi. A że mój ojciec wcześniej słał list za listem na wszystkie znajome mu adresy, żeby ją nakłonić do wyjazdu z miasta, to Ci pisałem dawno. Również, że nie otrzymał żadnej odpowiedzi, bo aresztowali ją w pierwszych dniach października przy próbie przejścia nowej granicy na Sanie; myślę, że chciała dotrzeć do Ciebie i Twego ojca. Lecz jeżeli nawet o niejednych sprawach — tych rodzinnych — nie wiesz ode mnie więcej, to chyba nie wiesz mniej...

... Czy miałbym Ci opowiedzieć o mojej wędrowce z ojcem we wrześniu? Choć był na liście rezerwy, nie dostał już przydziału, więc starał się jak najprędzej dotrzeć w nasze strony, by tam być przydatny, i dlatego też już w pierwszych dniach znaleźliśmy się w tym tłumie uciekinierów na wschód. Znasz to wszystko: drogi pod bombami, pod obstrzałem maszynowej broni z góry, zapchane po brzegi zdeorientowanym tłumem... Może o tym odcinku naszej drogi na Kolusz i Halicz? Dziś już nie wiem, czy było to dwudziestego, czy dwudziestego pierwszego. Dołączyliśmy wcześniej do kilkudziesięciu żołnierzy, niedobitków jakiegoś pułku, prowadzonych przez oficera. Wyszliśmy właśnie z leśnej drogi na bity trakt. I wtedy spotkaliśmy po raz pierwszy tamtych, z tą czerwoną gwiazdą na czapkach, i nasi się bronili, i potem, gdy nas ogarnęli, pognali do zajętego już przez nich Buczacza...

... Czy też o tych wsiach wynurzających się z posępnego upału, o stojących na skraju drogi chłopach, o patrzących na nas Ukraińcach, obrzucających pędzoną kolumnę jeńców spojrzeniem nie zawsze nienawistnym, częściej niepewnym, zdejmujących nieraz słomiane kapelusze z głowy gestem, w którym była może litość, a może przeczcucie własnej późniejszej udręki? Czy o tej rozbieganej czerni, która wypełza gdzieś z czarnych podziemi na ulice miasteczek z wcześniej już przygotowanymi czerwonymi opaskami, aby wysługiwać się nowej władzy? Czy wreszcie o wykorzystywaniu przez tę władzę od razu od pierwszego dnia do brudnych celów przeróżnych animozji między ludźmi różnych narodowości, zamieszkującymi tę ziemię, szczuciu jednych przeciwko drugim? Też chyba to znasz. Nie powiedziałbym Ci, myślę, pewnie nic nowego...

A może o tym pierwszym obozie? Mieścił się w zabudowaniach pofolwarskich jakiegoś wyrabowanego do czysta majątku z dziesięć kilometrów za Buczaczem. Nawet nie wiem dlaczego trzymano mnie tam z ojcem do początku zimy, obóz był przejściowy, większość zwyczajnych żołnierzy prędko wypuszczono, oficerów zabrano, cywilnych, zwłaszcza tych z rodzinami i z zachodnich województw, zwolniono po kilku tygodniach. Albo jeszcze, że wszyscy wciąż mieli jakąś nadzieję? Wciąż na coś liczyli? Że może zachodni alianci pomogą, diabli wiedzą jak, lecz że coś takiego zrobią, żeby nie zawaliło się to tak głupio, to wszystko, co przywykliśmy mówić i pisać z dużej litery: Ojczyzna, Europa, Zachodnia Cywilizacja, Chrześcijańska Kultura. Nie zawaliło się w gruzy, ustępując miejsca zdziczeniu. Ale nie było na co liczyć...

Potem obóz w dwóch trzecich się opróżnił, a nas wciąż trzymano jeszcze, więc ojciec pomyślał, że jest źle i powiedział: Jest

źle. A śnieg wcześniej leżał tam po pachy i jak ktoś uciekał nocą, gdyż strażę zrazu nie strzegły zbyt gorliwie, to najczęściej szli rano po śladach i sprowadzali z powrotem; wszyscy już byli wykończeni głodem, brudem, wszami, chorobami, ustawicznymi przesłuchaniami i nie można było ująć daleko, ale niejednym się udawało. Ojcu i mnie też się udało, chociaż strażę zostały właśnie wymienione — na miejsce Rosjan z zachodniej prowincji przywieźli jakichś Azjatów, Kirgizów, Azerbejdżanów, Kałmuków i innych podobnych, w każdym razie obcych, nic nie rozumiejących, ani nas, ani tego, co się dzieje, ci zaś pilnowali gorliwie i jeżeli kogoś przychwycili, to już potem trafiał prosto w łapy NKWD do miasteczka. Lecz któregoś dnia w zadymce śnieżnej, wyznaczeni do wycinania drzew w sadzie na opał dla kuchni, przeskoczyliśmy mur i potem przez zdziczały dworski park wydostaliśmy się na drogę, skąd nas zabrał stary ukraiński chłop, przejeżdżający furką, choć po naszych obszarpanych łąkach bez trudu rozpoznął, skąd jesteśmy. Szliśmy potem samotnie bezludziem, innym razem znowu szosą z ludźmi, nieważne, nie wszyscy donosili i nie wszyscy byli zastraszeni, jak się niejednemu dzisiaj zdaje, aby wreszcie po pięciu dniach dotrzeć w nasze strony do Czortkowa, mieściny powiatowej, przedtem niespełna sześciotysięcznej, jednakże wtedy dostatecznie zapchanej uciekinierami, ażeby się wśród nich zaszyć, i nawet wkrótce znaleźliśmy schronienie, żywność i świeżą odzież u starego księdza unickiego, Konstantego Hadzki, który był wprawdzie wojującym ukraińskim nacjonalistą, ale nienawidził gwałtu na kimkolwiek byłby dokonywany...

Właśnie miasteczko ożywiło się niezmiernie. Bazar codziennie zalegał gęsty tłum. Ludzie w lęku, w pośpiechu wyprzedawali się z najcenniejszych rzeczy i jedni próbowali przedzierać się na zachód, aby po przekupieniu straży na sowiecko-niemieckim pasie demarkacyjnym wydostać się do centralnej części kraju, licząc że tam będzie lepiej (nieprawda, nic nie było lepiej!), inni szli na południe, próbując przejść do Rumunii lub na Węgry, albo zniknąć w jakimś większym miejskim skupisku, gdzie wydawało się bezpieczniejszym (też złudzenie!), a jeszcze inni, młodszy, zapadali w lasy, tworząc partyzanckie zgrupowania. O wszystkich zaś wieść ginęła prędko, a ci, którzy zostali, wieczorami, siedząc w kręgu ledwo ćmającej lampy, wspominali ich, jak zmarłych. Kręgi żytych z sobą rodzin, zasiedziały od pokoleń w tych stronach, krewnych, powinowatych, przyjaciół przeredzały się, rozluźniały się ustalone związki, topniały z dnia na dzień rodziny, ludzie stawali się też z dnia na dzień bardziej sobie obcy, a jeżeli nawet nie wrody, to przerażeni i nieufni. Pamiętam, jak ci, u których

znajdowaliśmy zrazu z ojcem chętną gościnę, obojętni na cudze kłopoty, pod dostatkiem mając własnych, wszędzie zakradał się pospolity strach, a potem po domach zaczęło się wielkie pakowanie i gotowanie do długiej drogi; każdy ją instynktownie przeczuwał...

Choć pamiętam także do dziś, że jeszcze wtedy wielu na coś czekało... A nie było na co, w każdym razie na nic dobrego. Zamknięci w nieoświetlonych, nieogrzanych mieszkaniach ludzie czuwali nocami, patrzyli z napięciem w ciemne okna, w ciemne ulice pod oknami, wsłuchiwali się w szum motorów ciężarówek sowieckich. Pełni rozpaczycy liczyli dni, albo tylko godziny dzielące ich od tego, co musi i tak nieuchronnie nastąpić, nawet jeżeli tejsze nocy właśnie sowieckie „budy” miały szczęśliwie ich dom. Potem również pamiętam wysłizgany saniami trakt, oblodzony i lśniący w lutowym słońcu. Lecz wcześniej jeszcze śmierć ojca. Jak męczył się przez kilka dni. Nie było lekarstw, ani takiego lekarza, który by mógł mu pomóc. I jak czualiśmy przy nim z księdzem Hadzką i, kiedy odzyskiwał przytomność, jak mówiliśmy mu, że wszystko skończy się dobrze, choć od początku wiedzieliśmy, że nie. I jak go potem chowaliśmy ukradkiem na unickim cmentarzu, bo było najbliżej. A później już tylko ten wysłizgany saniami, oblodzony i lśniący trakt pamiętam, przy którym stały nagie drzewa pokryte sadzą, co przypominało, gdy na nie patrzę w pamięci, kwiaty zamrozu na szybie bardziej, niż drzewa rzeczywiste. Ten trakt, w który, jak strumienie w rzekę, wlewały się z bocznych dróg sznury wozów i sań, i gnanych pieszo ludzi z innych okolic, prowadzący do punktu zbornego dla wyznaczonych na przesiedlenie; kilkanaście kilometrów za miastem w szczerym polu stały na torze wagony czekającego na nas pociągu...

I tak mi zostały w pamięci te strony: jar Seretu w lodzie, w zwałach kry, z żyłą czarnego nurtu prującego po środku, most przez rzekę, stara dzielnica wschodnia Wagnanka, ruina zamku, trakt na dnie doliny pośród śnieżnych zasp w sinomglistym świetle krótkiego, zimowego dnia, gromady ludzi przygiętych pod tobołami na plecach, dźwigających oburącz walizy, zawiniątka i paki, całych w obłokach swych zziębniętych oddechów, rozklekotane, piszczące piastami chłopskie wozy, albo szorujące twardo płozami śnieg sanie, na których wieszono kobiety, starców i dzieci. A nad pustką zaśnieżonych pól stada wron i gawronów, zgłodniałych, podrywających się ciężko, kraczących chrapliwie, że ludzie żegnali się pełni złych przeczuć... I potem już tylko trakt, wciąż pisk wozów, chrobot sań, wciąż krzyki konwojujących nas

enkawudystów. Te krzyki do dzisiaj słyszę, choć już się oddalające...

Czy miałbym Ci mówić o ciężarnych kobietach, które poroniły w czasie drogi? O tej kobiecie, która urodziła na sąsiednich sianich i o konwojencie, który jeszcze okrytego krwawym śluzem noworodka uchwycił za nogi, ten drobny, wijący się okrucz wciąż jeszcze złączony z matką sznurem pepowiny wyrwijając szarpnięciem spomiędzy jej ud i odrzucając w śnieg? O głuchych razach kolb, spadających na plecy i głowy tych mężczyzn, pewnie męża, ojca, może braci, próbujących niemowlę ze śniegu podnieść? O rozdzierającym krzyku tej kobiety i głuchym łomocie kolb, które we mnie jeszcze nie umilkły ostatecznie?...

Do wagonów stojących na tym pustkowiu zwozili cały dzień i całą noc ze wszystkich okolicznych wsi i miasteczek. Dopiero nad ranem zazgrzytały zasuwane drzwi i trzasnęły zamki i skoble. Stamtąd powieźli nas do Husiatynia, dawnego granicznego miasteczka, gdzie za Zbruczem, po sowieckiej przed wojną stronie, tuż przy kolei szerokotorowej, znajdował się otoczony kolczastym drutem i strażniczymi wieżyczkami już prawdziwy obóz, przygotowany dla nas pewnie od dawna. Tam kończył się pierwszy etap mojej wtedy jeszcze nieznannej przyszłości, która zaczęła się tydzień wcześniej o świcie w Czortkowie, kiedy naprowadzeni przez szpicla enkawudyści wzięli mnie z plebanii wraz z księdzem Hadźką; ponieważ nie chodziło im ani o księdza, ani o mnie, szukali ojca, a on nie żył, więc pięć dni przesiedzieliśmy się tylko w piwnicy ratusza i dołączyli nas potem obu do tych innych, na przesiedlenie...

Ale ksiądz Hadźko nie przetrzymał nawet pierwszego odcinka tej drogi. Jak nie przetrzymało jej wiele mężczyzn i kobiet niszczonych biegunką, tyfusem, zapaleniem płuc, głodem sprzymierzonym z mrozami, ciasnotą wagonów, brudem, wszami i barbarzyństwem konwojentów. Zwłaszcza zaś wiele drobnych dzieci; niemowlęta zamarzały matkom przy piersiach, które traciły pokarm. Ksiądz Hadźko zmarł na galopujące suchoty już w Husiatynie, i może lepiej, skoro później było znacznie gorzej niż z początku, był stary, nie przetrzymałby, tak zaś to chociaż spoczął we własnej, rodzinnej ziemi. A przecież niczego bardziej się nie lękał, jak tego właśnie, że grób znaleźć by mógł na obczyźnie i zawsze żarliwie się modlił: „*Wsemohuczuj Hospody, dopomoży wernuty i złożyty swoji kasty tam, de maty porodyla...*”. Więc myślę, że jeżeli wtedy Bóg istniał, to wysłuchał jego prośby, gdyż następny etap prowadził przez ziemię obcą...

Choć tak naprawdę, to ziemi nikt nie widział, chyba jak wy-

raływano dla zmarłych doły. Wszędzie grubą warstwą leżał śnieg, zmarznięty po wierzchu na kamień i gdy dął wiatr, po jego twardej skorupie szorował z chrzęstem, jak suchy piasek, biały pył. Więc powiedzieć by tylko można, że następny etap prowadził przez obce śniegi. Wiatr też był inny, obcy. Konwojenci otwierający na postojach zamarznięty wagon pytali: „*Nu sztoż, jeszcze nie podochli?*”, a ten wiatr gasił wprost oddech, zatykał nozdrza i nigdy nie można się było pozbyć wrażenia, że jeśli się umrze i wyniosą z wagonu ciało, żeby złożyć je przy torze, to wiatr nie okryje go śniegiem, lecz smagać będzie bezlitośnie tak długo, aż skamienieje i takie zostawi na urągowisko wrogiemu niebu, zgłodniałym gawronom i obojętnym ludziom tych stron...

O długiej drodze z Europy do Azji miałbym Ci mówić? O tym, jak im dalej na wschód, tym więcej ubywało wagonów ciągnącego się jak niekończący się wąż pociągu? O postojach w lesie, albo na zamarzniętej równinie pól, żeby ludzie mogli wyjść za potrzebą, „*Skoriej, skoriej pod wagon!*” i po kilku minutach, „*Skoriej, skoriej w wagon!*”. Albo jak mineliśmy mającące z lewa na horyzoncie góry i ludzie mówili, że to Ural? A potem słońce wschodziło nad równiną w powietrzu pełnym śniegowego, kłującego pyłu potrójne, bo po obu stronach ujęte w kleszcze swych identycznych złotoczerwonych odbić, jakby były jego nieodłącznymi braćmi. I szalał wściekle buran. Albo o moim pierwszym noclegu na twardym, nie kołyszącym się gruncie pod nogami? Księżyc wznosił się na niebo jak widmo i jego światło przeświecało przez mroźną mgłę. Była to na skraju jakiejś na pół wyludnionej osady opuszczona kirgiska kibitka, zwana też przez tamtejszych jurta. Pomieszczenie, miejsce zamieszkania ludzi należących do narodu, któremu nawet imię odebrano, bo nazywano ich wtedy Kazachami. Jeszcze niemal ciepłe po poprzednich mieszkańcach, z resztką ubogiego jedzenia w schowku, z zamarzniętymi łąskami zawieszonymi do suszenia na sznurze nad palniskiem, kruszącymi pod dotknięciem ręki. Ale wiszącymi tam, jakby ich wygnano i gdzieś pognano dopiero co, kilka godzin przed naszym przybyciem. W tej kibitce gnieździł się w jedenaście mężczyzn z ponad dwa tygodnie, może trzy, dodając resztki naszych z kraju zapasów, zanim nas jednego dnia nie zabrano z sześcioma rodzinami rozlokowanymi w sąsiedztwie znowu do pociągu i powieziono dalej na wschód...

Lecz to są tylko fragmenty tych dni i tygodni, które później miały zmienić się w miesiące, w wiele miesięcy, obrazy oderwane, kawałki obrazów właściwie, zlewające się niekiedy w jedną szarą plamę przed oczami. Bo przecież do tego pierwszego okresu na-

leży także wspomnienie kilku miast bliskosyberyjskiego szlaku, kilka więzień, choć nie byłem wtedy jeszcze więźniem w znaczeniu, jakie oni temu słowu nadawali, kilka etapów powiedzmy raczej, w każdym razie etapów nieraz za drutami albo za murami, jeśli zaś nie za drutami albo murami, to w miejscach o wiele lepszej niż drutami i murami strzeżonych przez ludzi... Gdzie wielu naszych zmarło na febrę, zwaną syberyjską, w majakach i gorączce, lub po prostu z zimna, z wycieńczenia i głodu... Tego szlaku, nad którym słońce wisało jednostajnie blade, bez promieni, na tle jednostajnie zaciągniętego jednostajnymi chmurami nieba... Wspomnienie zamglone, którego pamięć nie chce już rozjaśniać. Potem była wiosna, krótka, nagła, szybka, wybuchająca trawami, tysiącami kwiatów i kolorów, dusząca zapachami, podniecająca skojarzeniami, różnymi obrazami z przeszłości, a potem zaraz, nawet nie wiem jak, zmieniająca się od razu w lato...

Może opowiedzieć miałbym Ci o mieście Czkałow, które zwano dawniej Orenburgiem? Tam właśnie znalazłem się chyba późną wiosną. Pamiętam domy stojące na rozległych, nie różniących się od wsi przedmieściach, szarobiałe, jak z bloków zabrudzonej kredy, choć były zbudowane tylko z wysuszonej gliny. I miały płaskie jak stół dachy, a do wnętrza wchodziło się z podwórza. Ten Czkałow pamiętam dość dobrze, pracowałem tam na doświadczalnej fermie ponad miesiąc przy wyrobie samanu, cegły z gliny zmieszanej z sieczką. Rzekę Ilek też pamiętam, przecinającą bezkresny step; powiedzono mnie tam na początku lata. Step nie posiadał już wtedy żadnego zapachu, nawet rano i wieczorem w rosie, jeżeli oczekuje się, jak u nas, po stepie tego charakterystycznego zapachu roślin, choć zarośnięty był burzami, piołunem, miętą i ostami. Nad tym stepem od późnego rana do wczesnego wieczoru stało martwe i nagrzewające się jak piec powietrze, w nim zaś snuł się jedynie ledwo uchwytny zapach, jakby dymu palącej się gumy, zmieszany z zapachem kurzu i jeszcze czegoś, może tej szczególnej woni, jaką wydziela sierść wielbłądów i koni wracających z daleka. Tam także zapamiętałem stanicę sowchozową, gdzie nie rosło ani jedno drzewo, czego wprost nie można było znieść, tego braku drzew i cienia, mąciło się od tego w głowie; tę stanicę zwącą się Urdasz, skąd wczesną wiosną półdzicy, skorzy o byle co sięgnąć po nóż pastuchowie o mongoidalnych rysach twarzy wyganiali w step na wiele miesięcy roku kierdele przysadzistych, szerokopierśnych owiec o mocnym runie. Pastuchowie siedzący na niewiele większych od swych owiec koniach. I nawet zapamiętałem pewnego Cygana, z którym pracowałem przy wyrobie kiziaku (bydłęcy i ludzki na-

wóz ugniataliśmy nogami, potem uklepywaliśmy to w cegiełki i suszyliśmy w słońcu) i z którym żyłem się i zaprzyjaźniłem, bo ów Cygan czuł się podobnie obco, jak ja. Lecz może było to już nie w Urdasz i wcale nie wówczas, a znacznie później, w zupełnie innych stronach, w innym sowchozie, pod Kusta-Naja, dokąd powiedzono mnie po pierwszej nieudanej próbie ucieczki.

Pilnowałem wtedy w głębi stepu wielbłądów i na pewno nie były to jeszcze najgorsze czasy, tak że gdyby nie głód i samotność (bo poza dwoma pastuchami, których języka nie znałem, w promieniu wielu kilometrów nie spotkało się jednej żywej duszy); więc właśnie, gdyby nie ta piekielna samotność, może zostałbym tam nawet dłużej. Ale nie potrafiłem być tak całymi tygodniami bez kogokolwiek do kogo można by otworzyć usta, dlatego porzuciłem któreś nocy nasz szałas i zbiegłem...

Wędrowałem potem stepem wpierw do najbliższego osiedla, przez które przebiegała kolejowa linia, a stamtąd dalej na zachód, czepiając się podwozi albo złącz towarowych wagonów, jeśli zaś się udało, to wykupywałem na stacji bilet na odległość stu kilometrów, gdyż na taką mniej więcej sprzedawano bez przepustki, a dojechawszy, wysiadałem i znowu kupowałem bilet na nowy odcinek. Lecz udało się tylko ze dwa albo trzy razy. Znalazłem się już w zupełnie innej republice związkowej i nikt nie nosił tam nakrycia głowy, jakie ja miałem, zwanego „tiubitejką”, i wzbudziłem uwagę milicjanta, który do mnie podszedł i zażądał dokumentów. Przesiedziałem później w miejscowym więzieniu prawie pół roku, pracując w więziennej pralni. W ostrych wyziewach brudu, mydlin i sody, w gęstych, gorących oparach, w których rozebrani niemal do naga, ledwo się nawzajem widzieliśmy...

A potem, pamiętam, wiał suchy, zimny wiatr, od którego pierzchy i pękały usta. Słońce stało na białosinym niebie jeszcze nie grzejące, gdy wyprowadzono mnie za więzienną bramę, a stamtąd roztratowaną przez bydło ulicą na stację i odstawiono w więziennym wagonie na powrót do Urdasz. Trzech milicjantów z nasadzonymi na karabiny szpikulcami eskortowało mnie nocą na odkrytej ciężarówce przez step do sowchozu, skąd przedtem uciekłem i „trójka” OSO złożona z miejscowych Kazachów sądziła mnie przez piętnaście minut, bo tyle czasu mieli dla mnie między porannym udojem a pojeniem koni; zasądziła na sześć lat przymusowego osiedlenia. Ale wszyscy mówili, że to niewiele, że to łagodnie, że mógł być łagier, łagier zaś nie dawał tyłu szans na przeżycie. Potem, jeszcze tego samego dnia, znowu odstawiono mnie do stacji i stamtąd pociągiem do sowchozu pod Kusta-Naja...

Cygan, kotlarz z zawodu, który pochodził spod Odessy i ześlali go z paragrafu „za pasożytnictwo”, bo jego zawód się tam nie liczył, nigdy nie uciekał, choć tęsknota za rodzinnymi stronami go tak zżerała, że nie było nocy, żeby nie jęczał. A gdy raz na dekadę dawali nam wolny dzień i wychodziliśmy w step, to kładł się na kruszejacej od żaru trawie, leżał bez ruchu, godzinami patrząc w niebo i wtedy w tym swoim niezrozumiałym języku zaczynał zawodzić niegłośnie wciąż tę samą, zdawało się, pieśń o melodii tak rozpaczliwej, że nie można było słuchać. Raz, kiedy go spytałem, dlaczego nie ucieka, powiedział, że nikt nie ujdzie swemu losowi. A potem powiedział, że jest niemłody, że chciałby wreszcie umrzeć i nie ma się co dłużej szarpać i męczyć, ale zrobić tego nie może, bo to niedobrze, bo wtedy, gdy wiatr zimą dmie i wyje, i gwizdże, i miota się w kominie, ludzie powiadają: „Cygan się obwiesił”. Tak mówił do mnie i jeszcze z fatalistycznym przekonaniem: „I pewnie umrę tutaj. Mój ojciec i matka też nie umarli w swoich stronach, choć ich w tamte strony ciągnęło, lecz w stronach, które dla mnie dopiero stały się własnymi. Mnie zaś ciągnie do stron, gdzie oni pomarli, ale muszę zostawić swe kości tutaj, w ziemi, która dla mojego syna stała się ojczyzną. Więc jego ciało pewnie pogrzebią kiedyś też w zupełnie innym kraju, choć będzie on tak samo jak ja i moi rodzice tęsknił. Tak musi być, bo nie byłoby inaczej porządku w naszym cygańskim przeznaczeniu”. A ja powiedziałem mu na to, że mówi, jakby w to wszystko istotnie wierzył. A on powiedział, że wierzy. A ja powiedziałem, że przecież on nienawidzi tych, co go tu przygnali i mu powrócić nie dają. A on powiedział, że z tego, że nienawidzi, pożytku żadnego, a że nie dają, to z tym się trzeba pogodzić. A ja powiedziałem, że nigdy się nie pogodzę i będę uciekał ku swoim stronom, aż mi się w końcu uda. A na to Cygan z przekonaniem, że ja mam coś innego we krwi niż on, że inaczej kocham rodzinną ziemię niż on, że kocham jak własną, bo on, jeśli nawet kocha, to jak obcą, bo jest obca. I jeszcze powiedział, że w jego krwi jest wieczna tułaczka, a przeznaczeniem jego narodu jest gdzie indziej rodzić się, gdzie indziej zaś umierać. I leżał na tej suchej trawie stepowej bez ruchu, aż bladuróżowe niebo przesunęło się na zachód i zaczęło zmierzchać, a duże, tłuste szczury stepowe, podobne do królików albo chomików, które zresztą nie były wcale szczurami, tylko je tak nazywaliśmy, wychodziły na łyse, spłaszczone pagórki, stawały słupka i cienkim świstem wywabiały z nor resztę rodziny na nocne żerowisko. Można było podpełznąć bliżej i przypatrywać się im długo, jak są wolne, jak baraszkuje swobodnie, jak jedzą, dużo

jedzą i zaczynały się od razu wspomnienia, a najgorzej, że i marzenia głodowe: mięso, ziemniaki, marchew, cebula, fasola, buraki, owoce, pełne garście najrozmaitszych owoców, czuło się ich aromat, ich smak na języku, ich ciężar w żołądku. Ale w końcu zawsze zwierzęta czymś spłoszone pierzchały, i wtedy też tak się stało, ktoś z nas się poruszył, Cygan albo ja, i umknęły do nor, a step był już potem pusty jak milczący dzwon, z którego wyjęto serce. Chciałoby się człowiekowi upić do zatruty przytomności i zapomnieć o wszystkim. I o tych, co zostali w kraju, i o tych, co zlegli po drodze w śniegach, także o całym własnym dawnym życiu. Wkrótce jednak step zaczynał śpiewać przeciągle i przemijająco, jak pustynia, którą również przemierzyłem dwukrotnie, tylko że później. Więc jednej nocy nie wytrzymałem, rzuciłem po raz wtóry szatas, a gdy po kilku dniach mnie pochwycono, już nie wróciłem na stare miejsce, gdzie naprawdę nie było wcale źle. Tym razem zasądzono mnie na łagier i powieziono na południowy wschód za rzekę Sary-su do *oblasti* zwanej Bed-Pak-Dała (od której ku północy ciągnęła się pustynia Dżity-Konur, jeszcze bardziej zaś na południe Step Głodowy), do kopalni położonej kilkadziesiąt kilometrów za słonym jeziorem Dobussuntus, w zupełne pustkowiu...

Kopaliśmy tam potem odkrywkowo siarkę pod niebem bardziej gorącym, niż nad tamtym stepem. Niebem zakurzonym, szarym i tak niskim, że zdawało się wisieć nam tuż nad głowami. A następnie kruszyliśmy zaraz to, co dobywała koparka, w mechanicznych młynach. I ładowaliśmy na wagony. A byli wśród nas i Polacy, i Litwini, i Łotysze, i Estowie, i Rosjanie, i Ukraińcy, i Białorusini, i nadwołzańscy Niemcy, i Gruzini, i Kazachowie, i Tatarzy, i Czeremisi, i Czecczeńcy, i Ormianie, nawet Karakołpakowie, Ingusze, Nogajcy i Żydzi, a wreszcie nawet Asyryjczycy, ostatni przedstawiciele dumnego niegdyś narodu, których jakaś dziewiąta fala dziejowa wypłukała i wyniosła z czarnych mroków tysiącleci i jako nędznych czyszcicieli butów rzuciła na dworce kolejowe miast sowieckiego południa, wstydlivy cień własnej niegdysiejszej wielkości, wyrzut na sumieniu świata, anachroniczni jak sama ich nazwa, wywołujący zdumienie jak przedpotopowe zwierzęta, gdyby zamiast odsłaniać się naszym oczom skamieniałe w warstwach ziemi, nagle żywe zaczęły wędrować wśród nas...

Lecz również i tam, w tej kopalni Bed-Pak-Dała, nie zagrzezałem długo miejsca. Bo wkrótce załadowali mnie któregoś dnia wraz z dużą częścią tej wielorasowo-wielojęzycznej zbieraniny do wagonów towarowego pociągu podstawionego na bocznicę i powieziono nas jak gdyby z powrotem, gdyż bardziej na południo-

wy zachód. A dlaczego załadowano do pociągu i powieszono na południowy zachód, tego nikt nie wiedział. Ale znowu znalazłem się w kopalni, choć był to już inny kąt tego olbrzymiego kraju, pustkowie na skraju pustyni, za którą, jak niejedni szepotali, leżała wolna ponoć ziemia, Persja. Tylko, że tak samo jak przedtem wieżyczki strażnicze znaczyły granicę obozu, jak przedtem na odkrywkach dobywaliśmy w morderczym wysiłku siarkę, niebo zaś też tak jak przedtem wisiało nad głowami niskie bardzo, zakurzone siarkowym pyłem, szarozółtymi chmurami unoszącym się nad kopalnią...

Teraz, po latach nie potrafię już sobie przypomnieć miesiąca, kiedy się to skończyło. Zima była okrutna, ale krótka pod tą szerokością, a wiosny jakby wcale tam nie było, zaraz lato. Już od przeszłego roku trwała wojna. Czasem nawet dochodziły wieści, że Niemcy biją Rosjan. Już od wielu miesięcy dochodziły też wieści, że Polacy mają być wolni. I nawet z tej poprzedniej kopalni pod Bed-Pak-Dała, to wielu z naszych zwolniono. A ci co zostali, to wciąż z nadzieją czekali i liczyli dni. I wciąż pisali podania, odwołania i skargi. Ale na tym nowym miejscu, to nikogo nie zwolnili i nawet żadnych podań nie chcieli od nas przyjmować i mówili, że żadna amnestia nas nie dotyczy. I dla postrachu, z tych, co głośniej i więcej krzyczeli, zastrzelili kilku. Ale nie pamiętam, kiedy to naprawdę było. Może jeszcze pod koniec zimy, może na początku tej wiosny, co tam jest podobna do lata, bo w południe ziemia nagrzewała się jak w piecu. Co jakiś czas pałacy huragan niósł z pustyni tumany rozmielonego piachu, który oślepił, dławił, nie było czym oddychać, serce wprost puchło w piersi, a potem w ogóle przestawało się je odczuwać, tak że nawet przez chwilę wierzyło się, że nam je wyjęto. Więc pewnego dnia, kiedy zostałem na odkrywcę podczas piaskowej burzy i zbliżył się strażnik, który zresztą nie szukał mnie zbyt gorliwie, bo gdyby naprawdę szukał, to znalazłby dawno, cisnąłem weń z ukrycia kamieniem...

Pamiętam to wszystko, jak ze snu. Ugodzony w czoło strażnik ugiął się i upadł. A ja doskoczyłem do niego i szepiłem się z półprzytomnym za bary, i dusiłem, i tłukłem jego głową o skałę. Ale już wiedziałem, że będę wolny, bo strażnik był tylko małym, nędznym Kałmukiem i nie miał wiele sił. Ja sam wprawdzie też nie miałem wiele sił, jednakże wiedziałem, że na pewno chcę być wolny, więc tłukłem jego głową o skałę tak długo, aż szyja łącząca ją z wątłym korpusem zwiotczała i kopiące ziemię nogi znieruchomiały. Potem zdarłem z ciała bluzę, która była dla mnie o wiele za ciasna, wziąłem różne drobne znalezione w jego

kieszeniach przedmioty: scyzoryk, ołówek, kapciuch z tytoniem, kawałek drutu, fajkę domowego wyrobu, jakieś papiery, trochę pieniędzy i wystrzępioną po brzegach fotografię młodej kobiety o takiej samej płaskiej, jak jego, twarzy, jego dokumenty zaś i karabin, i pas z nabojami zakopałem. Także ciało zakopałem w piasku, tyle że w innym miejscu. Ale zakopałem głęboko, bo przecież nie można umarłych zostawiać na pożarcie ptakom, każdy musi mieć swój grób. A kiedy już to wszystko zrobiłem, byłem zupełnie spokojny, nigdy w życiu nie byłem tak bardzo spokojny, nie pamiętam takiej chwili. A potem bez pośpiechu, bo taka piaskowa burza trwać tam zwykła co najmniej kilka godzin, poszedłem przez pustynię, kierując się szlakiem koczowników, o których słyszałem, że są wolni, i uzbeckich wypasaczy wielbłądów...

Nikt nie kroczył moimi śladami, z kopalni bowiem nie uciekano. Jeżeli zaś już ktoś czasem uciekał, to przygnany głodem, najczęściej sam wkrótce wracał, albo go ktoś z miejscowych wydawał władzom, albo marł w piaskach z pragnienia, ale ja wiedziałem, że nie wrócę, że się nikomu, kto by mnie z powrotem chciał doprowadzić w ręce żywy nie oddam i na pewno z pragnienia nie umrę — pchała mnie naprzód taka jakaś pewność, jakiej później też nigdy nie doświadczyłem w życiu i dodawała mi sił...

Oczywiście mógłbym to również dołączyć do tej samej opowieści, gdybym Ci ją zdołał opowiedzieć, gdybym potrafił przypomnieć sobie szczegóły, na których Ci zależy, detale, fakty umiejscowione dokładnie w czasie i geograficznych miejscach. Gdyby wszystko to nie było już dziś męczącą jedynie mgławicą, czymś mało wyraźnym i rozplywającym się w powietrzu, jak dym. Szczególnie wspomnienie morderczej wędrówki przez pustynię i jeszcze to i owo o uzbeckich i turkmeńskich koczownikach, o których wprawdzie więźniowie w kopalni powiadali, że są wolni, że nigdy nie poddali się sowieckiej władzy, że nawet dalej z nią walczą, ale były to brednie i nasze pobożne życzenia tylko. Choć resztki ich oddziałów partyzanckich, zwanych basmaczami, wybito dopiero z trzy albo cztery lata przed wojną. Jeżeli jednak w tych bredniach tkwiło jakieś drobne ziarno prawdy, to może to, że serce niejednego z nich pozostało jeszcze wolne. Wolne i nieujarzmione. Bo mnie nie wydali. Więc to nieprawda, co powszechnie mówiło się i mówi, że w Rosji nie można było zrobić stu kroków, żeby nie zostać wydanym. Może w europejskiej, może w miastach, nie wiem. A może, żeby nie zostać wydanym, trzeba było mieć cholerne szczęście, graniczące z cudem, też tego nie wiem. Albo jeszcze inaczej: być może ci tamtejsi, Azjaci,

nie stali się jeszcze do końca Rosjanami? Może nie zdołano z nich wyrzeć do końca niezawisłego serca? Jakiegoś ich odwiecznego obyczaju? Jakiejś dumy koczowniczego ludu? Praw tego ludu, których nie znałem, ani rozumiałem, ale które jednak obowiązywały? Już przecież wcześniej, tam w kopalni spostrzegłem, że są inni, że rzadko donoszą, że w pewnych okolicznościach można na nich liczyć...

Ale gdybym chciał Ci to wyjaśnić (co zresztą sam nie w pełni rozumiałem i rozumiem) i jakoś opisać, a do tego wiernie i z pewnymi charakterystycznymi szczegółami, musiałbym się raz jeszcze cofnąć wstecz i opisać tak samo wiernie wszystko inne, o czym dziś trudno już mówić. Kopalnię, tę ostatnią, a zwłaszcza tę poprzednią pod Bed-Pak-Dała. Nieustanny głód. I jak ludzie umierali na gruźlicę, na cynge, na tyfus brzuszny i plamisty, na strachomę, na malarię, na porażenie przez pył siarkowy oddechowych dróg, na krwawą biegunkę, szkorbut czy po prostu z wycieńczenia, czy od udaru słonecznego, a nawet na jakąś nikomu nieznaną, nikczemną chorobę zaczynającą się wyniszczającymi wymiotami, po której ciało zaraz po śmierci czerniało i puchło. A także musiałbym opisać, jak nasłuchawszy się opowieści innych więźniów, musiałem przeżywać później ich los w samotnych rozmyśleniach i snach, bo to nieprawda, że człowiek w końcu obojętnieje i przywyka. I że właściwie to sto, mało sto, tysiąc razy uciekałem, sto, tysiąc razy byłem pojmany, badany, poddany torturom, sto, tysiąc razy zaszczuty psami, zastrzelony w ucieczce, sto, tysiąc razy rozstrzeliwany na starej, wyeksploatowanej odkrywce, gdzie zwykle rozstrzeliwano tych, co się czymś narazili, że sto, tysiąc razy zagłodzony byłem na śmierć, i że tyleż samo razy umierałem na znane i nieznanne mi choroby. Albo musiałbym Ci opisać obozowego oficera NKWD, który na kończących już swoje wyroki więźniach politycznych wymuszał przyznanie się do nieistniejących spisków w obozie, aby automatycznie przedłużyć im łagierniczy los o dalszy pięcioletni albo dziesięcioletni wyrok. Jak wzywał takiego do *komandirowki*, pytał krótko, czy się przyznaje, rozkazując mu rozpiąć spodnie, wyjąć genitalia na brzeg stołu i, uderzając z obu stron już wcześniej przygotowanymi metalowymi przyciskami, to przyznanie się do winy uzyskiwał niezmiennie, a najczęściej jeszcze przedtem. Albo pewnego starego mnicha, pustelnika, którego wytropili w lasach na Syberii i przywieźli tam do kopalni na południe, jakby jego ostatnie dni w tamtych lasach mogły im czymś zagrażać, który codziennie przed modlitwą poranną pytał głośno, Co uczynił Ci Boże, człowiek, że dwieście milionów swych dzieci skazałeś na życie w Rosji? Ale wtedy też

musiałbym jeszcze to i owo nadmienić o kałmuckim strażniku zagrzebanym przeze mnie w piasku pod skałą na odkrywce. Tym strażniku, który nie szukał mnie zbyt gorliwie, gdy mu przypadłem z oczu, bo gdyby szukał, dawno by znalazł, i który w ogóle nie był gorliwy. Może wtedy mógłbyś zrozumieć, że jak wtedy, tam w obozie, niektórzy mówili, że koczownicy spotkani w pustyni nie wydadzą zbiega władzom, to uwierzyłem...

A na tym kałmuckim strażniku nie mógłbym poprzestać. Musiałbym opowiedzieć o jego płaskolicej kobiecie na fotografii, którą to fotografię jakiś czas nosiłem przy sobie, że gdzieś tam daleko zapewne zapłakała w dniu otrzymania nieszczęsnej wiadomości, jeżeli go w ogóle znaleźli i wygrzebałi, o czym wciąż jeszcze myślę. Musiałbym Ci opowiedzieć dokładnie o późniejszej wielodniowej tułaczce, w czasie której dwa razy natknąłem się na koczujących pasterzy, którzy sprzedali mi żywność za pieniądze wyjęte z kieszeni tamtego strażnika i wskazali kierunek, w jakim mam iść. A także o tej chudej, zabiedzonej, ledwo co rozwiniętej dziewczynce o ostrych rysach plemienia Sartów, spotkanej już na przedmieściach Chiwy, kiedy nie miałem gdzie się podziać, a wokół stacji wylapywano bieżęnców, zwłaszcza zaś Polaków, i skąd musiałem prędko uciekać. O tej dziewczynce, która za trochę chleba, który jej dałem i dwie garście słonecznikowego ziarna, pozwoliła mi iść z sobą w służące jej za mieszkanie ruiny na krańcu jakiegoś zdziczałego ogrodu. I wśród rozsypujących się, wyszczerbionych, na wpół rozwalonych ścian pociągnęła mnie na swe legowisko wymoszczone workiem z odpadkami bawełny. Gdzie nad naszymi głowami, kiedy tam obok siebie leżeliśmy, rozpościerało się tylko niebo i wiatr poruszał z lekka przechylającymi się przez mur gałęzmi rosnących na zewnątrz drzew morowych. Gdy doznałem tego największego szczęścia, jakiego kiedykolwiek było mi dane doznać w życiu, i ten nagły wstrząs, płomień przeniknął mnie do głębi, choć powinno to być raczej wtedy, w mojej sytuacji, budzić chyba tylko zdziwienie. Ale miałem dwadzieścia lat. I że serce waliło w piersi jak młotem, podchodząc do gardła, bo zawsze wyobrażałem sobie gorące pocałunki, nieszczere wzbranianie się dziewczyny, przypływ pożądania, coraz śmielsze pieszczoty, oczekiwanie, przekonywanie, a nie, żeby była po prostu spracowana i śpiąca; może intuicyjnie wyczuwając, co się ze mną dzieje, pomogła mi, jak umiała. A potem spała ufnie na moim ścierniętym ramieniu i obnażone z łachmanów jej drobne ciało jaśniało w księżycowej poświęcie najcudowniejszą złotawą skórą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem...

I jeszcze także musiałbym Ci wspomnieć o miesiącu albo

dwóch w turkmeńskim kołchozie „Dzierżyński” w pobliżu Daganisziru, gdzie jakiś czas pracowałem przy bawełnie bez świstka *udostowierienia* z obozu, bez karty pracy nawet, bez czegokolwiek, co pozwalałoby mi poruszać się w okolicy, dotrzeć do któregoś z naszych ośrodków i tworzącej się polskiej armii, bez czegokolwiek, co pozwalałoby mi również nie poruszać się nigdzie, w ogóle bez czegokolwiek, co uprawniałoby do życia. O tym kołchozie zamieszkałym niemal przez same kobiety z dziećmi i przez starców. Gdzie na skutek braku mężczyzn do pracy przymykano oko na tę całą zbieraninę wygnaną przez wojnę z własnych stron, różnych „liszców”, włóczęgów bez dokumentów, zwolnionych łagierników, którzy nie pojechali tam, gdzie się mieli zameldować. W którym znalazłem schronienie w glinianej chacie starego Turkmena na skraju wsi, tak starego i siwego, że posiekany zmarszczkami, w swym wypłowiłym chałacie, w zawoju na głowie, jakiego już nikt prócz niego nie nosił, wyglądał, jakby osypany był pyłem czasu... O tej jego chacie archaicznej, stojącej nad szemrzącym strużką wody arykiem, chacie, jakby przeniesionej z biblijnych czasów w wiek dwudziesty, gdzie przechorowałem się na tyfus i skąd nie wywieziono mnie do pobliskiej osady do szpitala, z którego zapewne zabrałaby mnie zaraz milicja, co było być może zasługą starego. I jak się obudziłem z gorączki i powróciłem do przytomności, i dalej żyłem, co już na pewno było osobistą zasługą starego, bo pielęgnował mnie jak syna, choć teraz nie pamiętam jego nazwiska, a nawet imienia. Więc myślę, że aby to zapomnienie czymś okupić, mógłbym Ci jedynie dokładnie opisać twarz, nad którą górował muzułmański zawój, o suchej, matowej skórze w siatce brązowawych zmarszczek i o migdałowym wykroju czarne oczy bez śladu buntu w spojrzeniu, bez goryczy, jak gdyby oczy Buddy, w których przeglądały się czas przeszły, teraźniejszy i przyszły, wszystek ból i nieszczęścia jego ziomków, jego rodziny, nie wiadomo gdzie rozproszonej, jego sioła, o którym nigdy nie dowiedziałem się dlaczego opustoszało z mężczyzn i o nich milczano, ani dlaczego nie czekano na żadne listy i wieści, a także była (w tych oczach) jakaś typowa dla tej tylko części świata bezmierna cierpliwość i mądra pewność przetrwania. Ale wówczas musiałbym Ci także opisać spokojne, pomocne ręce starego Turkmena, które dzieliły skromne racje żywności, wydawane mu przez kołchoz, na dwie części i mnie karmiły. A również ten słoneczny dzień, kiedy rozprawialiśmy o Avicennie i stary pomógł mi wyjść z chaty na gospodarski dziedzińczyk otoczony murkiem z gliny, pokrytym badylami bawełny, bym mógł pierwszy raz po chorobie sięść na ławce z poczeriałego drewna

w półcieniu, jaki tworzyło karłowate drzewo saksauł. I żebym poprzez powietrze, niby z pyłu świetlnego, z oparu, z przejrzystej mgły, sypiące się, jak złotosrebrny kurz mógł spojrzeć na wspartą na dwóch potężnych, chyba więcej, niż stuletnich balach bramę, zwieńczoną okapem obłożonego gontem daszku, wtedy otwartą na oścież, a przez tę bramę na drogę w pusty, żółty step i dalej, na tę inną jeszcze drogę, na którą niebawem miałem wkroczyć. Ale przecież trzeba by naprawdę wiele czasu, wysiłku pamięci i cierpliwości, żebym zdołał Ci to opowiedzieć i abys mógł wniknąć w tak obszerną relację. Jeżeli już, to wolałbym po prostu na wspomnieniu ostatniej drogi przez pustynię...

A zaczęła się ona na samym początku lata. Już nikogo z naszych nie było w okolicy. Ziemia wprost paliła mi się pod stopami. Już nie przebywałem w kołchozie „Dzierżyński”, ale z kilkoma starcami, wśród których ten mój Turkmen był chyba najstarszym, wypasałem stado owiec w głębi stepu i mieszkałem na stoku, skąd rozległy widok roztaczał się na dolinę Amu-Darii. Już nie było sposobu, żeby legalnie dotrzeć stamtąd do jakiegoś naszego ośrodka tolerowanego przez sowieckie władze; mówiono, że polska armia ucieka przed walką na froncie do Anglików, znowu Polacy nie przypisani do kołchozów, sowchozów lub kopalń byli wyłapywani jak różni „bieżeńcy”, jak ludzie bez papierów, a przecież ja nie miałem ich od początku. Więc kiedy pewnego dnia ujrzałem po raz drugi albo trzeci tego samego uzbrojonego jeźdźcę, zatrzymującego się przed jurtą starszego wśród pasterzy Turkmena i długą ich, ostrożną rozmowę, zrozumiałem, że czas iść. Że wkrótce zostaną aresztowani. Wiedziałem, że jeszcze chroni mnie jakieś ich święte prawo, ale ryzykują już za mnie życiem i że nie wolno mi tego prawa nadużyć. Wtedy pożegnałem starego, któremu tyle zawdzięczałem i który traktował mnie jak syna (może miał go kiedyś i stracił?), a także tych innych starych mężczyzn i opuściłem obozowisko nad rzeką. Tę wędrówkę potrafiłbym Ci może opisać albo opowiedzieć dokładnie, utkwiała mi w pamięci dobrze, jakkolwiek jej ostatnie dni były jak w gorączce, w chorobliwych majakach i mgłę. Ale może zapamiętałem ją dlatego, że stanowiła jeszcze jeden i może najlepszy dowód, że z tego kraju można wyjść, nie każdy doniesie, zdradzi, wyda, że wszędzie można spotkać człowieka, z którego jeszcze nie wydarto do końca sumienia...

Z samego początku, kiedy miałem w gurdzie dość wody, w węzełku zaś suszonych placków z owsa i ziarna dżugary, w które zaopatrzyli mnie starzy Turkmeni, szedłem także przez część dnia; mogłem sobie na to pozwolić, przez pustynię w tym

miejscu nie prowadziły żadne szlaki. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się diuny, wyglądające niby fale morskiego przyboju, czarne prawie lub szare, gdzieś tam kępy roślin przypominających osety i popychane wiatrem suche kule krzaczków perykatypa. Jak okiem sięgnąć było pusto, spotkanie kogokolwiek mało prawdopodobne, zresztą pamiętałem, co mówili ludzie jeszcze w kopalni, że w pustyni można zginać z pragnienia lub głodu, ale można również schować się lepiej, niż w lesie. Wkrótce jednak zapasy żywności zaczęły się kończyć i porcje wody musiałem ograniczyć do kilku łyków dziennie; od jednej do następnej, pustynnej studni dzieliło mnie najczęściej wiele kilometrów. A potem wędrowałem już tylko nocami, kiedy pragnienie łatwiej było znieść...

Pustynia leżała w zimnym, zielonkawym świetle, a gdy wiatr zgarniał cirrusy zakrywające z wieczora niebo, ukazując gwiazdy i księżyc w pełni, widziałem zastygły, pomarszczony, pagórkowaty teren, który nie miał granic. I nachodziło wtedy takie poczucie zagubienia w przestrzeni, że można było zwariować. A potem chyba zwariowałem, bo zwykle w połowie nocy wszystko dookoła zaczynało dźwięczeć przejmująco. I ten jęk bezmiaru piasków świdrował pod czaszką, jak głos opętanego, choć jeszcze nie miałem gorączki, i dopiero dokuczliwe zimno trzeźwiło, przywracając siły. Ale jeszcze przedtem udało mi się dotrzeć do jednej z oaz z grupy Ungesbett i tam pod osadą Damły odszukałem według drobiazgowego opisu samotną jurcję Bety Szałtaja, do którego miałem polecenie. I znowu otrzymałem trochę żywności, parę cennych wskazówek, nazwisko Nerses-Achpara w osadzie przy linii kolejowej na Taszkient, i znowu napełniłem gurdę wodą. Zaraz potem musiałem iść, chociaż moje odzienie niewiele albo wcale nie różniło się od noszonego przez tubylców i chociaż twarz miałem wyostrzoną, szerniała od słońca i pustynnych wichrów, jak oni. Wiedziałem, że moje pojawienie się w promieniu ludzkiego wzroku jest tam gdzieś notowane w pamięci tych, co byli uszami i oczami władzy i wiedziałem również, że należy się strzec...

Dni zaś były rozżarzone, białe, powietrze dyszące, uderzające w twarz falami i prędko zaczynały się majaki. Nieraz zdawało mi się wtedy, że miast pustej przestrzeni wokół siebie widzę rozległe łąny zbóż, płowe i złote, przerżnięte przez pół tu i ówdzie rozjeżdżoną, tonącą w kurzu drogą, którą właśnie przecwałował do wodopoju tabun rozhukanych koni. Najczęściej jednak męczyło mnie wspomnienie pewnego strumienia w paśmie podolskich Miodoborów, przebijającego się do Zbrucza: kredowe podłoże zabarwiało go na turkusowo, płynął po skałach i z łoskotem

spadał do chłodnego rozlewiska, nad którego brzegami ze skwierem unosiła się czajka. Lecz nic z tego nie było prawdziwe. Moja droga wiodła przez bezwodną okolicę, kamienie i piargi porzecznane co kilka kilometrów szerokimi żyłami ciemnych, szaroczarnych piasków, za którymi znowu był tylko piarg kłujący przez obuwie, i tu i tam wystające zeń zbielełe kości padłych zwierząt. Była to bezlitosna droga, często bez wody, znowu bez odrobiny cienia i chłodu w dzień, a potem jedynie nocami w zimnie, w dreszczach, bez możliwości rozpalenia ognia, droga z poranionymi stopami, z pierwszymi objawami choroby głodowej zwanej kurzą ślepotą, wciąż grożąca schwyтaniem lub śmiercią. I nie pamiętam ile trwała dni, dziesięć może piętnaście, zatraćłem ich rachubę, zresztą tylko raz spotkałem pasterzy, u których mogłem kupić trochę nędznej żywności i odświeżyć zapas wody. I w tym wypadku również nie pojąłem nigdy, dlaczego mnie nie obezwładnili, nie zaprowadzili do osady, lecz sprzedali żywność za pieniądze, które zapewne niewielką miały między nimi wartość, choć przecież byli nędzarzami. Może budziłem w nich jakieś wspomnienia, a może kogoś im przypominałem? Jeszcze nie tak dawno przedtem wrzała tam zaciekle podjazdowa wojna, bolszewicki porządek zwalczali turkmeńscy partyzanci pod Musą Serdarem, Bedą Muradem, Babulem Karakulim, Daria Geakiem i wieloma innymi miejscowymi przywódcami panującymi przez lata nad czarną pustynią. Ich imiona i nazwiska usłyszałem od jednego z ich partyzantów w tej drugiej, odkrywkowej kopalni siarki i potem raz mi o nich opowiadał mój stary Turkmen w kotchozie „Dzierżyński”. To więc może dlatego tubylcy dzielili się ze mną, o nic nie pytając? I chociaż wiedziałem, że taki półdziki, sam nigdy nie syty koczownik wkrótce po spotkaniu ze mną, jeszcze bardziej dziko wyglądającym, oberwanym i głodnym, zapewne zawiadomi najbliższą placówkę władz, to jednak przypuszczałem, a nawet miałem pewność, że kilka godzin, tak jak przedtem trochę żywności, da mi na oddalenie się i być może wcale nie wskaże prawdziwego kierunku, w jakim poszedłem...

Więc te dni, to nie był jeszcze okres najgorszy. Kiedy ruszałem przed świtem, ustawałem zaś o zmroku, jeszcze wciąż jakichś osad na horyzoncie czepiając się oczami, choć je omijałem i tylko ten jeden raz siadłem przy ognisku roznieconym z wysuszonego wielbłądziego łajna z ludźmi, którzy sprzedali mi żywność. Ale później było już gorzej. A na końcu to żywności zupełnie mi zabrakło. Zresztą z tych ostatnich dni to pozostało mi w mózgu wrażenie przytłaczającej pustki jedynie, szarpiącego nerwy osamotnienia i myśli, że gdyby piekło biblijne miało istnieć,

przejdzie przez nie byłoby właśnie takie. Była to droga, która odcisnęła się w pamięci obrazem żółtoszarego koszmaru wypełniającego całą przestrzeń między niebem a ziemią, żaru uderzającego krwią do głowy, wypalającego myśli i jaskrawego światła, od którego zdawało się, że ślepnę. Także niezatartym wspomnieniem wiatru zacinającego piaskiem w twarz albo miotającego drobnym kurzem, który zatykał gardło i nos, wspomnieniem splekanych, twardych jak drewno warg, przełknięć śliny sprawiających mękę, brudnej piany na ustach, puchnącego języka, małych, dokuczliwych muszek lgnących do odsłoniętych, spoconych części ciała i bezmiaru wydm, które, choć były na pewno nieruchome, poruszały się, szły jedna za drugą dalej i dalej, przypominając kotłujące się piekło...

I to właśnie wtedy zjawiał się w pobliżu ten drugi, złowrogi, który mi towarzyszył, jakby moje odbicie. Co prawda przedtem też mi się zdarzało to nieraz. A nawet, jeśli się nie zjawiał, to stale czułem jego obecność przy sobie. Raz podczas tej straszliwej zimy z trzydziestego dziewiątego na czterdziesty rok widziałem go stojącego obok ułożonych w pryzmie, obdartych z odzienia, na kamień zmarzniętych trupów. I jak je przemilczał. A ubrany był w sypiące się kłakiem lisiury, nogi zaś miał w szmatach podłożonych od spodu kawałkami zdartej opony samochodowej okręconej drutem. I jego twarz wyrażała obłąkaną radość z powodu żniwa śmierci. Następnym razem widziałem go w więziennej pralni, kiedy przybrał postać nagiego starca i usiłował jakiegoś chłopca przewrócić na stertę brudnej bielizny za kadziami. A później jeszcze ze dwa albo trzy razy zjawiał się w tych obu kopalniach siarki i zawsze wyglądał jak ja, jak jeden z nas. Tylko że w gorszych jeszcze łachach, jeszcze bardziej owrzodziały, ropiejący i zawszony. I sam wygłodniały śmiertelnie, naigrywał się z głodu drugich, bo zawsze z tymi samymi propozycjami. Ze na wyekspluatowanych odkrywkach, gdzie rozstrzeliwują, leżą niezbyt głęboko pogrzebane, świeże trupy. Lecz potem, kiedy tułałem się i dotarłem do kołchozu „Dzierżyński”, a nawet w czasie choroby w kołchozie, to dał mi spokój. Dopiero tam na pustyni...

Stawał nieruchomo za wydmą, przypatrywał się z kamienną twarzą i odprowadzał wzrokiem, albo czynił jakieś znaki ręką i znikał. Niekiedy zastępował mi nagle drogę, dużo i prędko mówił, usiłując sprowadzić w bok z przetartego w piargach szlaku wielbłądzych i samochodowych karawan, w którego pobliżu się trzymałem. A miał postać albo tego zabitego przeze mnie na skraju kopalni Kałmuka, albo starego, mądrego Turkmena z kołchozu „Dzierżyński”, albo oficera, którego specjalnością było

masakrowanie więźniom genitaliów, albo Cygana spod Odessy, poznanego niegdyś w kazachskim sowchozie pod Kusta-Naja, zadowolonego w stepie w dzień wolny od pracy swe rozdzierające pieśni, albo nawet tej śniadej, drobnej, ledwo co rozwiniętej dziewczynki z plemienia Sartów, spotkanej na przedmieściach Chiwy, dziewczynki, która znowu wabiła mnie do swej zrujnowanej, bez dachu lepianki, mówiąc, że jeżeli za nią nie pójde, ona umrze z głodu, wybiegającej naprzód, przystającej za wydmą i czekającej, aż podejde bliżej, tylko że postać, w jakiej mi się ukazywał, była bez znaczenia, bo zawsze była to ta sama zjawą, której należało się strzec, chcąc mnie zwieść, wyprowadzić na zupełne bezdroże i zniszczyć. Tylko że nigdy nie straciłem świadomości do końca. I mijając ją z nienawiścią, i uparcie idąc dalej, myślałem nie o niej, ale o człowieku, który — według wszystkich religijnych nauk, z jakimi się tam u nas, w naszych stronach zetknąłem, katolickich, unickich, prawosławnych, żydowskich, ormiańskich, karaimskich chyba także — miał rzekomo być stworzony na podobieństwo Boga. I myślałem, że coś w tych naukach było w niezgodzie z prawdą, coś nie w porządku, bo wtedy nie miałem już żadnych wątpliwości, że człowiek został stworzony na podobieństwo zarówno Boga, jak Szatana, kto wie zaś, czy nie na podobieństwo Szatana przede wszystkim...

Więc może były to najgorsze chwile mojego życia, nie wiem. Bo pod koniec mogłem już iść tylko nocami, a skwarne dni przesyślałem mając pod skalnymi nawisami w parowach wyschłych strumieni. Noce zaś były wygwieżdzone, czyste, jak źródłana woda, z Kasjopeją, Lirą, Wielkim i Małym Wozem, które też wędrowały górą w tę samą co ja stronę i Krzyż Południa jaśniał na niebie, niby rozsypany, drobno zmielony lód. Ale miałem już za sobą dolinę wyschniętej rzeki Usboj i szedłem, wciąż starając się nie tracić z oczu linii kolejowej biegnącej w kierunku Tadżen i pewnie aż do Merw, czy może zakolem aż ku Bucharze, i którejs ciemniejszej nocy udało mi się doskoczyć do toru i wspiąć na wagon sapiącego na zakręcie pociągu naładowanego rudą siarki. Więc rano znalazłem się w tej miejscowości, którą kazał zapamiętać Beta Szaltaj z osady Damły i po kilku godzinach poszukiwań i przytania się trafiłem w to opisane mi przez tamtego miejsce, gdzie mogłem spotkać człowieka, któremu można będzie zaufać, który miał być tamtego bratem. Ale zapewne źle zrozumiałem, albo słowo brat znaczyło u tamtych ludzi niekoniecznie brata naprawdę, lecz tylko coś podobnego. Bo ten człowiek był z zupełnie innego niż tamten plemienia i nazywał się (a może to było przezwisko, nie wiem) zupełnie inaczej: Nerses-Achpar...

Mógłbym Ci najwyżej jeszcze opisać tę osadę przy stacji, właściwie auł nad brzegiem irygacyjnego kanału, wzdłuż którego rosły drzewa podobne akacjom, sykomy o wyglądzie starym i zmęczonym, przy ziemi zaś kuliły się krzewy tamaryszku. I może ten płowy pył, miękko niesiony wiatrem, i jak oklejał liście, żdzblał traw, płataninę ciemnistych roślin, ściany glinianych lepiank malowanych na żółto i niebiesko i twarze ludzi, którzy wiedli drogą wzdłuż kanału swe juczne osły i muły. Ale wiem, że nie widoki Cię interesują, choć było to dla mnie miejsce szczególne, bo jak gdyby na progu wolności i pierwszy raz tam spałem naprawdę, bez wyostroznej czujności zwierzęcia, które dalej słyszy i widzi śpiąc, i pierwszy raz po wielu dniach męki niedojadania, a potem zupełnego głodu, znowu coś miałem w ustach, co być może kosztowałoby mnie życie, gdyby ten człowiek nie wiedział dobrze, jak jestem wykończony i że jeden większy kęs mięsa mnie zabije. Więc mógłbym Ci tylko opisać tę noc w kamiennej chacie zawieszanej na stoku nad osadą, spędzoną w świetle bijącym od komina, na którym jeszcze z wieczora pod żelaznym saganem z kaszą i baraniną buzował ogień. I może w kilku zdaniach narysować i przybliżyć sylwetkę Nerses-Achpara siedzącego w kucki na klepisku, mężczyzny o twarzy koloru wypalanej cegły, który mógł równie dobrze mieć pięćdziesiąt jak i osiemdziesiąt lat. Jak opowiadał mi coś ściszym głosem a w jego oczach były złe błyski; niewiele z jego słów zrozumiałem, jeszcze mniej zapamiętałem, ale chodziło o to, o co chodziło wszystkim ludziom spotkanym przeze mnie przedtem po drodze, jeśli w ogóle mówili, jeśli chcieli i nie bali się mówić: że kiedyś żyli inaczej...

Siedzieliśmy w kręgu czerwonego żaru z komina i chyba znów posypiałem, ale jakby nie było ścian chaty, zapory z kamienistych wzgórz nad osadą i odległości, widziałem całą drogę, jaką przebyłem. Nie myślałem o męce, którą mnie kosztowała, nawet nie o ciałach bliskich i obcych, którymi była znaczone, ale o tych żywych, którzy pozostali, którym się nie udało i może nigdy nie uda, i pozostaną tam na zawsze — tak oni, jak i ich dzieci, skazane na połączenie się ze swymi prześladowcami, i jak bastardy tych dzieci, aż do pokolenia, które nie tylko słowa języka swych ojców nie będzie pamiętało, ale które nie będzie w ogóle pamiętało o swych umęczonych ojcach i matkach. Wszystko to teraz, kiedy piszę, brzmi być może patetycznie i zbyt gładko, bo zapewne niektórych myśli w ogóle nie można przerzucić na papier, ale, cóż poradzę, tak chyba właśnie myślałem. I myślałem także o Nerses-Achparze, który siedzi naprzeciw mnie w nieruchomym odblasku miedzianego żaru z komina, nasłuchuje wiatru nadlatu-

jącego z pustyni w ciężkich podmuchach i mówi, że kiedyś on i jego ziomkowie żyli inaczej, a inaczej, to znaczyło po ludzku. I myśląc o tym kraju największej pogardy człowieka i największego upodlenia, jaki kiedykolwiek przedtem i potem widziałem, znowu myślałem, że go opuszczę, bo byłem pewien, że opuszczę, jak już wtedy, kiedy na odkrywcę zabiłem tego Kałmuka, a nawet jeszcze wcześniej, w kopalni pod Bed-Pak-Dała, i przy bawelnie, i w czasie wypasania wielbłądów i owiec, i w więzieniach, i na poszczególnych etapach zsyłki. Aż zapragnąłem dowiedzieć się, dlaczego on dla mnie to robi, dlaczego wyprowadza mnie z tego piekła, bo nazajutrz miał mnie ukryć w ciężarówce załadowanej workami cementu, którą poprowadzi do miasta, gdzie był jeszcze jeden z ostatnich, a może w ogóle ostatni punkt repatriacyjny polskiej armii... Z piekła, z którego pewnie nigdy bym sam, zdany na własne jedynie siły, wydostać się nie zdołał... Bo gdybym się dowiedział, dowiedziałbym się w ów prosty sposób także, dlaczego na każdym etapie mej drogi spotykałem pojedynczych ludzi podobnych do niego, którzy dawali mi żywność, wodę, schronienie, radę, jak przedostać się z jednego miejsca na inne miejsce, którym niczym innym nie mogłem odpłacić za przysługę, jak uściskiem dłoni i kilkoma słowami, których znaczenia nie rozumieli, po brzmieniu głosu domyślić się zaledwie mogli, że są słowami wdzięczności. I zapytałem Nerses-Achpara, dlaczego to dla mnie robi. Z narażeniem na aresztowanie, na utratę życia, i w ogóle takie różne inne słowa mówiłem, dziś wiem: nic w tamtej sytuacji nie mogły znaczyć, brzmiały pewnie nawet banalnie... A nawet powtórzyłem to pytanie kilkakrotnie, bo porozumiewaliśmy się za pośrednictwem kilkudziesięciu słów turkmeńskich, a język turkmeński nie był wcale jego językiem, i niewiele więcej rosyjskich, i, myślałem, że Nerses-Achpar mnie nie rozumiał. Ale Nerses-Achpar rozumiał już wtedy, kiedy zapytałem po raz pierwszy, pozwolił mi się tego wreszcie domyślić ten jego jak gdyby wyrozumiały, zamyślony, nieco zażenowany nawet uśmiech na nieruchomej poprzednio twarzy. Tylko że najwidoczniej pytanie uznał za mało dyskretne, albo może wstydlive, by mógł na nie odpowiedzieć inaczej, niż tym uśmiechem jedynie i milczeniem. I tak nie dowiedziałem się nigdy, pozostając zdany na te różne własne domysły, które pewności mi nie dadzą. Z obrazem jego dzikiej, niezbyt szerokiej, lecz kościstej, prawie brunatnej, ceglastej twarzy pod powiekami, twarzy zadumanej, z zagadkowym błyskiem czarnych oczu, i tak będę go widział do ostatka swych dni...

Więc, jak sam widzisz, niewiele z tego pamiętam, co istotnie

chciałbyś wiedzieć... Co, jeżeli jeszcze we mnie niekiedy się odzywa i powraca, to najczęściej we śnie tylko i jak sen. Co już się miesza i myli, z czego pewnie, co najważniejsze, zapomniałem; nie miałem z kim o tym mówić, nie było potrzeby, nawet z żoną. Bo nawet ona nie zrozumiałaby, może nie uwierzyła wcale, gdyby zaś jednak uwierzyła, zawaliłoby to pewnie ten cały gmach pojęć etycznych, z którymi wyrosła, którymi się kieruje. I o ludzkiej sprawiedliwości, i o rozumie ludzkim, i o porządku moralnym świata. Więc, tak będzie najlepiej, zostawmy to...

Warszawa, 1963 r.

BÓG Z TOBĄ, SYNU...

Tej nocy wiedział, że na pewno nie zaśnie, ale leżał na najwyższej pryczy i wydawało mu się, że jest ciepłej. Kiedy przed miesiącem trafił do siódmego podobozu kombinatu łagrowego Smirnowaja, najpierw do baraku jedenastego, gdzie rządziła powiązana najrozmaitszymi związkami z administracją i obozową strażą banda młodych urków, miał pryczę najniższą w rzędzie blisko wyjścia do latryny, a potem, gdy go przerzucono do baraku ósmego, między drwali, też miał pryczę najniższą, tyle, że trochę dalej od latryny, choć za to również dalej niż w poprzednim baraku od wygiętej w literę „z” rury prowadzącej od beczki po ropie, służącej za piecyk, chyba naprawdę nie dającej wiele ciepła, lecz już jak gdyby grzejącej samym jego złudzeniem; tak samo kazano mu zająć tę pryczę najniższą w baraku czwartym, gdzie został skierowany przedwczoraj, kiedy przez cztery kolejne dni nie wyrobił nawet połowy dziennej normy i gdzie ponad trzecią część jego mieszkańców stanowiły dochodiagi; tę najniższą i w rzędzie w pobliżu niedomykających się drzwi.

Tego dnia jednak stary mężczyzna z pryczy na samej górze, przy wieczornej zupie, z którą przyczłapał do niego i przysiadł na skraju jego barłogu, zaproponował zamianę: miał chore nerki, musiał trzy, albo cztery razy w ciągu nocy schodzić na dół, żeby bieć do latryny oddać mocz, wejście z powrotem sprawiało mu jeszcze większą trudność; zgodził się ze starym milcząco, popatrzywszy na jego obrzmiałe, przypominające elephantiasis nogi. Więc teraz, po raz pierwszy tej zimy, może nawet po raz pierwszy od połowy jesieni, kiedy wiatry od Oceanu przygnały ulewne deszcze, a wilgocią nasiąknięta kora drzew w lesie obmarzała na noc od strony północnej pionowymi białymi pasami, mógł wma-

wiać sobie, że jest cieplej, że nie musi się trząść, w każdym razie nie ma powodu, żeby się trząść i gdyby tylko o to chodziło, powinien był zasnąć.

Bo tamtej wiosny, kiedy jeszcze na Lefortowie, podczas jednego z nocnych przesłuchań wgnietli mu kawałek własnej jego kości w głąb czaszki, nie mógł spać ze strachu. Bał się, że jeżeli zaśnie, straci wtedy kontrolę nad swoją świadomością i podpisze co zechcą i zrobi też, co zechcą i myślał, że to on sam nie chce zasnąć. To zaczęło się od razu w więziennym szpitalu i trwało dobrych kilka tygodni później również, kiedy już ze szpitala przeprowadzili go z powrotem do celi. Przez pierwsze godziny nocne nie było nawet wcale takie trudne, wciąż bolała go głowa, zresztą myślał o różnych rzeczach nie związanych ze swoją sytuacją i przypominał sobie też różne rzeczy nie związane ze swoją sytuacją, ale potem ból zwolna się stępiał i nad ranem czuł, że świadomość mu się mąci i zaraz coś ucieka z niego w ciemność, choć w celi całą noc paliła się nad drzwiami nieosłonięta niczym prócz kratki żarówka, i tylko najwyższym wysiłkiem woli udawało mu się to pokonać i to coś zatrzymać. Aż w końcu zrozumiał, że zupełnie niepotrzebnie tak trzodzi się i męczy, bo zapewne już dawno podpisał, co chcieli i to co chcieli, żeby zrobić, być może też był zrobił. Więc jeśli dalej zasypiał dopiero nad samym ranem i jeszcze potem budził się kilkakrotnie w czasie krótkiego snu albo nie zasypiał w ogóle, przyczyną musiało być coś innego, niż strach. Mówił sobie później, że głód albo wyczerpanie, że wszy albo zatykający oddech smród chorych na flegmonę i pyłagłę, albo wreszcie, że przenikające go do szpiku w kościach zimno (było to na kolejnych etapach następnych więzień i obozów), ostatnio zaś wszystkie te przyczyny mógł dodać razem, a nawet jeszcze jedną, że jutro zamiast karceru, czeka go specjalność Smirnowej, kara słupka, mimo to jednak wciąż przecież gdzieś w głębi tał gnębiące podejrzenie, że żadna z tych przyczyn nie jest wystarczającą dla wyjaśnienia jego bezsenności, już na pewno zaś nie strach przed karcerem, karcer przetrzymał wiele razy i zmieniany na kary bardziej niż w Smirnowej wymyślne. Więc, żeby nie dopuścić do powrotów w tamtą straszną ciemność i jasność zarazem, kiedy wgnietli mu w głąb czaszki kawałek jego własnej kości, bo to była ciemność eksplodująca nagle tysiącem ogni i porażająca całą świadomość, a w której przyczaiło się na dnie coś, co mogło być przyczyną prawdziwą, nie dopuścić do powrotów i nie dać się tej ciemności wciągnąć, gdyż zaraz wracał też zapomniany zwolna ból, który sprawiał, że znowu ulatywała zeń dusza, wynalazł wiele przeróżnych sposobów zajmowania myśli.

Przypominał sobie na przykład jesień w Czarnohorze, pierwszą jesień, czas bowiem na nowo liczyć zaczął się wtedy od zera. Do samego południa padał deszcz, ale potem zazwyczaj się rozchmurzało, niekiedy nawet przebijało się słońce, u wylotów dolin wisiały tęcze i było cicho, jakby cały świat się wyludnił. Jeszcze nie był sam, jeszcze trzymali się razem: trzech szeregowców z tego co on plutonu, oficer artylerii, który zwariował, ale łagodnie, nie mieli z nim kłopotu, tylko nocą jęczał przez sen, wykrzykując imię żony, którą krasnoarmiejcy wygarnęli w łapance na targu, a kiedy próbowała ucieczki zastrzelili na miejscu, i dwóch cywilów, co całymi dniami układali plany przejścia na Węgry i czekali na zaufanego, znającego dobrze drogę przewodnika. Łowili tam na sznurek zaopatrzone w haczyk z agrafki pstrągi, brały nieźle, a także wprost rękami, stojąc po kolana okrakiem w strumieniu (przed wojną nigdy nie widział w tamtej okolicy tyle ryb) i można było się wyżywić, zwłaszcza, że Huculi też dawali co mieli, chętnie i nikt z nich nie donosił.

Pewnie by wtedy z tymi dwoma cywilami doczekał ich przewodnika i się przyłączył, ale w końcu stało się inaczej. Artylerzysta którejs nocy jęczał głośniejsz niż zawsze, nikt się nie przejął, przywykli, a rano znaleźli go z obrzmiałymi, pogryzionymi wargami zimnego, krew z podciętych nadgarstków już zakrzepła i wybuchło straszliwie piekło, kto nie dopatrzył, jakiś sukinsyn wstawał przecież, szedł przed szłas się wysikać, wszyscy słyszeli, więc kiedy go wreszcie pogrzebali między skałami pod granią, gdzie było sucho, każdy zwinął swój węzełek i bez słowa pożegnania poszedł własną drogą. Nie chcąc, a potem nie mogąc zasnąć, często usiłował przypomnieć sobie te twarze. Widział je niewyraźne, zamazane. Nie spamiętał imion, ani nazwisk. Tego artylerzysty również nie. Twarz jego jednak zapamiętał, do niej szczególnie był przywiązany i powracał w myślach najczęściej.

A później nastala pora wiatrów, deszcz siekł całymi dniami, potoki wezbrały, pędziły wzburzone, wygarniając z brzegów łozę i kamienie, wieczorem zaś, kiedy wiatr i deszcz cichły, góry stały we mgłę, jak w rozrzedzonym mleku. Coraz trudniej znajdował wtedy robaki na przynętę, może nie umiał ich szukać albo pochowały się głębiej, zresztą zgubił gdzieś haczyk i musiał łowić ryby rękami na rozlewiskach i płycznach, co rzadko się udawało, woda była zimna jak lód i mętna, a już zaczęły się u niego te napady dreszczy, które opanowywał tylko z wielkim trudem. Sypiał więc w szłasach pasterskich, lub w szopach na siano, niekiedy przesypiając całą noc i cały dzień. Zwolna też tracił rachubę czasu. Tyle, że był taki Hucul, który przychodził raz na trzy

dni i przynosił zawsze pajdę chleba z osełką owczego sera — i według niego obliczał czas. Kiedyś jednak nie mógł się go doczekać; wydawało mu się, że minęły cztery dni, a gdy tamten wreszcie przyszedł i powiedział, że tylko trzy, nie wierzył mu, innym zaś znowu razem według własnych obliczeń Hucul przyszedł już po dwóch dniach, ale twierdził, że właśnie mija czwarty, nie mógł wcześniej, przez wieś przeciągało wojsko, pilnowali dróg, i odchodząc oznajmił, że dopiero za pięć dni może się zjawić, więc zdał sobie sprawę, że cały jego system rachuby jest na nic i myślał, że zwariuje.

Siadał wtedy pod drzewami na urwisku, patrzył na drogę niżej, słuchał jak w igłach i liściach szuści deszcz i czekał, aż przejedzie jakiś wóz lub zobaczy choć jednego pieszego. Jeśli udawało mu się kogoś zagadnąć i tamten nie uciekał, pytał o dzień, miesiąc, nawet o godzinę i czy otrzymywał odpowiedź, czy nie, wracał uspokojony w góry i mógł znowu zasnąć. Zazwyczaj jednak droga całymi dniami była pusta i wkrótce spostrzegł, że dokładne oznaczenie czasu stało się mu obojętne. Ten Hucul też przestał przychodzić i doszedł do przekonania, że nie żyje. Był to twardy człowiek, z samych mięśni, z gruzłowatych żył, patrzył prosto w oczy i niewiele mówił (przez lata zajmował się pasterstwem, w górach zaś odwyka się od rzucania słów na wiatr); wiedział, że gdyby żył, przyszedłby po trzech, czterech czy może pięciu dniach, skoro więc nie przyszedł, musiał nie żyć. Bo już wtedy nauczył się myśleć o śmierci z tą jakąś obronną tarczą, która stawała się coraz grubsza. Ktoś umiera, ktoś umarł — mówił sobie i aby uspokoić swą świadomość dodawał: wszyscy umierają. W domyśle było: mnie to też czeka, choć tego wcale nie musiał rzeczywiście pomyśleć, tym bardziej powiedzieć, zresztą nie miał do kogo, ale na to właśnie wychodziło, skoro czeka to wszystkich, to i jego. I jego świadomość dalej pozostawała nieporuszona. A nawet jeśli poruszona, to nie wstrząśnięta. I po jakimś czasie uspokojona. A wkrótce w tym uspokojeniu — usprawiedliwiona. Bo najokrutniejsze było, że nie rozmiął się z prawdą — wszyscy umrą, czyli on też. Więc przyjęcie cudzej śmierci bez żadnego wstrząsu nie wydawało mu się niczym zdrotnym. Od śmierci przecież gorsza była samotność. Od samotności umierała dusza. A coraz częściej bał się samotności, mąciło się od niej w głowie, przeczuwał, że zaraz zaczną dziać się z nim jakieś dziwne rzeczy, nad którymi nie zdoła zapanować. Schodził wtedy w popłochu w dolinę i zatrzymywał się w byle jakim, pierwszym napotkanym niechłopskim domu. Dawali mu jeść, a potem on nie pozwalał im zapalać lampy i opowiadając, wycza-

rowywał, w wielkim podnieceniu, przed zasłuchanymi gospodarzami jakiś świat nie posiadający już żadnej realności, z którego obrazów jednak mogli się byli domyślić tego, co pochłaniały gęstniejące mroki wojny. Wracając, był tak odurzony, że gubił kierunek. Przypominał go sobie później w bezsenne noce, leżąc na przychy. W wyobraźni szedł z powrotem, znowu wchodził do tamtych domów, przypominał sobie twarze, nieraz nawet to, co sam mówił. Zajęło go to na długo.

Kiedy nastały pierwsze przymrozki, mieszkał w jamie w lesie. Żywił się owocami tarniny, były cierpkosłodkie. Czasem wykopywał czubkiem buta z ziemi nadmarzniętą brukiew albo rzepę zapomnianą przez chłopów, których puste poletka przeszukiwał o świcie pod osłoną mgły. Bał się, że zapomni, jak się nazywa. Spotykał niekiedy takich jak on, zazwyczaj byli to żołnierze z jego rozproszonego w tych okolicach pułku; nie mieli sobie wiele do powiedzenia, ten sam los nie zawsze zbliża, ale pytał ich, jak się nazywają i ich odpowiedzi nie budziły w nim wątpliwości. Tylko raz jedna. Usłyszał nazwisko obce, znane mu wprawdzie, lecz należące do poległego już w drugiej dekadzie września, kiedy od Stanisławowa przebijali się ku Kołomyi i, choć zaraz zaoponował stanowczo, tamten nie chciał zmienić zdania. Szukał potem tych spotkanych wcześniej i jeszcze innych, których przedtem nie spotkał i pytał wciąż o to samo, aż mu ktoś powiedział, że dłużej tak nie można, sowietarze przetrząsają lasy, naprowadzi ich na ślady, ma zejść z oczu, jeśli nie chce, żeby mu przytrafiło się coś od swoich, ale w końcu zdobył pewność, że tamten się pomylił. Więc wrył swe nazwisko szczyrykiem na pniu drzewa i krótko był spokojny. Tylko że po kilku dniach nie mógł do tego drzewa trafić i wtedy przyszło mu do głowy, że rzeczywiście dłużej tak nie można, że trzeba iść między ludzi. A już szybko zbliżała się zima. Jeszcze wprawdzie w południe brzegi strumienia ścinało jedynie cienkie szkliwo lodu i woda płynęła niżej pod bąblami powietrza, wydając szmery, jak nagie stopy dziewczyny idącej po łące, ale przed zmierzchem mróz skuwał nawet główny nurt.

O tym okresie nie lubił myśleć, nie wszystko tam było dlań jasne, ani co robił, ani gdzie wędrował, pamięć męczyła się szybko, od skroni do karku przesywał głowę ostry ból i wiedział: zaraz zacznie się to, co tam na Lefortowie, dlatego wspominał go najrzadziej. Bo wtedy też przestał kochać Boga. Nie żeby przestał wierzyć, to nie, jego istnienie było dlań dalej faktem niepodważalnym, ale przestał go kochać. Już niekiedy dawniej podejrzewał, że przebywając gdzieś tak niezmiernie daleko i w swej wielkości tak nieogarniony, nie może widzieć wszystkiego ani wszystkiego

słyszeć, raz jeden nadał kształt ludzkim rzeczom i bieg ludzkim sprawom, jakże by miał jeszcze śledzić rozwój tych rzeczy i spraw, ale jednak nigdy dawniej, także w najgorszych chwilach, nie opuszczało go przekonanie, że jest sprawiedliwy. A oto któregoś dnia przekonanie to utracił. Nagle więc zapomniał najprostszych rannych i wieczornych modlitw, które zresztą od dłuższego czasu szeptał jakby bezwiednie tylko i zupełnie mechanicznie, i już więcej nie chciał o nim nawet myśleć. Gdy schodził nocą w dolinę i zakradał się do chłopskich kopców z brukwią na skraju wsi, niebo było czarne i absolutnie puste, stało całe w gwiazdach, które błyszczały zimne i martwe, jak szklane oczy trupa.

Przed świtem, w ciemności, szyny na nasypie kolejowym przenikał podłużny, metaliczny dźwięk, po jakimś czasie rozlegało się dudnienie kół towarowego pociągu, słyszał sapanie lokomotywy, potem niewidoczny pociąg mijał go i pogrążoną jeszcze we śnie wieś, zatrzymywał się tylko na krótko w miasteczku na granicy podgórze i zaraz znowu ruszał i przepadał. Wtedy wiedział, że należy wracać do swej kryjówki; pociąg stał się dlań najlepszą miarą godzin. Wkrótce jeszcze spostrzegł, że raz na trzy dni doliną przebiega o tej porze inny pociąg, to znaczy tak samo, jak tamten, towarowy, na narożnikach wagonów jednak zatknięte miał na żelaznych prętach zapalone latarnie i do pierwszego i ostatniego dobudowane były budki o wysokości człowieka, jakby pionowo ustawione skrzynie. Mijał on bez zatrzymywania się zarówno przystanek we wsi, jak i stację w dalekim miasteczku, a jego latarnie tworzyły w pędzie długą, wesołą smugę światła, jak jasne okna pulmanowskich wagonów dalekobieżnych ekspresów, które kursowały na tej trasie przed wojną do Rumunii, wioząc rozbawione towarzystwo do różnych wód i nad ciepłe morze. Ten pociąg pozwolił mu odmierzać także przemijające dni. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim dowiedział się, a może sam pojął, że w swych dobrze zarygłowanych, opatrzonych na narożnikach latarniami wagonach transportował on na wschód uwięzionych ludzi, uwożąc ich ku nieznanym mu jeszcze wtedy przeznaczeniom. I do tego wspomnienia nie wracał chętnie.

A któreś nocy wiatr przygnał śnieżną zadymkę, wiał długo i przenikliwie, i znowu zgubił się w rachubie czasu. Bo kiedy wreszcie ucichło i dźwignął znad wylotu swej jamy osłaniającą ją wiązkę świerszczyzny, sądził, że jest dzień, on zaś jest tylko zasypany, ale to była noc, a zasypany był także. Nie potrafił się domyślać, która to noc od czasu, gdy ostatni raz schodził w dolinę; był głodny, dawno nie jadł, ognia nie rozniecał też już dawno, zbudziło go wprawdzie bolesne ssanie w żołądku, ale kie-

dy przełknął trochę z trudem rozpuszczającego się w ustach śniegu, ssanie ustało, pomyślał więc, że może nie był wcale aż tak bardzo głodny i że w ten sposób również nie dowie się, ile upłynęło dni. Potem w dreszczach przespał cały dzień. Śniła mu się zmarła matka, ten artylerzysta, który podciął sobie żyły jeszcze w październiku, a nawet jego zastrzelona na targu żona, której przecież nigdy nie widział na oczy. I kiedy zbudził się przed zmierzchem, nie mógł doczekać się nocy i stał na zewnątrz przed swoją jamą, nie mając odwagi zaszyć się tam w głębi, bo wiedział, że od razu zacznie śnić nie zapadając wcale w sen, i gdy tylko ściemniało się dostatecznie, zawałoną po pas śniegiem ścieżką zszedł w dolinę, ominął zakolem wieś, wdrapał się na kolejowy nasyp i szedł potem długo, aż zbliżył się do wiaduktu pod miasteczkiem i zobaczył po drugiej stronie domek nastawniczego, a wtedy kucnął pod świerczkiem i czekał, aż światło tam w oknach zgaśnie, ażeby mógł wejść do środka i zdobyć coś do jedzenia.

Ale noc dawno już była w pełni, światło zaś w oknach domku wciąż nie gasło, a z komina snuł się bladą smugą dym. Mróz tężał, księżyc stał wysoko jasny, te dreszcze powróciły znowu, i senność, i strach przed zaśnieciem w śniegu, więc w końcu przebiegł wiadukt, dopadł drzwi, kopnął je nogą i nagle znalazł się w izbie pełnej mezbliżni, którzy jednak nie obdarzyli go nawet jednym żywym spojrzeniem, a drobny staruszek w znoszonym mundurze kolejarskim, chichocząc, powiedział mu, żeby zachowywał się cicho, on widział go tam po drugiej stronie wiaduktu już z wieczora, nawet chciał iść, przywołać, ale śnieg leży za wysoki i żeby się przysiadł i co chce zjeść, zjadł.

Tę noc zapamiętał też, jak we mgle, lecz często do niej w myślach powracał, zwłaszcza, kiedy z Moskwy powieźli go za Ural. Bo tam spotkał podobnego kolejarza, spali na sąsiednich pryczach i jedli z jednej miski. Zawsze czymś to wspomnienie uzupełniał. Nigdy nie domyślił się, co to byli za ludzie, siedzący tam w izbie przy stole. Może przemytnicy? Dawni żołnierze albo partyzanci? Wciąż jeszcze snuły mu się po głowie strzępy tamtych posłyszanych rozmów: „Na konia nienawykłego włożyć trzeba trzęzłą, której wędzidło powinno być grube i tępe...”, albo: „Żołnierz na początku nie powinien używać munsztuka, ale trzęzłą wszystko z koniem robić...”. Zapamiętał je dobrze. Lecz być może siedział tam i jakiś cywil, uciekinier? Bo jeden mówił, że gdy w więziennej celi obleżą człowieka wszy, trudno go obwiniać o brak higieny, a znowu inny, że ludzie z natury nie są równi i jeżeli chce się, żeby byli równi, trzeba im odjąć wolność, bo ludzie nie mogą być jednocześnie wolni i równi; tak mówił ten

człowiek. A ktoś jeszcze inny melancholijnie pytał: „Czy aby wróćka kiedyś tamte dobre dni?”, drugi zaś odpowiadał sentencjonalnie: „Nie wróćka. Nigdy nie wraca, co odeszło. Nie napoisz konia dwa razy w tej samej wodzie rzeki...”. I wszystko to razem nie pasowało do siebie, nie miało sensu. Więc może pamięć uzupełniała tę noc rozmowami z dalszej jeszcze przeszłości. Nie był tego pewien. Wiedział jedno: tam było ciepło, pachniało jadem, samogonką, gorzkim dymem machorki i że starszek w kolejarskim, znoszonym mundurze bez powodu chichotał ciekawym, kogucim głosem, choć oczy miał nieruchome, jakieś ślepe, bez wyrazu. Potem zapamiętał chwilę, kiedy otworzyły się drzwi i wnosząc z sobą obłok pary do izby wtłoczyli się mężczyźni w kożuchach i z plecakami na grzbietach. Ich twarze były osędziałe od mrozu, śnieg tajał na ich rzesach i zarośniętych policzkach; szeptali coś krótko z gospodarzem i zaraz wszyscy inni zaczęli w wielkim pośpiechu zbierać z ziemi tłumoki i paki, i wychodzili z przybyszami na dwór.

Noc ta stanowiła we wspomnieniach punkt graniczny. Bo później była długa droga, ale gdzie i z kim, nie zapamiętał. Ciemność tylko, zimno, wstrząsające nim znowu dreszcze (może był chory?), chyba jednak nie mógł być chory, skoro w przejaśnieniach świadomości ciągle szedł przez góry, albo budził się w jakimś chłopskim sąsięku, czy szopie na siano u skraju połoniny, lecz najczęściej szedł przez góry, i nie były to te same góry, choć wyrastały podobnie z ośnieżonych lasów, lecz wciąż inne, a potem, to już jak gdyby ocknął się z długiego omdlenia, dźwignął z podłogi w gajówce, stojącej na stoku nad doliną i poszedł do uchylonego okna, chcąc je odemknąć szerzej, ale ktoś z tyłu powiedział, żeby zostawił je w spokoju, z zewnątrz będzie widać.

Że to była gajówka wiedział później z całą pewnością, bo i wtedy już to wiedział. A od tamtej chwili pamiętał wszystko dokładnie. Jak podszedł do okna, spojrzął na szczyty gór w niebieskawej ni to mgiełce, ni to otoczce powietrza sypkiego, jak drobny piasek, a niżej były skłębione chmury, obwisłymi brzuchami dotykające wierzchołków czarnych lasów. Wiedział też i zapamiętał, że ci na ławach i pod ścianami ludzie, których nie mógł sobie przypomnieć z czasu wcześniejszego, cały dzień przemykali się pasterskimi ścieżkami do tej właśnie gajówki, a rośli, czarny mężczyzna siedzący przy stole był chyba starszym nad miejscowymi przewodnikami. Gajówka stała na północnym stoku doliny, dno doliny przecinał zamrznięty strumień, w pobliżu zaś brzegu, między zsuwającymi się ku niemu spadziście zagajnikami, rozrzucone były luźno pałatki sowieckich straży granicz-

nych i widziało się je zupełnie dobrze na roziskrzanej bieli śniegu, nawet nie patrząc przez szkła.

Także widziało się je dobrze i po zmierzchu, gdy już wszyscy, ci z rodzinami i bagażem, umówieni, co zapłacili, i jeszcze dwóch, takich jak on, co mieli być tragarzami, zgromadzili się w chacie i choć gajowy krzyczał, żeby nie podchodzili do okna, co chwilę ktoś nie wytrzymał, znowu je szerzej uchylał, wsadzając w szparę głowę, i niespokojnie spoglądał w dół. A starszy nad przewodnikami, może Hucuł albo Ukrainiec Zakarpacki, czy inny miejscowy, trudno mu było dociec (wyglądał raczej na herszta przemysłowców), nic nie mówił, tylko w jego oczach były jakieś błyski. Potem jednak zmierzch się zagęścił, od gór zadymił i powiało śniegiem, i kazał im rozłożyć się na podłodze, żeby nabrali sił przed drogą, okno też kazał zamknąć i zasłonić, a sam siedział przy stole z małą lampą naftową pośrodku i liczył pieniądze, cicho, jakimis skrótami, językiem prawie niezrozumiałym instruując tych swoich, którzy siedzieli naprzeciwko niego. A jeszcze potem to na stole, miast pieniędzy, w słabym kręgu światła lampy leżała wystrzępiona po brzegach, wytarta na zagnieceniach mapa, oni zaś nachyleni nad nią szeptali coś w podnieceniu i porywczu, jakby się kłócili. I już była noc. Ten czarny wciąż się nie ruszał, zdmuchnął jednak z gniewem lampę, gdy jeden z jego ludzi otworzył drzwi i kazał wychodzić na dwór w ciemność; sam został w chacie.

Tylko, że to nie była ciemność naprawdę, pamiętał dobrze. Bo gdy znowu przystanęli u skraju z rzadka zadrzewionego urwiska, widziało się wszystko wyraźnie. Szczyty gór były czarne, to prawda, ledwo zarysy, kreski, i niebo wyżej, na którym księżyc w ołowianym, prześwieتلonym na wskroś kręgu błyszczał, jak pieniądz z zatartym wizerunkiem ptaka, albo ludzkiej głowy, też było czarne. Nawet jeszcze lasy poniżej. Lecz na dole, gdzie pochyłość zbiegała do strumienia, biel śniegu niebieska zdradzała każdy ciemniejszy punkt: na gołoborzach sterczące pieńki, jałowce wybrzuszone się spod zasp, karłowate świerczki, w sęgi ułożone równo bale zrąbanych drzew. I chociaż wiatr tu i ówdzie podnosił obłoki ostrej jak lodowe igły kurzawy, zawijał ją i zgęszczał, widziało się, patrząc w dół, nie gorzej niż z wieczora: te pałatki, szałas, przytupującego strażnika gdzieniegdzie i psy, znowu gołym okiem. A wtedy jeden z przewodników powiedział, że nie można czekać, tam wkrótce zmieni się warta, tylko zaś ci są opłaceni, i dał znak, i po dwoje, troje, każdą grupę z jednym ze swoich, odprawiał ledwo widoczną ścieżką w prześwity między zagajnikami. Więc powinien był wiedzieć, powinien był już

nawet wiedzieć wcześniej. Kiedy ten czarny, herszt, czy kim on tam był, kłócił się ze swoimi ludźmi przy stole, albo przynajmniej wówczas, kiedy nie wyszedł od razu z innymi z gajówki, czy chociażby później, kiedy jednak w końcu posłyszał z tyłu jego kroki, ostrożne skrzywienie jego butów odrywających się od śniegu. Bo przecież tyle czasu żył w lesie, jak zwierz, i kierował się instynktem. A nie przeczuł nic. Oni zaś szli w te prześwitły między zagajnikami ufnie, w wysoki, kopny śnieg, grzęzli po uda, z tymi tobołami, z dziećmi, i padali w tym śniegu, gdy zaterkotał karabin maszynowy, już widać dawno przedtem w tę stronę ustawiony. I choć była to tylko jedna seria, niewielu zdołało zawrócić bo zaraz z ujadaniem poskoczyły w górę pochyłości psy.

Przypominał sobie te chwile wielokrotnie, uczył się ich na pamięć. W więziennych celach, w wagonach towarowych, na deskach, na pryczach, na cemencie. Zwłaszcza zaś później, kiedy przestał już myśleć, żeby nie powiedzieć, co oni chcą, nie podpisać, co chcą, ani żeby tego, co chcą, nie zrobić, kiedy wreszcie na myślenie o tym, co było wcześniej, miał wiele czasu, zasypiając tak bardzo trudno, albo wcale. W takie noce próbował nieraz wydobywać z pamięci jakieś dodatkowe szczegóły, które by mogły być ważne, w końcu jednak okazywały się nieważne, albo mało, i poza niezrozumiałymi, zagniewanymi słowami siedzącego przy stole herszta i że między jego ludźmi od początku był już jakiś spór, nic istotnego nie potrafił tam znaleźć. A przecież myślał o tym także w czasie następnych transportów, w ciężarowych budach, w stołypinkach i na barżach i potem w pierwszym łagrze w lesie za Uralem, gdzie rąbał sosny i świerki w brygadzie leso-rubów i nawet w drugim jeszcze, już w Turkmenii na pustyni, w kopalni siarki, aż wreszcie, kiedy go stamtąd zabrali, którejs nocy raptem przestał. Powiedział sobie obojętnie: „Może nas sprzedali. A może z tymi strażnikami coś nie wyszło, jak się byli ułożyli”, i go to nie obchodziło więcej.

Teraz zaś myślał tylko, że nie ma już nic do myślenia. Bo kiedy próbował cofnąć się wspomnieniami jeszcze dalej, przedrzeć się przez granicę fatalnego września trzydziestego dziewiątego roku: był tam przecież ojciec, siostry, kobiety, które lubił, a nawet niektóre kochał, pamięć nie puszczała; to była granica najsilniej strzeżona. Jakis czas usiłował przynajmniej myśleć o tym, że zasypia tak trudno i tak późno, albo nawet wcale i że w ten sposób prędzej się wykończy, wkrótce jednak stwierdził, że nie potrafi i doszedł do przekonania, że to temat do myślenia dla psychiatry, nie dla niego. Więc potem, kiedy go łapały dreszcze, liczył drgawki swego ciała, jakby było osobno i obce, innym razem

znowu jęki śpiących i ich szlochy, albo ile kto razy wychodzi nocą do latryny; czasem słuchał rozgorączkowanych oddechów, rżącego chrapania, charczenia umierających, beładnych majaczeń, słów, które wykrzykiwali przez sen w różnych językach, imion Boga i innych imion, albo gwizdu wiatru w szparach dachu baraku, trzeszczenia drewna ścian na mrozie, kroków przechodzącego przez zonę patrolu. Tej zaś nocy wiedział, że nie zaśnie nawet na krótko. Słuchał dochodzącego z dołu uporczywego kaszlu starego mężczyzny z nogami obrzmiałymi, jak w elephantiasis, chorego na nerki.

W inne noce także słuchał kaszlu. I w tym baraku, i jeszcze przedtem w ósemce i w jedenastce. Wciąż czyjs kaszel dudnił w tunelach między ciasno zbitymi pryczami, rozdzierając powietrze, nigdy jednak nie był to kaszel kogoś, komu by cokolwiek zawdzięczał. Bo teraz kaszłał człowiek, który odstąpił mu swe cieplejsze legowisko. Najbardziej zaś irytujące było, że przecież nie z zimna nie zasypiał, ani z wyczerpania, nawet nie z głodu, choć był głodny, wyczerpany i zimno było mu też. Posiadanie górnej pryczy nie zmieniało jego stanu ani sytuacji. A choć propozycja wyszła nie od niego, on tylko się zgodził, spojrzawszy bez słowa na nogi tamtego, zastanawiał się, czy nie zgodził się zbyt skwapliwie. Rodziły się w nim wątpliwości, budziły nieufność. Szukał prawdziwej przyczyny propozycji starego. Więzień nie wyzbywa się cieplejszej pryczy dlatego, że musi schodzić kilka razy nocą na dół, by biec do latryny i że mu ciężko wejść z powrotem, cieplejsza pryczna na górze zbyt wiele była warta, zwłaszcza tu w Smirnowej, zresztą od dawna już wiedział, że w obozie nie ma uczynności, chęci niesienia drugiemu pomocy ani niczego ludzkiego, jest tylko bój o lepsze miejsce, o pełniejszą miskę zupy, jest kłamstwo i fałsz. Uczynność, chęć niesienia pomocy i różne inne ludzkie odruchy mogą kształtować się w warunkach ludzkich, nigdy kiedy ludzie zepchnięci zostają na dno. A zwłaszcza, gdy należą do obcych sobie, odległych, nieraz nie znanych wzajemnie bliżej nacji. Długo o tym myślał i nawet mógł być zadowolony, wreszcie mając znowu temat do myślenia, gdyby w końcu nie złość, że żadnej przyczyny prawdziwszej od wymienionej przez starego nie znajdował.

A jednak zasnął. Mimo że wciąż słyszał uporczywy kaszel tamtego i mimo, że złość nie ustępowała. Słyszał ten kaszel nawet wtedy, gdy zasnął i cały czas przez swój krótki sen, który był tak lekki, że wydawało mu się, jakby wcale nie zasypiał. I kiedy, słysząc otwierane przez strażnika drzwi, siadł na pryczy, zanim jeszcze rozległo się rzucone przez niego do wnętrza baraku:

„Nu, poszli! Sobirajsia!” myślał, że zbudził się pierwszy. Ale oczy oswoiły się ze światłem żarówki i zdumiony spostrzegł, że wcale i pierwszy nie był. Przy piecyku siedział w kucki już tamten stary człowiek i żelaznym prętem trzymanym w żylastej, szerniałej dłoni grzebał w ognisku, przegarniając żar. Na krzyk od drzwi odwrócił rozgrzaną twarz, spojrział najpierw na strażnika, potem na niego, opuszczającego nogi z pryczy, i z trudem dzwignął się z kucek. Wypukłości jego oczu zlewające się z jednostajną niemal wypukłością spuchniętych policzków, nosa i czoła, patrzyły brunatną jakąś nieprzejrzystością i, choć były to oczy człowieka już dawno umarłego, poczuł na sobie ich ukłucie żywe, ostre, przenikające w głębi. Z jego nocnych myśli nie zostało w głowie wiele.

Błędne spojrzenia kilku przebudzonych więźniów odprowadziły ich do drzwi, za drzwiami zaś mróz ściał im od razu oddech. Noc była wciąż czarna, ale odległe światła reflektorów wieżyczek strażniczych obrysowywały dachy baraków, a bliski świt był już w ledwo widzialnym gołym okiem blasku rozkładającym się równo na horyzoncie. Przytrzymał porywaną przez wiatr poję fufajki, przycisnął rękawicę do nosa i ust. Stary szedł powłócząc nogami pierwszy, blokując wąską ścieżkę przekopaną w śniegu; patrzył na jego chwiejące się raz w jedną stronę, raz w drugą, plecy. Z innych baraków strażnicy wyprowadzali też po dwóch, po trzech, słychać było ich leniwe, obojętne nawoływania do pospiechu, zmarznięta gruda sucho chrupała pod walonkami i butami idących. Gdy się potknął i zaklął, stary zatrzymał się, odwrócił i czekał, zatrzymał się również idący z tyłu strażnik. Chciał wtedy starego wyminąć, ten jednak, osłaniając usta flanelową szmatką służącą mu za szalik, odezwał się do niego: „Niech pan zapamięta, Zbigniew Zbigniewicz... Gdy będą wiązać, ręce trzeba trzymać mocno przy plecach, aby potem miały luz. Pan pierwszy raz?”. Lecz musiała być w nim jeszcze złość z nocy, skoro, gdy tylko udało mu się wysforować krok naprzód, odburknął: „Pierwszy. Ale znam rzeczy gorsze”. „Nie mówię, że pan nie zna” — odezwał się wtedy znowu stary, z trudem się z nim zrównując. — „A jeśli pan pierwszy raz, trzeba wiedzieć. Bo wyłamię pan sobie ramiona”. Głos miał zdarty, zacierający zdania i, jak przedtem, kiedy go słyszał w baraku, mówił po rosyjsku, tym razem jednak z białoruska i mieszając słowa polskie. „Druga reguła, to zeskoczyć ze stołka szybko i lekko, zanim wykopią spod nog. Trzecia zaś, cały czas liczyć”. „Co liczyć?” — burknął znowu, próbując zajrzeć staremu w twarz. „Liczyć. Od jednego do sześćdziesięciu, od jednego do stu, do tysiąca. Wszystko jedno

jak...” — mówił tamten, wciąż tym rozmielonym, zdartym, z wysiłkiem pokonywującym słabość głosem, w którym nie było żadnej modulacji. „Nie myślę o niczym, myślenie jest na nic, nie udaje się. Liczyć. To skraca czas”. A wtedy wreszcie uchwycił twarz mówiącego, wyłaniającą się na krótko spod szalika. Była zsiniała od mrozu i tak samo bez wyrazu, jak niedawno w baraku, gdy tamten spojrział ku niemu spod piecyka, ale przedtem jego oczy widziały, teraz zaś w ciemności były mętne i zrozumiał, że nie widzą, porażone nocną ślepotą. Zrobił ruch, by ująć go za ramię, lecz niepotrzebnie, już bowiem stali przy baraku łaźni i strażnicy, odliczając, popychali nadchodzących więźniów ku drzwiom. Jednakże zdołał usłyszeć raz jeszcze ten zdarty, zmęczony głos: „Dziękuję, Zbigniewie Zbigniewczu. Niech pan pamięta: trzy reguły”. Dopiero w środku, kiedy ich rozdzielono, usłyszał sobie, że wypowiedziane to było po polsku i że teraz jego imię i *otczestwo* miały w ustach starego polskie końcówki.

Zaraz kazano im się rozebrać do połowy. W rażąco białym świetle nieosłoniętych żarówek ich ciała były martwosine, zaczynały się pocić. Zaraz też strażnicy znowu ich przeliczyli i sprawdzili listę. W powietrzu unosiły się resztki wilgotnego ciepła z poprzedniego dnia, więc pomyślał o karczerze, jaki mu groził, w karczerze było zimno, czasem polewali lodowatą wodą, myśl jednak przebiegła przez głowę szybko, obojętnie konstatuująca, niczego nie wartościująca. Kątem oka uchwycił jeszcze zgiętą postać starego, ściągającego znoszoną buszlatę i jak strażnik pchnął go w stronę formowanego rzędu więźniów. *Bańszczyk*, również więzień, zaczął wiązać ustawianych pod belką i zaraz rozległy się pierwsze jęki podciąganych linką na hak. Musiał czekać, haków było piętnaście, więźniów zaś na egzekucję sprowadzono dwudziestu i przez jakiś czas kołatały mu się po głowie rady starego, lecz miast o nich pamiętać, zaczął szybko myśleć o różnych rzeczach nie bezpośrednio związanych z tym, co się obok działo. I przypomniał sobie najpierw, że już kiedyś widział karę sępka na poźółkłej pruskiej rycinie w starej księżce, którą ojciec przywiózł z Berlina; słupek, obok chłosty, stosowany był w pruskim wojsku od czasów Fryderyka Wielkiego za niewielkie nawet wykroczenia dyscyplinarne. Na rycinie żołnierz też wisiał ze związanymi, odchylającymi się od pleców do tyłu rękami, ale nogami i częścią tułowia opierał się o słupek. Tu ze sępka została tylko nazwa, więzień wisiał na haku, ciało nie miało żadnego, nawet tego pionowego, jak przy pruskim sępku, podparcia, a zydel, na który wchodził w chwili wieszania go, strażnik wykopywał mu zaraz spod nog. Następnie próbował przypomnieć sobie, kto i

kiedy zaprowadził tę karę w Rosji, Paweł I, czy może wcześniej Katarzyna II, nie pamiętał, zresztą nie było ważne kto i kiedy, wszyscy oni kochali się w pruskich wzorach, lecz tu jego myśli zostały raptownie przerwane, strażnik popchnął go na środek. *Bańszczyk* kończył właśnie wieszanie zapasowych haków na belce naprzeciw już wiszących i przystąpił do egzekucji pozostałych więźniów. Tamte rady starego znowu zaczęły tłuc mu się po głowie, kiedy jednak podstawiono go pod hak, natychmiast uleciały. Dopiero ból od dłoni poprzez łokcie, ramiona i barkowe stawy, raptownym szarpnięciem przenikający pod łopatki, a spod łopatek wzdłuż kręgosłupa przemieszczający się w dół na tułowie i jego własny krzyk, raz jeszcze mu je przypomniały, ale było za późno, to wykopano spod niego stołek.

Posłyszał wtedy wszystko, co przedtem do niego nie docierało, albo czego, zmuszając się do myśli o starej rycinie ojca, nie chciał wcale słyszeć: zduszone oddechy ciał kołyszących się w naturalnej pozycji pod belkami, chrapliwe jęki, skrzypienie lin, których pętle ocierały się o haki i chrobot haków o belki, ale równocześnie dochodzącą z tyłu niegłośną, jakby powolną rozmowę strażników, którzy rozsiedli się na ławach pod ścianą i gwarzyli jak chłopcy rosyjscy w przerwie od pracy, potem zapalenie przez któregoś z nich papierosa i głośne wydmuchiwanie dymu. Ból, jak ogień, rozkładał się po całym ciele, zapragnął nagle, żeby ręce się naciągnęły, ciało obwisło jeszcze bardziej i czubki stóp znalazły się bliżej posadzki, dając chociażby złudzenie oparcia. Zobaczył, że jednemu z naprzeciwka się udało, lecz zaraz podszedł *bańszczyk*, pociągnął linkę, a strażnik, który czekał aż tamten skończy, okręcił ciało wiszącego aż do oporu i gwałtownie puścił. Dopiero, gdy ucihły oszalały wprost krzyk kręcącego się jak wrzeczono więźnia, a *bańszczyk* i strażnik wrócili na swoje miejsca, posłyszał jeszcze coś. Były to metaliczne, miarowe dźwięki, jakby ktoś uderzał kamykami o blachę. Minęła jednak długa chwila, zanim wreszcie odnalazł wzrokiem ich źródło. Z twarzy wiszących lał się pot, ściekał z czoła po policzkach na brodę i to właśnie jego spadające na posadzkę, gdzie już utworzyły się niewielkie plamy wilgoci, krople wydawały te dźwięki. Wtedy dopiero zaczął liczyć. Gdy doliczył do sześćdziesięciu, przypomniał sobie, że ma liczyć do stu i zaczął od nowa, i liczył do stu, a kiedy doliczył do stu, jeszcze raz zaczął od nowa, i potem znowu. Aż z hukiem otworzyły się drzwi i z dworu powiało lodowatym zimnem.

Nie widział zrazu tych, co weszli, tylko szurgot odsuwanych ław z tyłu posłyszał. To strażnicy podnosili się szybko ze swych

miejsc. Potem dopiero posłyszał te nowe głosy, podbite i krzykliwe. A później i tych dwóch, co weszli zobaczył. Byli to oficerowie NKWD. Zażądali listy ukaranych więźniów i zaczęli ją sprawdzać. Szli wzdłuż rzędu wiszących, kazali sobie strażnikowi wymieniać nazwisko wiszącego, pokpiwali, widać nudzili się; pewnie schodząc z nocnej służby wstąpili do ambulatorium, gdzie zaczęła dzienny dyżur lekarka, wymusili po szklance spirytusu, a jeszcze zostało im trochę czasu do zameldowania się u komendanta i do zdania raportu. Gdy go minęli, rozpoczął na nowo powtarzanie w myśli liczb. Przestał, choć doliczył już prawie do następnej setki, gdy posłyszał szyderczy krzyk jednego z enkawudystów: „*A eto chto za pop?! Smotri jewo isz ty kakoj nieponiatliwyj, do starosti nie nauczysz!*”. I wtedy z wysiłkiem wyprostował głowę, czując, jak ten ruch zwielokrotnia ból.

Dopiero teraz spostrzegł wśród widzących starego mężczyznę, z którym przyszedł. Nie pamiętał o nim, kiedy myślał o jego radach, ani kiedy zastosował się bezwiednie do rady ostatniej i liczył. Twarz starego była udręczona, ale spokojna. Na krzyk enkawudysty otworzył oczy, i te oczy też były spokojne, choć udręczone. Wtedy pojął, że enkawudysta krzyczy właśnie na starego, przedtem tego nie zrozumiał. Ale drugi enkawudysta, który milczał i tylko się przypatrywał, uciszył pierwszego i krztusząc się ordynarnym śmiechem, powiedział: „*Nu dawaj molebień, molebień służy!*”. I obaj cofnęli się, teraz śmiejąc się już razem, i zaraz to się stało.

Bo w baraku łaźni uczyniło się tak cicho, że znowu słychać było skapywanie kropel potu na beton, tym głośniejsze, że zacichły także rozmowy strażników, nawet jęki i oddechy wiszących. Oficerowie NKWD przypatrywali się z jakimś złośliwym, pijackim zaciekawieniem, zapalili papierosy i usiedli na kąpielowej ławce. A wtedy rozległ się głos starego wyraźny, choć niedonośny, czysty: „*In nómine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Introibo ad altáre Dei*”. Po chwili ten sam głos posłyszał znowu, ale zmieniony, cichszy, mówiący prawie szeptem, jakby z innego miejsca: „*Ad Deum qui laetificat juventútem meam*”. I zaraz powtórnie jego głos, nabierający mocy, powiedział: „*Iudica me, Deus, et discerne causam meam de gente non sancta: ab homine iniquo, et doloso erue me*”. Tu następowała krótkka, jak na oddech przerwa i tamten cichszy głos, jakby drugiego człowieka, zapytywał: „*Quia tu es, Deus, fortitudo mea: quare me repulisti, et quare tristis incedo dum affligit me inimicus?*”. I ten pierwszy głos, pełen mocy, odpowiadał: „*Emitte lucem tuam...*

Ześlij światłość swoją i prawdę swoją: one mnie poprowadzą i przywiodą na górę świętą twoją, aż do przybytków twoich”.

Ale oba głosy należały do starego. Do tego starego człowieka z baraku numer cztery, z którym poprzedniego wieczora zamienił prycię i dopiero co, po drodze, słuchał jego rad, a który teraz wisiał na linie na haku naprzeciw, nieco z lewej strony, bliżej drzwi, i twarz miał umęczoną, lecz spokojną, skupioną, głowę zaś nieco wzniesioną, choć on już wiedział, że uniesienie głowy, gdy wisi się na haku, kosztuje dodatkowy ból, bo też miał głowę uniesioną i czuł ten cały ból, wwiercający się w kręgosłup i spływający aż do nóg, i wtedy, kiedy przyszła kolej na kwestię wy-ciszoną, nie dał staremu zacząć, ale powiedział głośno: „*Et introibo ad altare Dei: ad Deum qui laetificat juventutem meam*”. I w śmiertelnej ciszy, jaka panowała w baraku łaźni, bo i oficerowie NKWD teraz milczeli, ich głosy zaczęły się wymieniać: „*Confitèbor tibi in cithara, Deus...*”, a potem: „*Spera in Dèo...*”, a potem: „*Gloria Patri, et...*”, a potem: „*Sicut erat in principio, et...*”, i zdawało się płynęły i ogarniały cały barak łaźni te spokojne, dostojne słowa łacińskiego tekstu, których nie rozumieli wprawdzie oficerowie ani strażnicy, których może większość więźniów też nie rozumiała, ale i dla jednych, i dla drugich coś musiały teraz znaczyć, bo ci pierwsi już się nie śmiali, ich twarze były zaskoczone, zdumione i niespokojne, nawet przestraszona i już zupełnie trzeźwe, z umęczonych zaś, wykrzywionych bólem, niedawno jeszcze półprzytomnych twarzy wiszących więźniów gdzieś jak gdyby podziały się te najbardziej zewnętrzne oznaki cierpienia, jak gdyby się wygładziły i jakiś, być może dla nich samych niepojęty spokój nadał ich rysom wyraz nagle ludzki, bez cienia tamtego sponiewierania.

A oni, patrząc na siebie poprzez ganek środka łaźni, dalej odprawiali mszę, dochodząc do Ofiarowania. „Przyjm Ojczy Świąty nieskalaną ofiarę”. I liturgia zdawała się łączyć ofiarę wszystkich ich widzących, skazanych przez komendanta na karę słupek w szóstym podobozie łagru Smirnowaja na dalekim sowieckim wschodzie z ofiarą Chrystusa. „*In spiritu humilitatis, et in animo contrito...* Przyjm nas Panie, którzy wisimy przed Tobą w duchu pokory, z sercem skruszonym, a ofiara nasza tak niech się dzisiaj dokona przed Tobą, aby się podobała Tobie, Panie Boże”. Aż ten z naprzeciwka głos starego, napinając się, brzmiał metalicznie i z siłą, zaczął: „*Orate fratres...* Módlcie się bracia, aby moja i wasza ofiarę przyjął Bóg, Ojciec Wszechmogący”. Wtedy ci oficerowie podnieśli się z ławy, na której cały czas siedzieli, zdawałoby się, nieporuszeni, i coś mówiąc do siebie jeden przez dru-

giego, może do strażników, choć żaden nie słuchał, i nie patrząc na nich, ani nawet na wiszących więźniów, ruszyli do drzwi. Gdy zamknęły się za nimi z trzaskiem, nastała cisza. Stary człowiek powtórzył szeptem przerwana kwestię: „*Orate fratres ut meum ac vestrum sacrificium acceptabile fiat apud Deum Patrem omnipotentem*”. A on mu odpowiedział też szeptem: „*Suscipiat Dominus sacrificium de manibus tuis ad laudem, et gloriam nominis sui, ad utilitatem quoque nostram, totiusque Ecclesiae suae sanctae*”. I stary powiedział szeptem: „Amen”. A później już słyhać było tylko, jak gdyby drobne kamyki spadały na blachę; to od czasu do czasu krople potu ściekające z twarzy wiszących rozpryskiwały się na betonie.

Przypomniał sobie, że jest dzień Wielkiego Czwartku. Zdawało mu się, że nigdy przedtem o tym nie myślał, ale mimo, że nie pamiętał, musiał myśleć, skoro teraz był nawet pewien, że wiedział już wtedy, kiedy tylko postyszał głos wiszącego na haku starego księdza. „*Triduum sacrum*”, powiedział sobie w myśli. I nagle pierwszy raz myśl przedostała się przez tę najsilniej strzeżoną w pamięci granicę tamtego września i cofała się ciągle dalej, i przypomniał sobie twarz matki, kiedy jeszcze żyła i te jej słowa o modlitwie i jej wiarę, że może umierać spokojnie, bo on jej nie zawiedzie, a potem myśl poczęła powracać i zatrzymała się na chwilę w Czarnohorze tamtej jesieni, kiedy przestał kochać Boga i zapomniał najprostszych modlitw, i wspomnienie to jakimś niespokojnym smutkiem ścisnęło mu serce. Ale rozplynęło się, gdy ręce strażnika ujęły go pod ramiona, uniosły, *bańszczyk* zaś zdjął jego sznur z haka. Tylko poczucie smutku pozostało.

Wychodzili ze starym z baraku łaźni osobno, ale za drzwiami szli już razem, chwiejąc się i podtrzymując wzajemnie. Dniało. Plac apelowy zapełniał się zwolna. Przez głośnik przy bramie rozlegały się wrzaskliwe dźwięki wojskowego marsza, przygrywającego ustawiającym się w szeregach do wyjścia poza zonę; mród ścinał je w przezczystym powietrzu. Przystanęli na skraju placu. Słońce jeszcze się nie pokazało, jeszcze wisiało daleko nad ciemnym, granatowym, zimno spienionym przestworem rozkołysanego Oceanu, ale zaraz miało wyłonić się otoczone szarą, mroźną mgłą i postrzępionymi chmurami koloru wody. „Nie powinien pan być tego czynić, synu” — powiedział cicho stary i jego głos był znowu zdarty, zardzewiały, niewyraźny i pełen śmiertelnego wyczerpania, a z obrzmiałej twarzy patrzyły oczy wpółwidzące. „Mnie już nic nie robią. Nic mnie tutaj nie czeka więcej. Ale pana, Zbigniewie Zbigniewiczu...”. Przerwał mu pytaniem: „Ksiądz jest Polakiem?”. „Byłem białoruskim Polakiem, Biało-

rusinem i Polakiem, polskim Białorusinem też. Ja spod Mińska, dawno, wszystko zapomniane... Teraz już jestem tylko księdzem... I niedługo umrę... To najpiękniejszy dzień w moim życiu od dawna. Może w ogóle najpiękniejszy...". Z jego ust ulatywały kłęбки pary tak nikłe, że prawie zaraz rozprasały się w mroźnym powietrzu. „Cała nadzieja teraz w Panu naszym, że i o tobie nie zapomni, synu...”

Milczał. Podtrzymując ramię starego księdza, wyczuwał wyraźnie dłoń przez łańchman buszłaty słabość i kruchość jego kości. Patrząc ponad plac apelowy, ponad dachy baraków i pasmo drutów poprzerywane wieżyczkami strażniczymi, myślał, że tam daleko, te kreski na nieboskłonie, to sopki mandżurskie, a jeszcze dalej, poza nim, gdzie już w ogóle nic nie było widać, prawie na samym końcu świata, to jak powiadają więźniowie, sine góry Korei, ponad które teraz dźwigało się słońce. I znowu pomyślał o matce. Jego myśli popędziły z tego końca świata na tamten koniec, jak gdyby matka wciąż jeszcze żyła i przez chwilę zwierzały jej się z piekielnej udreki ciągnięcia tego kieratu życia z dnia na dzień, pozbawionej wszelkiego sensu i w ciągłym upokorzeniu; życia, w którym człowiek czuje, jak zwolna gubi swą duszę. I nagle odniósł niemal już zapomniane krzepiące wrażenie, że słyszy głos matki mówiący mu, pocieszający, zapewniający, że to nieprawda, że tę niewidzialną, lecz najistotniejszą część siebie właśnie był odnalazł. I czuł, jak ramię starego księdza w jego dłoni napina się, i patrzył na plac apelowy, jak patrol prowadzony przez oficera NKWD, którego już widział przedtem, kiedy tylko tamten wyłonił się z drzwi budynku *komandirówki*, roztrzając więźniów, zbliża się w ich stronę. „Bóg z tobą, synu...” — powiedział wtedy stary ksiądz. Nie odpowiedział. Był spokojny. To był Wielki Czwartek tysiąc czterdzieści pierwszego roku.

„I DUCH SIĘ SKUPIŁ W JEDNO ZIARNO”

To było zaraz następnego dnia po zakwaterowaniu w wojskowym obozie pod Teheranem, kiedy skierowano mnie na oględziny do naszego lazaretu. Kiedy czekając w kolejce siedzących pod ścianami korytarza przed ambulatorium mężczyzn, wyselekcjonowanych przez lekarza jeszcze w czasie transportu (w różnym wprawdzie wieku, wszystkich jednak z podobnymi starymi odmrożeniami i okaleczeniami, wciąż ropiejącymi, albo poodnawianymi teraz i babrzącymi się powtórnie), posłyszałem swoje nazwisko, podszedłem do siostry trzymającej w dłoni nasze rejestacyjne karty i odebrałem od niej blaszkę z numerem, według którego będę wywoływany na zmianę opatrunków. W tym miejscu korytarz krzyżował się z innymi, prowadzącymi do sal chorych i, kiedy tę blaszkę od niej odbierałem, mój wzrok zatrzymał się na twarzy popychanego na wózek przez siostry człowieka; na jego twarzy wyniszczonej i zmienionej chorobą, lecz mimo to kogoś mi przypominającej, jak gdyby dawniej (a nawet już bardzo dawno) widywanego, albo znajomego. Nasze spojrzenia spotkały się na krótko i wtedy na krótko zdawało mi się, że oczy tamtego ożywiły się nagle, ale zaraz znowu zgasły, gdyż nie poruszyłem się nawet, nie wykonałem żadnego gestu, po prostu w pierwszej chwili naprawdę nie poznałem go, z nikim jego twarzy nie potrafiłem skojarzyć, a gdy już wreszcie poznałem, gdy jeszcze był czas, żeby ten gest uczynić, żebym później nie musiał tłumaczyć się przed samym sobą, że wcale nie wstydziliśmy się nauczyciela Burdy, powszechnie kiedyś w naszym mieście znanego komunisty i że to spotkanie z nim wśród ludzi, którzy dopiero co wyrwali się z Rosji, nie było dla mnie w żadnym wypadku ambarasujące, to też tego gestu nie uczyniłem, będąc wciąż zbyt zaskoczony

zmianami, jakie tę przecież tak dobrze mi dawniej znaną twarz przeorały. Wkrótce jednak wywołano mój numer i zaraz potem, miast wracać do obozu, dopytałem się u sióstr biegnących korytarzami, gdzie Burda leży i odwiedziłem go w separacie, w której go właśnie umieszczono. I tak oto, od tego dnia począwszy, moje chodzenie do wojskowego lazaretu na zabiegi i zmianę opatrunków uzyskało dodatkowy cel: odwiedzanie starego nauczyciela, któremu udało się wydobyć z jednego z najodleglejszych miejsc Rosji, z kopalń złota położonych nad rzeką Kołymą, gdzie najczęściej nawet ludzie nie należący do szybko wymierającej tam społeczności łagierniczej też byli tylko więźniami, nie posiadającymi możliwości opuszczenia tamtych stron; i któremu udało się przebyć tysiące kilometrów w warunkach, jakich nie przetrzymałoby pewnie najwytrwalsze zwierzę, człowiek zaś niekiedy jakimś cudem przetrzymuje, i znaleźć się z naszą armią w Persji, gdzie jednak organizm, który przedtem oparł się tamtemu wszystkiemu, nie zniósł nagłego dobrego odżywiania, higieny, spokoju, braku ustawicznego napięcia nerwów i jeszcze czegoś, o czym wtedy nie wiedziałem, choć wkrótce miałem się dowiedzieć, co było progiem wolności.

Bo Nikodem Burda umierał. I to umierał wiedząc sam dobrze o tym i mówiąc o tym bez zahamowań, choć lekarze, którzy też o tym wiedzieli, mówili tylko oględnie i półgębkiem, gdyż nie mogli znaleźć u niego żadnej konkretnej choroby, która by śmierć nań sprowadzała. Bo wprawdzie był chory na wątrobę, miał coś z trzustką, coś z nerkami, a także serce słabe i cierpiał jeszcze dodatkowo na jakąś dokuczliwą odmianę reumatyzmu, żadna jednak z tych dolegliwości nie wydawała się w stopniu zaawansowanym, i nawet wzięte pod uwagę wszystkie razem nie powinny były zagrażać jego życiu. Mimo to nikt, z kim rozmawiałem w tamtych dniach, nie miał wątpliwości, że on umiera i żaden z lekarzy nie widział sposobu, żeby mu pomóc. Choć stary nauczyciel, Nikodem Burda, tej pomocy wcale nie oczekiwał i umierał spokojnie. Ten radykał, komunista i antyklerykał, zwariowany dziwak, za jakiego uważano go w naszym mieście przed wojną, umierał tak, jakby to była jakaś zwykła, dokonywana na jego organizmie przez naturę czynność, bez lęku, z pełną świadomością, że jest nieodzowna i być może, co później dopiero zrozumiałem, tej pomocy, gdyby była w ogóle możliwa, by nie przyjął.

Z początku próbowałem go pocieszać lub zgoła okłamywać, że przed chwilą spotkałem lekarza czy siostrę, że mówili mi, że wszystko będzie dobrze, że już jest na dobrej drodze, że widzę

go w lepszej formie, że się wygrzebie i wykaraska, bo nie mieściło mi się w głowie, żeby owa potężna siła, która tyle tysięcy kilometrów kazała mu z uporem przedzierać się, jechać i pieszo iść przez tamten kraj do granic, za którymi była upragniona wolność, pokonywać nieludzkie trudy drogi przez kilka miesięcy, ta siła wraz z wiarą, że to się uda, mogły się tak nagle po przekroczeniu granicy irańskiej wyczerpać, aby nie miały w nim dalej płonąć, trzymając go przy życiu i pchając naprzód następnych kilka tysięcy kilometrów do rodzinnego kraju, który stąd, mimo tych nowych tysięcy kilometrów, wydawał się dużo bliższy, niż stamtąd. Musiało minąć jeszcze kilka dni i kilka następnych moich wizyt w lazarecie, zanim wreszcie pojąłem, że ta siła i wiara są Burdzie już niepotrzebne, gdyż ojczyzną dla niego jest cały obszar świata zaczynającego się za liniami granicznymi Rosji i on już dotarł jak gdyby do celu przez to tylko, że wyrwał się spod zasięgu tamtej władzy.

Nikodem Burda powiedział mi to w dniu, kiedy (jeszcze nim doczekałem się swej kolejki do opatrunku) podeszła do mnie przed ambulatorium zakonna siostra, znająca mnie z widzenia z codziennych wizyt u niego i zaferowana, jakby na mnie od dawna czekała, powiedziała, żebym natychmiast tam poszedł, że z Burdą jest źle i żebym go nakłonił na wezwanie księdza.

To był późnojesienny i jak na tę szerokość geograficzną trochę zbyt ostry poranek. Wiatr od gór spadał w dolinę w krótkich porywach, to znowu zamierał na chwilę, i w chwilach, kiedy zamierał, słyszałem miękkie ocieranie się o szybę okienną gałązek mimozy rosnącej przy ścianie na zewnątrz, zwarzonych nieco nocnym przymrozkiem; stożkowate sterczyny zwieńczające co kilka metrów mur wokół budynku lazaretu nie odtajały jeszcze ze szronu, a niebo sine, bez blasku i matowe, spływało nisko od zaśnieżonych szczytów ku ustawionym w kilkunastu szeregach namiotom wojskowego obozu i ku miastu nabrzmiałymi zamiecią chmurami, jakby całą okolicę chciało przywalić wkrótce ich ciężarem. Właśnie wtedy, patrząc w okno i za okno na to, co było z łóżka widać: na delikatne, zwiewne gałązki mimozy, na stożkowate sterczyny zwieńczające w tutejszym stylu architektonicznym utrzymany mur, na niebo nad namiotami i chmury, Burda, który przed laty, kiedy mnie uczył w gimnazjum i potem w liceum, mówił mi oczywiście „ty”, później zaś jednak już nigdy, powiedział: „Chciałem, Karolu, żebyś wiedział...” znowu po imieniu, jak dawniej, „Żebyś wiedział, że należałem do tych najbardziej ślepych i głuchych, gdyż wiedziałem i widziałem jeżeli nie wszystko, to wiele, a nie chciałem wiedzieć i widzieć nic”.

Pierś unosiła mu się szybko, głośno i wciąż spoglądał w stronę okna, ale chyba tak naprawdę, to nic za nim nie widział, nawet owej zimnej, pozbawionej blasku siności nieba, nawet gałązek krzewu mimozy ze szmerem ocierających się o szybę, a szukał jedynie w myślach odpowiednich słów, od których mógłby zacząć i ja, spojrzawszy za jego spojrzeniem, mówiłem sobie w duchu: „Nie! Nie mów tego, na Boga! Nie mów! To niepotrzebne! I ty i ja przeżyliśmy Rosję, więc wierzę. Nie mów!”, i z lękiem, że jeżeli słowa Burdy mają być wstępem do samooskarżenia się, jeżeli Burda pragnie część winy za piekło, jakie nam zgotowano przypisać sobie, to mnie trudno będzie go wysłuchać spokojnie i bez sprzeciwu. Bo pamiętałem i wiedziałem dobrze, że Nikodem Burda, który w naszym mieście uczył mnie historii przez cztery lata w gimnazjum i dwa lata w liceum, był najuczciwszym z uczciwych, że opowiadał się zawsze po stronie tych, co w hierarchii społecznej stali niżej, którzy byli od innych słabsi, głodniejsi, gorzej ubrani, gorzej opłacani, gorzej mieszkali i w ogóle zbyt mało czasu mieli na to, aby odczuwać dumę z faktu przynależności do ludzkiego gatunku, słowem, że Nikodem Burda, jak pamiętałem, był zawsze po stronie nędzy z suterem i piwnic, chat gnojnych i zagrzebionych, ledwo co zimną ogrzanych zbieranymi ukradkiem w państwowych lasach szyszkami i chrustem, po stronie tej nędzy, która wiosną, kiedy o robotę było trudno, i na przednówku, aż pisała z głodu z brzuchami wydętymi od lebiody, brukwi i ziemniaków, nędzy jakże często z jedną parą juchtowych buciorów na kilkoro dzieci w rodzinie; i spróbowałem nie dopuścić, ażeby zaczął mówić, mówiąc: „Pan nie powinien”, i: „Lekarz zalecił panu spokój. Żadnego zdenerwowania, żadnych niepotrzebnych wzruszeń. Pan powinien zasnąć, panie profesorze, i odpocząć...”.

Lecz on już powiedział: „Każde słowo, Karolu...” i potem: „Każde słowo, Karolu, wydaje się za słabe, nie oddaje tego...”, i że tyle chciałby mi opowiedzieć, a tak mało ma na to czasu, i że bym mu nie przerywał, on o to prosi, choć w jego oczach nie było prośby, odwrotnie, twarde przekonanie, że nie może spotkać się z mojej strony ze sprzeciwem czy odmową, i nawet coś jeszcze takiego, co kazało mi przypuszczać, że gdyby się z nią spotkał, nie przyjąłby jej wcale do wiadomości. I widać było, że choć jest u kresu sił, to na to, co musi powiedzieć wystarczy, nie może tego, co w nim wezbrało w żaden sposób pohamować i tylko podejmuje ogromny dodatkowy wysiłek, ażeby z natłoku domagających się uzewnętrznienia refleksji i przemyśleń wielu wydarzeń i spraw, jakie chciałby opowiedzieć, wybrać te

najistotniejsze, mówiąc zrazu chaotycznie, nerwowo, śpiesząc się, łapiąc nowy oddech o sekundę, dwie za wcześniej, jeszcze z płucami wypełnionymi po brzegi starym powietrzem, a potem dopiero nieco spokojniej, że tak, że był głuchy i że był ślepy, choć widział i słyszał, że jego oczy przez lata całe ześlizgiwały się po powierzchni zjawisk nie docierając do ich rdzenia, choć mu się zawsze wydawało, że zna historyczne perspektywy rozwoju ludzkości, bo zna jej przeszłe dzieje, a była to w gruncie rzeczy fałszywa wiedza niedokształconego małomiasteczkowego belfra, i zarozumiałość, i pycha neofity.

I zaraz potem to się zaczęło, zapamiętałem to. Bo było jak strumień, który musi przewalić się przez groblę, ponieważ wezbrał w górach opadłą ulewą; grobla go już niezdoła powstrzymać. Albo jeszcze inaczej: to było jak zatruta, skażona, czarna od gorączki krew, która nagle chlusnęła z rozplątanej żyły, której organizm musi się pozbyć, ażeby się oczyścić, gdy Burda zaczął mówić, że dla mrzonek poświęcił wierność prawdzie, dla wydedukowanej z teorii wizji przyszłości wziął rozbrat z rzeczywistością terażniejszą, dla przekonania o swej postępowości zapomniał o sprawiedliwości, dobru i wyrozumiałości, dla fałszywej troski o masy przestał myśleć o jednostce, i co z człowiekiem się dzieje, kiedy już raz wkroczy na tę drogę samooszukiwania się, bo przecież mieszkał przez lata niemal przy samej sowieckiej granicy, słyszał wiele o zbrodniach ich reżymu, o katowniach GPU i NKWD, preparowanych procesach i ludziach od tych procesów, wysiedlaniu polskiej mniejszości narodowej z powiatów za kordonem gdzieś daleko na wschód, o milionowych ofiarach kolektywizacji, o wielkim głodzie na chlebobodajnej Ukrainie i Białorusi, a nawet o ludożerstwie z głodu też; że słyszał i wiedział, a jednak nic wówczas jeszcze nie wynikało z jego wiedzy (wciąż jak się zdaje nie mógł pojąć dlaczego, ani znaleźć słowa, które by określało precyzyjnie ów stan dwoistości jego własnego umysłu w tamtych czasach, jak gdyby mieszkała w nim niegdyś para różnych ludzi starających się za wszelką cenę zatrzeć niezgodności ich poglądów, ukryć wzajemne błędy i sprzeczności w myśleniu, nawet prawdziwą wiedzę o sobie również); i zmagając się ze słabością swego wyniszczonego ciała, z oddechem krótkim, przedkim, który usiłował jak gdyby przydusić i mu się to nie udawało, mówił z oczami w twarzy rozgorączkowanej i podnieconej półprzymkniętymi, albo prawie przymkniętymi, jakby nie patrzył na nic, co go w tym pokoju otacza, gdzie on sam, Burda, leży na łóżku naprzeciw mnie, ale na wewnętrzny obraz samego siebie, jakim niegdyś był, kiedy uwierzył w ideały, które się później tak

skompromitowały i potem, kiedy już przeczuwając, że nie są czyste, próbował w nich jeszcze coś ocalić i je usprawiedliwić; i to było tak, jak gdyby te nakryte pomarszczonymi, pożytkowanymi powiekami oczy Nikodema Burdy widziały jego samego, Nikodema Burdę, jak jeszcze idzie przez tamte już odległe w czasie, ale w świadomości ciągle bliskie lata i dochodzi wreszcie do miejsca, gdzie droga biegnie nad samą krawędzią urwiska, z którego on musiał się stoczyć w dół, by tam unicestwić samego siebie, jeżeli nie chciał podeptać w sobie człowieczeństwa, bo powiedział: „A potem był wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. A wkrótce ten dzień siedemnastego...” i urwał, i tylko oddychał, zbierał siły, i potem: „Ale to widać jeszcze było mało. Nawet to, że przyszło mi oglądać ten eksperyment z nowym ładem na własnym, do niedawna wolnym narodzie. Ani to, że musiałem, jako jeden z wiernych, sprawdzić się w działaniu, w naganianiu ludzi do sławetnego referendum za przyłączeniem naszych ziem do Sowietów. Ani że musiałem uczestniczyć w podsycaniu zdrady, w oplataniu ludzi siecią zależności, strachem, donosicielstwem, w niszczeniu norm etycznych i prawnych, w przyklaskiwaniu, gdy wynoszono do góry najbardziej przeciętnych, służalczych, chciwych, bezwzględnych, płaskich, tchórzliwych i okrutnych. Najgorsze miało dopiero nadejść zimą. Już wtedy nie wystarczało masowe zagarnianie ludzi do więzień. Potem przyszły deportacje. Wiesz, znasz to... Według zawodu, według znaczenia w środowisku i miejscu zamieszkania, według tego, co się posiadało, kim się było, co się mówiło, co myślało...” mówił i wciąż oddychał tak, jakby powietrze stawiało za duży opór jego płucom i zmuszało go to do natężonego wysiłku wszystkich mięśni, aby je wciągnąć, następnie zaś wypchnąć z piersi na powrót na zewnątrz.

Widziałem, jak Burda się poci, jak drobne, przezroczyste krople wyciskane przez skórę pokrywały mu głębiej i głębiej czoło, nos, policzki i szyję, nawet zaciśnięte na pościeli, posiniąte od napięcia pięści, i że oczy miał już szeroko otwarte, pełne nie rozwianego do końca zdumienia wywoływanego zapewne obrazem tego, co kiedyś robił, i rozczarowania, i rozpacz, ale także gniewu i grozy. Bo w głębi tamtych lat widziały człowieka mówiącego wprawdzie tym samym językiem i mającego to samo imię i nazwisko, lecz równocześnie twarz, pomiędzy którą a twarzą leżącego na łóżku było odległe zaledwie podobieństwo, poszczególne pokrewne rysy jedynie, nic więcej, a język, jakiego wspólnie używali, przestał mieć to samo znaczenie, jakby z czasem stali się dla siebie cudzoziemcami, albo nie mogli się już

słyszeć. I wiedziałem, że oczy Burdy, choć ciągle jeszcze szeroko otwarte, nie widziały ani mnie, ani nic z otoczenia, ani nieba za oknem, ani mimozoy ocierającej się o szybę; ten gniew i groza wypełniające go po brzegi wylewały się na całą jego twarz i to było tak, jakby ta ociekająca potem, mokra twarz płonęła. Lecz zaraz znowu nakrył oczy powiekami, jakby mu to pomagało w koncentracji i w ten sposób łatwiej mu było ujrzeć ową noc, o której mi opowiedział.

Była to mroźna, okrutna, jasna, księżycowa noc w początku lutego czterdziestego roku. Noc, kiedy z grupą aktywistów i milicji ludowej pod nadzorem funkcjonariuszy NKWD, otaczali wioskę nad brzegami skutego łodem Horynia ciasnym kręgiem, aby żywa dusza nie przemknęła się na zewnątrz. A potem walili w drzwi chat, wyciągali z pościeli, z barłogów na piecach nieprzytomnych, rozbudzonych nagle ludzi, wywlekali z piwniczek pod sionkami, z chlewików i stodoł tych, co próbowali się ukryć, i padał rozkaz pakowania się w ciągu dwóch, trzech godzin. I zaraz wydało mi się, że jak najwyraźniej, jak najdokładniej widzę tę nędzną, wyżebloną, lampką oliwną zdjętą spod świętego obrazu oświetloną izbę, którą widział Burda, ciągle jeszcze widząc siebie samego, jak tam stoi pośrodku, otoczony gromadką czepiających się jego rękawów dzieci w kusych koszulach, drobnych, bosych, drżących z zimna i strachu, rozkrzyczanych i usiłujących zrozumieć coś z tego, co się dzieje, bo mówił językiem zrozumiałym, tłumacząc to, co mówił zagradzający sobą drzwi wejściowe enkawudysta: że prędko, że prędzej, że prócz żywności i osobistych rzeczy brać nic więcej nie wolno, że zresztą nie ma potrzeby, bo wszystko dostaną od sowieckiej władzy po drodze i tam, dokąd pojedą niczego im nie zabraknie. I tę kobietę też widziałem drobną, śniadą, której cała krew odpłynęła z twarzy tak, że jej skóra stała się szarokredowa, kobietę, która odezwała się do niego, Burdy, tylko dwa razy, raz gdy po otwarciu drzwi powiedziała, że mąż nie wrócił z wojny i drugi raz, stojąc nad otwartą skrzynią na odzież, sama jeszcze w półubrana, bezradnie spoglądająca na dzieci miotające się w tych kusych koszulinach po izbie, gdy powiedziała, że przed tygodniem była rekwizycja, że żywności nawet na krótką drogę nie starczy, bo potem już zamilkła. I widziałem tak, jak Burda wciąż jeszcze widział ten obraz: jej powolne, jakieś zamyślane, bezwolne, wszystko jak gdyby z góry wiedzące i może dlatego bierne, pogodzone niemal ruchy, gdy ze stryszku zносиła stare worki po końskim obroku, jak je wytrzepywała, i te dzieci odziane już przez nią przedtem w takie byle co, w jakieś wiatrem podszyte łaszki, łąta na łącie, cera na

cerze, te dzieci również już milczące i bierne w te worki wkładają, dopychając szmatami i słomą, gdy tymczasem on, Burda, stał ciągle pośrodku izby i spoglądając bokiem na enkawudystę, Rosjanina, stojącego przy drzwiach, powtarzał za nim dokładnie, tyle że po polsku, że o nic nie mają się martwić, że po drodze wszystko dostaną, że sowiecka władza o nich dobrze zadba; a potem te wypełnione przez kobiety worki widziałem ustawione na mrozie przed chatą, i jak sterczały z nich dziecięce głowy i patrzyły oczy, niby węgle, z przerażeniem i nic nie rozumiejąc, te worki, które Burda sam przecież pomógł tej kobiecie z jej chaty wydzwignąć wpraw na dwór, a potem na wóz, gdy jeden z sąsiadów przyhamował przed jej obejściem konia i pozwolił dorzucić na wierzch swojego załadowanego tam dobytku. I jeszcze widziałem to, co Burda wciąż musiał widzieć, jak za tym wozem ona idzie, jak wiatr, niby balon, nadyma jej bawełnianą spódnicę, jak owija ją wokół jej nóg, zszarpuje czarną chustę z jej głowy i jak ona idzie, jakby w pogrzebowym kondukcje, jakby te worki z jej dziećmi były workami, w które zaszywa się na morzu zmarłych, a ona już nie tylko wdowa, ale i osierocona na zawsze, sama jedna idzie, oddała się w ten wiatr, w trzaskający, skrzypiący pod nogami przeraźliwie mróz, w tę noc jasną od księżyca, bezlitosną, idzie sama na spotkanie śmierci, która nie będzie miała nic z majestatyczności, nie będzie nawet przyzwoita, po prostu idzie, odchodzi w haniebną nicność. I także widziałem samego Nikodema Burdę, idącego w eskorcie tego konduktu, aż otworzywszy znowu oczy, zaczął opowiadać, jak już nie mógł dłużej, jak przestał być milczący i przestał być posłuszny, i przestał tylko słuchać, i tylko przytakiwać, i tylko wykonywać, i następnie krótko, bardzo krótko o własnej wędrówce od więzienia do więzienia, twardo, oschle, bez zbędnych szczegółów i rozczulania się, o wędrówce trwającej przez cały rok czterdziesty coraz dalej na wschód w głąb Azji, aż w końcu do Władywostoku, stamtąd zaś morzem na statku do łagru nad Kołymą, gdzie przez pół roku kopał w zamrzniętym szlamie złoto.

I jeszcze potem Burda mówił o Azji w ogóle. O jej tradycji nieliczenia się z jednostką i deptania wszelkiej indywidualności. O tradycji, co rzutowała na wszystko, na sposób myślenia, organizowania władzy i ucisku, o bezinteresownym okrucieństwie i despotyzmie, o bałwochwalstwie ideologicznym i barbarzyństwie uczuciowym i że on, Nikodem Burda, wyzwolił się z tego, że wprawdzie kosztowało go to życie, ale wyzwolił się, strząsnął to z siebie, jak strząsa się robactwo, uwolnił się i umiera spokojnie, jeżeli można mówić o spokoju, pamiętając tamtą przeszłość.

I już słabnąc coraz bardziej, z oddechem już tak prędkim, krótkim, że prawie wydawał się oddechem dziecka, powiedział: „Stamtąd musiałem wyjść. Ale nie mam prawa dojść”. „Dojść? Dokąd dojść?” — zapytałem, choć zdawało mi się, że rozumiem. „Dojść do kraju” — powiedział Burda. „Dojść do kraju po tym, w czym brałem udział, po tym, co robiłem”. I następnie, nie dopuszczając mnie do słowa, mówił o karze. Że to jest tak, jak gdyby kara. Bo wina i kara są nierozdzielnie ze sobą związane, z jakiegokolwiek by punktu widzenia na to spojrzeć. Dlatego umiera bez lęku. I potem na tym krótkim, rozgorączkowanym, że nie zdąży, oddechu, prosił: „Powiedz to innym, żeby się nie nabrali. Powiedz i przestrzegaj. Choć to pewnie niewiele pomoże. Bo zawsze zwyciężała brutalna siła. Zawsze Rzym padał pod ciosami barbarzyńców. Ale powiedz i przestrzegaj...”. A wtedy drzwi się otworzyły, do separátky wszedł kapelan, i to było dobre, że wszedł, bo Burda mógł zamilknąć, znowu zamknąć oczy, a ja wstałem z niklowego foteliku, na którym siedziałem zneruchomiałym aż do bólu, oparłem się o ścianę i wydało mi się, że to ja muszę opanować teraz własny oddech, uspokoić bicie własnego serca i drżenie własnych rąk.

Kapelan stał nad łóżkiem głęboko pochylony i czekał, lecz Burda nie otwierał oczu, więc zaczął modlić się szeptem. Było bardzo cicho, bo i oddech starego nauczyciela przestał być tak głośny jak przedtem, i to straszliwe napięcie, które w jego twarzy było przedtem, powoli ustępowało. A po kilku minutach weszło do pokoju dwóch lekarzy z pielęgniarką i, gdy kapelan przeżegnał leżącego, poprosili, żebyśmy wyszli na korytarz. Kapelan powiedział tam do mnie: „Proszę mnie wezwać, kiedy będę potrzebny. Bo pan pewnie zostanie u niego...?”. A ja przytaknąłem i powiedziałem: „Ale on chyba nie zechce się spowiadać, proszę księdza kapelana. Był niewierzący, a teraz nawet nie wiem. Chyba nie może już mówić”. A kapelan powiedział: „Wiem. Ale nie trzeba nic mówić. Myślę, że on powiedział panu wszystko, czekał na pana...”. A ja powiedziałem: „Tak. Chyba wszystko. Wszystko, co było dla niego istotne”.

Gdy po godzinie znów ta sama zakonna siostra znalazła mnie przed ambulatorium i powiedziała, że mogę iść do Burdy, stary nauczyciel spał, w każdym razie wydawało mi się, że śpi, jeżeli nie było to coś w rodzaju zapaści zblizonej do snu; oczy miał zamknięte, oddech zaś w miarę spokojny, choć słaby, ledwo słyszalny i tylko jego płasko wyciągnięte po obu stronach ciała dłonie drgały, sucho szeleszcząc na pościeli. Więc znowu usiadłem przy jego łóżku i miałem dużo czasu na myślenie o wszyst-

kim, co mi opowiedział. W ten sposób minęło popołudnie, potem wieczór (jeszcze zaglądał co jakiś czas do separatki lekarz lub pielęgniarka, która poprawiała choremu poduszkę i regulowała coś przy kroplówce, na korytarz mnie zresztą nie wyprasza-
jąc, tylko raz, kiedy przyniosła mi kolację), a potem nastąpiła noc.

Gałązki mimozy za oknem ocierające się w wietrze o szybę współbrzmiały z oddechem pogrążonego we śnie chorego; zrazu wydawało mi się, że kryzys minął. Z korytarza nie dochodził już żaden dźwięk, cisza ogarnęła budynek i znowu rozmyślałem o drodze, którą szedł Burda od pełnych wiary w swe ideały lat przedwojennych do wyznania, jakie od niego usłyszałem przed południem. Później myślałem o niektórych własnych doświadczeniach nabytych jeszcze jako dziecko — wystarczyło przecież tylko wyjść za próg domu i spojrzeć w kierunku wschodnim — wiążących się z uczuciem jakiejś bezgranicznej, smutnej, posępnej dali nie do objęcia wzrokiem, nakazującej myśleć o pustce; gdzieś nieco bliżej biegła jeszcze ciemna, odgraniczająca kreska Zbruczka (której też się nie widziało, a jedynie wyczuwało), za nią zaś już nie było nic, co mogłoby wydawać się realne i zrozumiałe, po prostu Wschód, mający w ciągu wieków coraz większą zdolność przesuwania się ku Zachodowi, ów Wschód obcy, przytłaczający wszystko i niwelujący, forpoczta Azji, nie będący dla mnie żadnym pojęciem geograficznym, lecz stanem uczuciowym wyssanym już z mlekiem matki, wchłoniętym z powietrza, z pyłu ruin twierdz i zamków na wzgórzach i nad brzegami rzek, z widoku warownych kościołów, klasztorów i mieszkalnych domów, z kurhanów mogiłnych; a ten stan uczuciowy mobilizował nieustającą czujność, nieufność, trwałą gotowość obronna, protest, wcale zresztą nie dlatego, że byłem świadom zagrożenia czy że się bałem, już na pewno zaś wcale nie dlatego, że nienawidziłem, ale dlatego, że przeczuwałem, a później wiedziałem, że Wschód to jest coś, do czego nie można się przystosować, czego nie można oswoić, obłąskawić, zmienić, czego nie można znieść, można jedynie odepchnąć.

Myślałem także o tamtych czasach, kiedy chodziłem do szkoły, a Nikodem Burda uczył mnie historii, i o sposobie w jaki nas uczył, i o tym jego żarze wewnętrznym, jego zapale, które być może właśnie sprawiły, że polubiłem ten przedmiot najbardziej. I o historii myślałem, że stała się demonem współczesnego człowieka, i o rozmaitych narzucających się analogiach, od których trudno było się nieraz uwolnić, tych prawdziwych, jak i złudnych tylko i że różne można z historii czerpać nauki, i znowu o Wschodzie myślałem, i jeszcze tym dalszym, o Azji, co przez

stulecia parła tymi samymi szlakami ze Wschodu na Zachód, wdzierając się w głąb Europy, o Azji stepowej, pustynnej, barbarzyńskiej, nie niosącej z tamtych stron zapładniających idei, nowych umiejętności, cywilizacyjnych zdobyczy, kultury, sztuki, filozofii ani sposobów wytwarzania, nawet jeśli tam powstały, ale spustoszenie, dzikość, okrucieństwo, krew, pożogę, grabież i gwałt.

Aż raptem usłyszawszy jakiś głos, drgnąłem i otworzyłem oczy. Odruchowo zacisnąłem dłonie na poręczach szpitalnego fotelika i, jeszcze półprzytomny, uświadomiłem sobie, że spałem, a przebudziła mnie nie jakaś myśl, czy jakiś obraz ze snu, nawet nie uczucie, że w pokoju znajduje się ktoś trzeci i że słyszałem jego głos, ale odwrotnie: to, że czegoś brak. Z gór schodził teraz nieustający, potężny, groźny szum wiatru, ale poprzez ten szum słychać było wyraźnie bliski szept gałązek mimozy trących się na zewnątrz o czarną szybę, szept wciąż łagodny, przenikający jednak nagle dreszczem, prócz którego, mimo, że natężyłem słuch, nie dosłyszałem żadnego innego dźwięku, nawet rytmicznego pulsowania kroplówki, i wtedy oprzytomniałem do końca, uświadamiając sobie, że się nie myliłem, że w półmroku pokoju rzeczywiście jest ktoś trzeci — to był kapelan. W smudze światła nocnej lampki pochylał on się nad łóżkiem chorego prawie nieruchomo, jedynie jego ręce wykonywały jakieś skomplikowane czynności. Mimo że przytomny, trzeźwy, przebudzony, krzyknąłem i przez kilka sekund zdawało mi się, że właśnie dopiero ten własny krzyk zbudził mnie naprawdę. Ale obraz sprzed oczu nie chciał zniknąć. Kapelan tylko odwrócił powoli ku mnie głowę, gdy wstałem i się zbliżyłem; jego twarz była spokojna, skupiona, usta nie przestawały szeptać słów przepisanych rytuałem, ręce zaś — wtedy to zrozumiałem — udzielały ostatniego namaszczenia.

A więc Nikodem Burda nie żył. Leżał już bez ruchu, bez oddechu, na zawsze poza wszystkim doczesnym i wolny. Ja zaś zostałem z jego opowieścią, czyli z jego życiem, i zawahałem się na krótko w myśli, czy było ono dokończone. Potem pomyślałem, że choć byłem przy nim w jego ostatniej godzinie, to jednak zawiodłem, zasypiając, bo przecież mogłem mu być jeszcze potrzebny. Ale czy jakiegokolwiek życie jest naprawdę dokończone? To były te trzeźwe, ostre choć chaotyczne, pierwsze myśli. Bo potem, patrząc w jego twarz, której rysy wygładziły się, złagodniały i była w nich ulga, przypomniałem sobie, co powiedziałem już przedtem kapelanowi, że Burda powiedział wszystko co istot-

ne, i pomyślałem o umierającym z „Króla Ducha” — „... i duch się skupił cały w jedno ziarno...”.

Jeszcze raz wtedy myśl, jak gdyby wewnętrznymi oczami, przebiegła usłyszana opowieść o tej drodze pomiędzy „tak” a „nie”, i zaraz przypomniałem sobie także prośbę nauczyciela, żeby mówić innym i ostrzegać. Więc stojąc obok kapelana, który stał już wyprostowany i tylko znakiem krzyża zegnał ciało, myślałem potem o przesłaniach zostawianych przez zmarłych żywym. Że mogą być, jak światło, zdolne rozjaśniać ich własną drogę przez mrok. Która, niezależnie od okoliczności, zawsze biegnie krawędzią pomiędzy „tak” a „nie”.

POD MUREM

*Józefowi Czapskiemu i innym jeńcom
obozu Starobielsk I na przełomie 1939
i 1940 roku.*

Kończy się marzec. Jeszcze nocą kałuże przed główną cerkwią ścina lód, oprawne zaś w zeszlowieczny ołów szybki okien budynków poklasztornych zachodzą białym mrozem i sypie śnieg, dopiero nad samym ranem mieszający się niekiedy z deszczem, ale już w dzień świeci co dnia słońce. Chudy malarz czuje pod przyciśniętymi płasko do muru plecami nikłe ciepło, które w południe wchłonęły tynki i cegły, a którego nie wyssał z nich jeszcze coraz później teraz nastający, wydłużający się zmierzch. Czuje również wraz z ciepłem ból przenikający przez szynel, przez skórę, nawet żebra dalej w głąb ciała od szczerb i otworów po kulach na murze, bo w tym miejscu, jak powiadają miejscowi, bolszewicy rozstrzeliwali tutejsze mniszki, ale nie odrywa pleców, do tego bólu przywykł, wie, że to było dawno, po tamtej wojnie, i w istocie jego ból jest tylko wspomnieniem czyjś wspomnienia o bólu, albo zaledwie refleksem wspomnienia, tyle że odcisniętego w podświadomości grubymi, ostrymi kreskami, jak węglem narysowanego obrazu: szły ze śpiewem, z podniesionymi głowami i stawały pod murem spokojne, patrząc prosto w kierunku się ku nim lufy karabinów; a było wśród nich wiele młodych i niezwykle pięknych. Jego własny i prawdziwy ból od kilku tygodni już mu nie dokucza, już nie kaszle i nawet przestał spluwać krwią. Ale myśli, że nie należy o bólu zapominać: ani o tym pierwszym, cudzym, ani także o drugim, własnym, który się więcej nie pojawia, że trzeba się utrzymać w lęku, bo potem przychodzi łaska i człowiek może wypowiedzieć siebie.

Chudy malarz wdycha głęboko powietrze i słyszy, jak szeleści mu w płucach, jakby przesypywał się tam suchy piasek. Myśli o świetle łaski, które może rozjaśnić mroki duszy. Że doznawał jej kilka razy w dzieciństwie i młodości potem jeszcze, kiedy zmarła matka, być może nawet raz albo dwa razy w swej ciasnej mansardzie paryskiej, kiedy w straszliwym napięciu kończył obraz, raptem tracąc z nim wszelki związek, a płótno stawało się obce i jakieś trzecie jak gdyby w jego głowie oko widziało z nową siłą zupełnie inne kształty i barwy. Później błysku tego światła nie doznał nigdy. Ani we wrześniu pod pióropuszcami eksplodujących bomb, ani pod obstrzałem sowieckiej artylerii, ani w zatrzaskniętych na głucho *tięptuszkach*, kiedy ich wieźli na wschód, ani tutaj, na ciasnych, zapluskwionych, twardych pryczach, kiedy przez zimę nocami grzali się ciało o ciało i, nie zaspiając, często myślał o cierpieniu. Czyżby jego własne nie było dostatecznie wielkie? A może to cudze, przenikające z sąsiednich, jak łachmany skłębionych ciał, było większe niż własne i domagało się poddania i pokory?

Chudy malarz otrząsa się z zamyślenia, bo głośnik zawieszony na słupie telegraficznym przed główną cerkwią przestaje właśnie bełkotać komunikatami, milknie, cisza się przedłuża, taka przerwa może coś znaczyć, milkną również mężczyźni zgromadzeni pod wciąż jeszcze gołą jabłonką opodal muru, słuchający wykładu lewicowego poety P. o tajemnicach związków polskich w twórczości Apollinaire'a, i odwracają głowy. Ale po chwili z głośnika wybuchła tylko chopinowska ballada (Chopinem ze szczególnym upodobaniem kierownictwo obozu szpikuje swój program radiowy) i poeta P., siedzący koło jabłonki w kucki, uśmiecha się z ironicznym smutkiem. Unosząc rudą głowę mówi, „*Wsio raschiszczeno, priedano, prodano//Czornoj smerti mielkało kryto//Wsio gałodnoj toskoju izgładano//Otcziewo że nam stało światło?*”*

Gniewne *fortissimo* ścięte trzema akordami przechodzi w rozlewny, rozplywający się łagodnie motyw przynoszący ulgę, a potem muzyka znowu galopuje z niecierpliwą zadyszka. Przysłuchującemu się z zamkniętymi oczami chudemu malarzowi wydaje się, że przez serce szybciej przepływa krew i naraz traci poczucie całej dotykanej zmysłami materii. Ale głośnik milknie ponownie. Przerwa, jak przedtem, wydłuża się i napina, i mężczyźni pod jabłonką chwilę czekają w milczeniu, a potem ruszają w kierunku

* A. Achmatowa — „Anno Domini 1921”.

słupa; głośnik zaczyna chrypieć wiadomościami o ruchach wojsk na froncie francuskim.

Chudy malarz zostaje sam i znowu przyciska swe oderwane na chwilę plecy okryte szynalem do postrzelanego klasztornego muru, mimo że jego ciepło jest już ledwo wyczuwalne. Stara się patrzeć szeroko, jak najszerszej, tak że oczy bolą, aby cały widok objąć wzrokiem aż nawet do dachów i strzech miasteczka za murami, do dalekiej ciemnej zieleni lasu, która ginie w oleistej głębi horyzontu. Słońce dawno zapadło za klasztor, a choć ostatni poblask ślizga się jak gdyby jeszcze po spatynowanej kopule z oblamanymi krzyżami, więźnie w brązach odstających rynien, omiata od zachodu liszajowate mury, złotą purpurą znaczy gdzieś nigdzie żółte deski i belki wyżek strażniczych i w powietrzu, jak mżawka, utrzymują się jeszcze resztki rozproszonego światła, to jednak w promieniu najbliższych kilku kroków wszystko przenika już chłodny mrok: czarne drzewa za bramą o konarach w odcieniu tylko nieco mniej czarnym niż pnie strzelają w górę płataniną niezrozumiałych linii gałęzi, na których nanizane tkwią nieruchomo smoliste kawki i wrony. Chudy malarz nie może się pozbyć uczucia obcości tego widoku, jego nieprzystępności i wrażenia zupełnego zerwania swych dawnych żywych związków z naturą. Obce miejsca są naprawdę obce i nie da się ich w żaden sposób oswoić i przeniknąć. Myśli, że widzi wszystko zewnątrz, nie malarsko, że jego widzenie jest tylko podparte wewnętrznym nakazem, wysiłkiem woli, żeby widzieć, więc nie jest widzeniem prawdziwym.

Teraz słyszy ordynarne, kalekie słowa strażników idących po drugiej stronie muru i myśli: świerzb, K. ma świerzb, L. również, jeżeli nie wydadzą maści, stanie się plaga, choć może to nie świerzb, tylko wszy, znów odwszalnia nie działa drugi tydzień, i powtarza w myśli napis nad łaźnią „*Sabludajtie czistotu*”, gdzie brak wciąż wody, potem myśli, List z Warszawy od M., ostre mrozy, węgla brak, nie ustajemy myśleć o tobie, czytaj, dobrze się odżywiaj, dużo białka, jarzyn, spotkanie z Maryną F. podnoszące na duchu, niezapomniane wrażenie, i słyszy, jak ktoś krzyczy, że ławoczek otwarta, i myśli: Psuje się język, ławoczek, ubornaja, parasza, sledowatiel, sobirajsia s wieszczami, a tu M. radzi, żeby czytać! i zastanawia się, czy oddać nie doczytany do końca drugi tom „*Moich uniwersytetów*”, myśląc jednocześnie o nieukrywanej nienawiści towarzysza autora do rosyjskiego chłopca, i przypomina sobie pobyt na Krymie w szesnastym roku, wizytę u Woroncowych w ich posiadłości Ałupki, ofiarowanej później przez Stalina Gorkiemu, zastanawiając się, czy to właśnie

tam on tę książkę pisał, a w końcu myśli, Zaraz otworzą bramę, zaraz wkroczy na plac kolumna wracających od przeładunku drewna na stacji, i że dziś na wieczór będzie pęczak.

Sięga do kieszeni po kajecik z przyciętego równo papieru po paczkach z kraju, kartkuje mrużąc oczy i odczytuje notatki do sporządzanej z trudem z pamięci historii francuskiego malarstwa od Davida do współczesności, którą doprowadził zaledwie do Courbeta i się zniechęcił, choć porucznik C. mówi, że to najlepsza terapia na wszystko: nocne śledztwa, załamania, tęsknotę, brak listów z kraju, beznadziejność, niepewność, lęk, nawet na płuca i serce. Chowa kajecik, zamyka oczy, zaciska powiekami, jakby miał nadzieję, że kiedy je na nowo rozewrze, spojrzy na świat inaczej, okiem oczyszczonym, kiedy je jednak wreszcie rozwiera, nie zmienia się nic, jest zmierzch. Jego ciało przenika dreszcz.

Odrywa się od muru i odwraca, dotyka go rozpląszczoną dłonią, jakby chciał sprawdzić, czy istotnie istnieje (zimno szybko wnika przez palce w głąb ręki); realność jego kształtu jest niewątpliwa. Teraz chudy malarz, wymijając kałuże, idzie przez plac przed główną cerkwią w kierunku mniejszej, skręca między budynki poklasztorne. W jednym z nich, gdzie ma ostatnio swoje miejsce, swój kąć pryczy i zawieszony węzełek na poprzeczce, na której schną też jego onuce, zanurza się w ciemne, zimne wnętrze sieni. Teraz idzie w kierunku rojowiska gwaru i suchotniczego kaszlu. Wchodzi do sali, z której bucha, jak wyziew z martwego pieca wilgocią i pleśnią, przeciska się ścieżką między pryczami przez duszne, zimne powietrze o zapachu stłoczonych ciał ludzkich, torując sobie cierpliwie drogę przez mrok, w którym ledwo pełgające światło zmierzchu przesączającego się przez szare szybki okien pogłębia na chudych, wyschniętych twarzach bruzdy, zmarszczki i cienie. Teraz zatrzymuje się przy jednej z prycz, zbiera swój rozrzucony z tobołka skromny dobytek, myśląc, że znowu była rewizja, dzisiaj już druga, myślą jak z notatnika, obojętną, i ściąga z poprzeczki onuce, które są wciąż jeszcze mokre, i kładzie się na pryczy. Teraz próbuje się skupić. Przypomina sobie list od M. — poszczególne zdania jednak nie znaczą wiele, lub zbyt wiele i nie może odkryć ich utajonego sensu. Leży na pryczy, usiłując patrzeć z uwagą na deski pryczy wyższego piętra i wyłazając szparami między nimi przegniłą słomę; deski też są przegniłe, widać służyły kilku generacjom więźniów, zanim zaczęły służyć polskim jeńcom. Usiłuje przypomnieć sobie i wyobrazić jakiś obóz jeniecki z poprzedniej wojny, ale wszystkie przywoływane obrazy wydają się nierealne przez swą łagod-

ność. Więc myśli z kolei o tezie marksistów o nieprzerwanej spirali postępu, że spirala niekoniecznie musi rozwijać się w górę, że również może w dół, i zastanawia się, jak przekazać tę prawdę w kształcie jej najbliższym. Zapala się światło. Wtedy ktoś mówi obok, że dziś jest pęczak, a później rzeczywiście jest pęczak.

Pęczak jest rzadki i jałowy, prawie zimny. Twarze zmęczone, wiele twarzy z ostrymi smugami, które od nosa zbiegają w dół, z odstającymi kośćmi policzkowymi nawet w twarzach pełniejszych, z kłującymi ostro oczami, cerą szarą, zwiędłą, wyschniętą, o kolorze przez zimę na zimnym strychu źle przechowanych jabłek pochylone nad menażkami, garnczkami, blaszankami, miseczkami, z których zszorowano prawie całą emalię, ostrożnie, powoli ruszające się poziomo szczęki, ostrożny ruch pionowy grdyk, zimna pleśń osiadająca na nozdrzach i zlepiająca wilgocią powieki. Wreszcie nastaje cisza, obłoki pary oddechów rozrzedzają się szybko. Potem jest modlitwa; nieruchome twarze są zmęczone, wyczerpane, spokojne i niezłomne. Chudy malarz usiłuje się skupić, jest to chwila przyływu, jest cały najotwarciej gotowy na przyjęcie jakiegoś znaku, nawet gdyby to miał być znak najmniej oczywisty w sytuacji, w jakiej się znaleźli, ale instynkt go ostrzega, że znaki niebios dawane są teraz tak skąpo, wstrzemięźliwie i dyskretnie, że trudno je będzie wypatrzeć i pojąć. Potem słychać bieżnię na korytarzu, wywoływanie nazwisk (to na przesłuchania) i chudy malarz siada na pryczy, nasłuchuje, mówiąc do siebie półszepem, „Słychać z dala tych szatanów wycia, co ziemię moją okuli w kajdany...”, cytat z Krasieńskiego, odnosząc się do zupełnie innych okoliczności, który przesładuje go ostatnio coraz natarczywiej, po jakimś czasie jednak w korytarzu znowu cichnie i może przyłączyć się do śpiewania pieśni.

Zarówka u stropu pulsuje, przygasa, sygnalizując, że daleko w miasteczku, albo jeszcze dalej, elektrownia pracuje teraz połową mocy; drgające druciki z białych robią się różowe, ale nie gasną zupełnie i kapitan B. wypowiada leninowskie hasło o elektryfikacji, które brzmi niby zbyt stary dowcip, bo nikt się nie śmieje. W tym półświecie twarze zaczynają niezdrowo śnić, jak zlewane obfitym potem i wydają się rozgorączkowane, ale pod śniącą powłoką wszystkie mają jednakowo ziemistą szarość. Chudy malarz siedzi nieruchomo na pryczy, wsparł łokcie o kolana, twarz podparł dłońmi i przymyka oczy. Siedzi tak długo, aż traci poczucie czasu, aż ugniatający ucisk łokci powoduje ból, który od kolan przemieszcza się w górę ciała ku pachwinom, łydki zaś cierpną, jakby uchodziła z nich krew, i myśl, która była

martwa, a może tylko stała w miejscu, teraz obudzona nagle, znów rusza dotykając jakichś wspomnień (Stasowa w gabinecie na Smolnym, mówiąca, żeby przyjechał tu po dwudziestu latach i zobaczył, jaki zbudują nowy świat — właśnie zobaczył!), jakichś cytatów z książek albo słów wypowiedzianych w pobliżu na pryczach, które jego w tej chwili niezwykle wyostrzony słuch notuje równolegle, jakby w kilku pasmach dźwięku, nie wartościując: ... Dusza rosyjska (to o Dostojewskim kapitan G., głosem zimnym, zamysłonym). Tak zwana dusza rosyjska? Uchodzi za skomplikowaną i niepojętą. Czy jednak nie dlatego, że jest po prostu chaotyczna? A przecież chaos nie jest zawilnością ani zagadką. Jest zwykłym nieporządkiem... Zakatowali psa (z oburzeniem rotmistrz Z.). Co im pies wadził? Nawet pies. Mój Boże... Pytają, czy wyrażam wątpliwość w skuteczność sowieckiego lecznictwa (to doktor D.). Powiadam, nazwałem waszego wracza nieukiem, nic więcej. Więc przyznaję, że wyrażam wątpliwość? — pytają. Powiadam im, że syfilisu nie leczy się szarą maścią... Czy pamięta pan, jak pachnie rezeda? (teraz nachyla się nad nim porucznik R., dociekliwy, rozważający). Rezeda? Dlaczego właśnie rezeda? — podrywa głowę chudy malarz i nie może sobie przypomnieć. Ale zbliża się już godzina jego dyżuru przy głośniku radiowym na słupie. Dźwiga się z pryczy, rozprostowuje nogi, zziębnięta, gęsta krew powoli spływa w dół, w łydki i stopy wraca czucie; zakłada szynel, okręca szyję szalikiem. Sypie śnieg, mówi mu na odchodnym porucznik R., uśmiechając się swą twarzą dziecka z reklamy mydła Cadum. Sypie śnieg...

Ale śnieg już nie sypie, brzegi kałuż znaczą sina, namakająca teraz kaszka i wiatr roznosi tumany dżdżu; w smugach światła od reflektorów na murach i przy bramie zdają się nisko przy ziemi płynącymi obłokami. W twarz uderza go powietrze czyste jak woda, kiedy spomiędzy budynków wychodzi na plac przedcerkiewny i zimny powiew przenika szynel, rozplaszczając się na skórze pleców. Staje przy słupie w kręgu marnego światła elektrycznej lampy, które miga rdzawo w czerni kałuż i plecy opiera o słup. Głośnik bełkocze niewiele znaczącymi wieściami z francuskiego frontu; właśnie kończy dziennik wieczorny Moskwa. Potem zaczyna się pogadanka o bohatersko wyzwolonych terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi i jak to polscy panowie na łakirowych kabłukach pili krew biednego ludu, a jeszcze potem coś o niezwykłej Armii Czerwonej. Jednakże uwaga chudego malarza natychmiast wyłącza się jak automat i, sam zaskoczony, raptem myśli o Prouście. Dlaczego o Prouście? — odtrąca tamte myśli nowa myśl. Aha, C. chciał, żebym zrobił wy-

kład o Prouście, o jego problematyce miłosnej. Mój Boże, właśnie o miłosnej? myśli i przypomina sobie nagle, jak Swann w rozmowie z Odettą nalega, aby dowiedzieć się, czy katleje mają zapach, czy nie: „Doprawdy, nie robi to pani przykrości? A jeśli je powącham — aby się przekonać, czy pachną, czy też nie? Nigdy ich nie wąchałem, czy można? Niech pani powie szczerze?... Wolno spróbować, czy nie pachną bardziej od tamtych?“. Ale zaraz myśl zostawia tę scenę i się oddala, ogarniając po drodze raz jeszcze list od M., o którym już tego dnia kilkakrotnie myślał, zdanie sowieckiego komendanta wypowiedziane półgębkiem do któregoś z nich, że rozwiozą ich po innych, mniejszych obozach, komentowane przez wszystkich zaciekle, pytanie R. o rezedę (skąd mu do głowy dziś rezeda?) i na krótko staje jak wryta, przyhamowana, przytrzymana, unieruchomiona w miejscu krzykiem od strony *komandirówki*, a raczej głuchym ducknięciem, jak gdyby kolbą uderzono kogoś w brzuch, dopiero potem tym krzykiem, ale już znowu jest cicho, jedynie wiatr zawodzi głośniej między budynkami, i chudy malarz myśli, że może mu się zdawało, opanowuje się i patrząc w ciemne, zaciągnięte niebo bez jednej gwiazdy, próbuje sobie przypomnieć o czym przed chwilą myślał, czując to ustawiczne, niepowstrzymane przelewanie się w sobie uczuć od cierpienia, grozy, współczucia, litości do nienawiści nawet, której przebłyski z siłą dusi i wreszcie sobie przypomina, że chyba myślał o M. i czuje, że ciemność placu rozjaśniona światłami z murów i wyżek strażniczych napełniona jest tysiącnymi głosami z przeszłości, a on, jak człowiek, który potrafi już tylko spoglądać wstecz, nie może się przed nimi obronić, choć obrazy, które ta przeszłość przynosi, są jak jedno wielkie pole bitwy.

Wyłaniają się, jakby krzycząc o pamięć: Bronisław R., zastrzelony przez Czeka na granicy Archangielskiej *oblasti*, może w tym samym czasie nawet, kiedy on jeszcze rozmawiał ze Stasową w Smolnym, miał być może nadzieję dotrzeć do Dzierżyńskiego, może do samego Lenina nawet; Konstanty D., skoszony serią kulomiotu podczas przedzierania się Mościckiego z Dobrujska do Warszawy; Maurycy W., skłuty przez bolszewików bagnietami i dobity kolbami na majdanie w Łazarewiczach nad Dnieprem; Henryk P., zarąbany w ataku kawaleryjskim w czasie wyprawy kijowskiej; i znowu Bronisław R. i ci inni jeńcy, których wtedy miał z tego kraju wywieźć, wydobyć czy wymienić (a jeśli już nie inaczej, to chociażby tatarskim obyczajem wykupić), skazani przez Trybunał Rewolucyjny i rozstrzelani przez pluton szóstego Batalionu Biłgorajskiego; i potem brat Staś, trafiony szrap-

nelami w głowę i piersi podczas marszu pułku na Brody — Staś na słomie zaścielającej dno chłopskiego wozu, gnającego drogą pod zielonym sklepieniem jesionów, plecy brata wsparte na jego udach, głowa brata na jego brzuchu, podtrzymywana przez niego oburącz, ażeby złagodzić wstrząsy, głowa w bandażach, piersi brata w bandażach, głowa przetaczająca się ciężko i bezwładnie w jego dłoniach, przez bandaże, które zlepił i wysuszył upał przesączająca się świeża krew, i ta pierś brata pulsująca, usiłująca łapać oddech, i jasnoczerwone bąble powietrza, jak wydmuchiwane banieczki mydlane, uciekające przez bandaże w okolicy serca, i oczy, te oczy brata już przymknięte, już wpółotwarte, już zmętniałe, w których, jak w szklawie, migotały punkciki światła i cienia od mijanych drzew, swój krzyk do woźnicy, żeby szybciej, i te gałęzie tnące, uderzające po głowie, szorujące po plecach, albo żeby jechał wolniej, i dłoń brata, ta dłoń obwisała na słomie, zaciskająca garść omłóconych kłosów, rozwierająca się, to znowu zaciskająca, jedyny znak, że jeszcze żyje, od kiedy, żeby wyminąć tłoczące się szosą wojskowe tabory, wjechali na tę boczną drogę i utworzyli oczy szerzej, i się uśmiechnął, i szepnął: Daj spokój, stary, bo potem już tylko słyszał jego oddech, to bulgotanie banieczek krwi spomiędzy bandaży na piersi, kołatanie kół wozu na wybojach, pokrzykiwanie woźnicy na konie, ich parskanie, grę chrapliwą ich płuc pełną utrudzenia w tym upale, w kłębiącym się kurzu drogi, w nieprzerwanym migotaniu światła i cienia spod sklepionych nad drogą drzew — co słyszy i widzi także teraz, wciąż stojąc oparty o telegraficzny słup na przedcerkiewnym placu, choć zawieszony w górze głośnik zamilkł, myśląc jednocześnie o tej jak gdyby drugiej osobie egzystującej w czarnym wnętrzu własnego ciała, nad której myślami i uczuciami nie panuje, i zdaje mu się, że jest jak obcy duch błakający się nocą po miejscach, które dawno winien był opuścić na zawsze, a nawet zapomnieć.

Wraca. Mżawka ustała, chwytą przymrozek, wiatr jest ostrzejszy. Przenikając szynel, ścisła lodowatymi kleszczami. Wstrząsają nim dreszcze. Kiedy wsuwa się do sieni, ogarnia go ona znowu całego swą piwniczną wonią, która, kiedy tylko otwiera drzwi do sali służącej im ostatnio za kwaterę, wchodząc między prycze, stępa się i gęstnieje zatęchłym zapachem niedopranej bielizny, niedomytych ciał, nędzy, głodu i upadku. A choć jeszcze niekiedy nie śpią, ale siedząc w pobliżu światła, obierają odzież z robactwa albo rozmawiają i widzi skierowane ku sobie pytające spojrzenia, nie mówi nic, bo jego płuca dławią się z braku powietrza. Rzuca się na swoją pryczę pomiędzy tam leżących i okrywa połą szynela głowę, wciąż oddychając z wysiłkiem, upo-

korzony tą wonią do głębi, gdyż jest to i jego własna woń, teraz tylko wyraźniejsza. Potem, uświadamiając sobie, że to woń ludzi, którzy jak i on sam nie żyją już wśród żywych, będąca jak gdyby zwiastunem grobu, stara się jak najprędzej oddalić z tego miejsca i przez chwilę jeszcze z przymusem słucha odzywających się w pobliżu na pryczach głosów, choć wie, że oddalając się, już nie może ich zrozumieć. I na przekór temu drugiemu „ja” w sobie i sytuacji, w jakiej się znajduje, myśli: Poprawianie katlei, to będzie wykład o poprawianiu katlei. I znowu z dna pamięci zaczyna płynąć strumieniem tamta proza Prousta, przynosząc obrazy zamglone, lecz fascynujące, i myśli: Kwiat, tak kwiat właśnie symbolizuje tam miłość fizyczną we wzajemnych związkach dwu różnych par: Swanna i Odetty oraz barona de Charlus i Jupiena; miłość tych dwu par nie jest uczuciem doskonałym; miłość Swanna jest zawsze przyćmiona wątpliwościami i zazdrością, toteż Swannowi nigdy nie uda się zdobyć psychicznej władzy nad Odettą; Charlusa i Jupiena łączy miłość inwertytów, a więc miłość jałowa; stąd oryginalne wyrażenie „kochać katleję” używane przez Swanna zamiast „kochać się” i wizyta trzmiela u orchidei, służąca wytłumaczeniu stosunków między Charlusem a Jupieniem...

Teraz znów jest w nim spokój, prawie cisza, myśl pracuje nieśpiesznie, równomiernie, niemal chłodno, dobywając na powierzchnię świadomości fakty, detale, sądy, o których zdawało mu się, że nie ma pojęcia, a przecież były gdzieś w zwojach mózgowych zmagazynowane przez lata, dobrze zakodowane i teraz wiążą się w organiczną całość: Proust wybiera kwiat dla symbolizowania aktu miłosnego, w którym Swann wyobraża sobie możliwość posiadania Odetty; kwiat to niezwykle rzadki, bo Swann myśli, że tylko on pozyskał jej względy; rzadkość tego kwiatu podkreśla jeszcze to, że spełnienie pragnienia następuje po długim, rozpaczliwym poszukiwaniu Odetty; wszystkie perypetie tego poszukiwania są opisane i pozwalają nam wyobrazić sobie człowieka ginącego z pożądania; to wszystko służy przygotowaniu nas do nadchodzącej chwili, w której Swann posiadzie Odettę; ale opisu tej chwili nie znajdujemy, gdyż, jak mówi autor, jest to chwila „w której zresztą nie posiada się nic”; nie akt więc miłosny jest najważniejszy w stosunku Odetty i Swanna, lecz właśnie cały rytuał, którym Swann go otacza, rytuał, który ma uczynić ten akt czymś bardziej zamysłowym, czułym, tajemniczym i egzotycznym tak, jak kwiat katlei, że „posiadanie tej kobiety wyłoni się z szerokich płatków lila...”.

Aż w końcu ten odzyskany w ten sposób spokój pozwala mu

powrócić do rzeczywistości sali, do stężonym mrokiem okrytych prycz, do skulonych pod derkami i płaszczami ciał spowitych szczerlnie we własne ścinające się lodowato w powietrzu oddechy, w chrapanie, kaszel, jęki, westchnienia, w szepty i krzyki przez sen. Choć jego słuch, znowu napięty jak struna, łowi także strzępy jakiejś krótkiej, prowadzonej przez strażników na zewnątrz budynku po rosyjsku rozmowy, docierające przez okienko, w którym w miejsce wybitych szybek wstawiono tekturę. A nawet przytupywania strażników na mrozie dla rozgrzewki (mimo że wcale nie chce ich słyszeć) i ich śmiech, i potem oddalające się wolno ich kroki. Więc leżąc z zamkniętymi oczami zupełnie nieruchomo, zastanawia się, jak ustrzec się od ślepej nienawiści, jak zachować jasność spojrzenia, niezmacony umysł, czystość serca? Wciąż jeszcze jest spokojny, ale ołowiane zimno przenika koc i szynel, szybko zmieniając rozprężone ciało w lodowatą bryłę, powoli zniczulającą się na ukąszenia pluskiew i wszy. I znowu wydaje mu się, że wóz podskakuje na wybojach, chłop w nasuniętej na czoło czapce kołysze się na przodzie, pogania konie, znowu on z rannym bratem, choć teraz jest noc, i wóz pędzi przez pustkowia w nieskończoną przestrzeń czasu. Potem z ciemności stuleci suną cienie, skrzypią inne wozy, na wozach ranni i umarli, koła brudzą ziemię niezliczonymi czarnymi koleinami, a w mętnej mgłę na pokurzystkach mijanych wsi sterczące z ruin osmalone kominy i snujące się pod niebo dymy, i wciąż w pobliżu ten sam turkot kół taborów, szmer kroków piechoty i powietrze rozrywający raz po razie huk, a także daleki płacz nie chcący ustać. I wtedy, broniąc się przed tamtym dławiącym uczuciem nienawiści, myśli: Dawno się nie modliłem, tracę cierpliwość, ponoszą mnie nerwy, buntuję się, jestem niepokorny. I choć teraz jest już śmiertelnie zmęczony, to jednak zaczyna z trudem przypominać sobie w myśli różaniec. Ale dopiero po długiej chwili trafia odpowiednią tonację. Potem słyszy w sobie jego piękny, galopujący język pełen siły, słów świeżych, budujących, podniecających, zieleni drzew, zapachów pól i łąk, szumu morza, spełnionych pożądań, radości posiadania i radości wyrzeczenia, wizji szalonych o barwach i kształtach niezwykłych — zaczynają w nim płynąć gładko, spokojnie, kojąco, nie musi ich nawet rozumieć, ani dociekać ich sensu; zasypia.

Rano jest słoneczne i zimne. Chudy malarz myje wiadra do roznoszenia zupy, potem w grupie zwolnionych przez lekarza od cięższych robót dźwiga od ciężarówki worki z ziemniakami do kuchni, potem je w kuchni obiera. Ale koło południa się ociepla, wiatr ustaje, temperatura się podnosi, kałuże obsychają; teraz

chudy malarz może wyjść, stanąć znowu pod murem klasztornym, jak wczoraj, i stać tam z godzinę lub dwie w słońcu. Teraz idzie przez plac, mrużąc oczy od światła, które jest zupełnie białe; powietrze też ma ten odcień matowej bieli, przesycone widzialną niemalże parą wysysanej z ziemi wilgoci. Teraz ustawia się pod murem, a wokół nagiej jabłonki opodal zebrała się już grupka innych rekonwalescentów, chorych albo słabych, czy jeszcze z jakichś powodów zwolnionych, ale nie przyłącza się do rozmowy, słysząc ją, choć wcale nie słucha; dyskutują, jak już w poprzednie dni, odezwanie się półgębkiem sowieckiego komendanta, że mają ich rozwieźć do mniejszych obozów, że on, komendant, chętnie by się tam z nimi znalazł, tak będzie tam dobrze. Nie chce myśleć o dalszej wywózce, mimo że wie, tak jak i oni wiedzą, że przypadkowe odezwanie się komendanta nie może być przypadkowe, że jest uprzedzeniem. Tylko, że jeszcze ani jemu, ani im nie przychodzi do głowy, że nie będzie to jazda do żadnego obozu.

Teraz chudy malarz opiera się plecami o mur i równocześnie z jego ciepłem czuje przez szynel szczyrby w tynku i ceglach i otwory po kulach, którymi tu kiedyś zabijano te miejscowe mniszki. Po chwili już nawet nie słyszy głosów rozmawiających wokół jabłonki. Patrzy na nich, widzi ich i — jakby miał ich oczy, jakby z miejsca, w którym stoją pod jabłonką patrzył także na siebie samego — widzi jednocześnie swoją chudą, wysoką postać w za luźnym szynelu na ramionach, obwisających jak złamane skrzydła starego ptaka, opartą teraz plecami o mur. Wydaje mu się, że na nich wszystkich i na nim samym też leży cień śmierci. Splata za plecami dłonie, aż chrzesczą palce, zamyka oczy i zaraz mocniej czuje ciepło słońca padające na podniesioną twarz, a potem zapach rozmięklej przedwiosennie ziemi, obsychających kałuż, wiatru budzących się do życia pól i łąk, pęczniejących pierwszych pędów zieleni, a nawet zdaje mu się, że także mocniej czuje to ciepło, które jego plecami oddaje nagrzaną mur. Ale wtedy równocześnie mocniej czuje przez szynel szczyrby i otwory po kulach, i myśli o Prouście, o jego *mort indifférente*, czy w ogóle istnieje śmierć obojętna, a potem o kainowym przekleństwie. Jak gdyby wystarczyła jedna początkowa zbrodnia, aby pociągnąć za sobą następne i uczynić je jeszcze potworniejszymi, bardziej niepotrzebnymi, niesłusznymi, niesprawiedliwymi, skierowanymi przeciw rozsądkowi, rozumowi, naturze, stając się już nie do zatarcia, nie do wymazania z rejestru win i ze świadomości przyszlých pokoleń, nie do cofnięcia i uwolnienia tych przyszlých pokoleń od ich ciężaru, z którym przyjdzie im się

borykać ustawicznie i z którym nigdy nie zdołają sobie do końca poradzić. Nie otwierając oczu, próbuje ułować uchem coś z rozmowy prowadzonej tam pod nagą jabłonką przez jego towarzyszy, lecz nic nie słyszy, jakby oddalił się o tysiące wiorst, a nawet lat świetlnych, albo oni się oddalili, choć przecież on stoi pod murem, a oni o kilka kroków zaledwie. Czuje że za tą chwilą przesyconą zapachem budzącego się przedwiośnia, ciepłem słońca, pulsującą już wszystkimi sokami życia, leży nieodgadniony mrok. Że nie zdołają go przeniknąć żadne spojrzenia, żadne dotknięcie, żadne głosy ani myśli, i myśli, że może tylko w niejasnym przecuciu, jakie miewają zwierzęta przed burzą, oni tam pod tą jabłonką odgadują niektórzy to, co nadciąga, bo ich głosy brzmią niepokojem. Wciąż nie otwierając oczu, z twarzą zwróconą do słońca i plecami wspartymi o mur myśli z bezsilnym, rozpaczliwym spokojem, że wszystko, co kiedykolwiek było, było takie samo jak to, co kiedykolwiek będzie, gdyż jutro to co było i to co będzie, będą tym samym.

KU DUNZYNAŃSKIEMU WZGÓRZU IDZIE LAS

Motto: „*Nie tknie Makbeta żaden
cios morderczy
Póki las Birnam
ku Dunzynańskiemu
Wzgórz nie pójdzie
walczyć przeciw niemu...*”*

Było już koło wpół do szóstej po południu, a słońce paliło i rozprażało betonowe ściany mieszkania, jak wtedy, między dwunastą a pierwszą, kiedy Dziennikarz pierwszy raz spotkał się z Profesorem w jego mieszkaniu w sprawie tej taśmy. Wciąż do niego nie dotarła, nie przeniknęła jego mózgu ta, zdawałoby się oczywista, sama przez się narzucająca się myśl, że wpadło mu w ręce coś, w poszukiwaniu czego stracił połowę życia; wciąż w jego świadomości nie zrodziło się żadne uczucie triumfu, satysfakcji, nawet otrzymanego od losu zadośćuczynienia za poniesione trudy czy chociażby zdziwienia, że jego poszukiwaniom wyszedł raptem naprzeciw przypadek, a już na pewno żadne przecucie, że ten przypadek zaważyć może na dalszych jego trudach w tej sprawie i że zajmie go na długo, odsuwając i pomniejszając wszystko inne, czym się zajmował i czym żył. Potem myślał wielokrotnie, że winien był zapewne upaść trzymający od kilku dni jak pod szklanym kloszem miasto, tego dnia jak gdyby bardziej jeszcze stężony, uciskający i nie do zniesienia. Bo kiedy się

* W. Szekspir, „Makbet”, akt I, sc. 1, przekł. J. Paszkowskiego.

dowiedział o taśmie i co na taśmie jest, zrazu nic w nim nie drgnęło, żaden nerw, nie poczuł nic, nic nad większe tylko zmęczenie. Lecz może pojawił się także instynktowny lęk, że coś go przerasta...

A przecież wtedy, między dwunastą a pierwszą, kiedy pierwszy raz się spotkali, wszystko jak karty do gry na stoliku zostało wyłożone i przedstawione, i powinien był wiedzieć, że musi się tego podjąć. Profesor zresztą już u drzwi powiedział, że chodzi o Katyń i że ma dlań coś zupełnie jedyne i już tam u drzwi spojrzał nań tak od dołu, szybko, przenikliwie, ale bodajże z żalem, jak gdyby on, Profesor, z góry wiedział, że miną dnie, tygodnie, może nawet miesiące, on zaś, Dziennikarz, z tej sprawy się nie wypłaczę, czy będzie chciał, czy nie chciał. A potem siedzieli w tym niemilosiernie zagraconym pokoju, który przyjaciele Profesora, choć jego żona nie żyła od pięciu lat, dalej nazywali jej Gabinetem Lekarsko-Psychoanalitycznym (o czym zresztą informowała tabliczka umocowana na zewnętrznej stronie drzwi) i Profesor, nachyliwszy się nad stołem zastawionym w jednym końcu napoczętymi butelkami różnych alkoholi, w drugim stertami zapisanego ręką i maszyną do pisania, a między tym pięttrzącymi się talerzami z wysuszonymi resztkami kilku obiadów albo kolacji, szerokim ruchem ręki zrobił wolne miejsce i patrząc wciąż spojrzeniem przenikliwym, znaczącym i jakby współczującym, ustawił niewielki magnetofon japoński, nałożył kasetę i kazał Dziennikarzowi wysłuchać kilkuminutowego nagrania, zapoczątkowanego zdaniem „Więc Panie, to mogło tak być!”, wypowiedzianym prostacko, ordynarnie nawet, i zaraz po nim słowami Profesora, „To nie mogło tak być, ale tak było, zapewniam pana, że było...”, w których brzmiał powstrzymywany gniew, hamowana agresywność.

Więc w czasie, kiedy taśma biegła i Profesor patrzył gdzieś za niego, Dziennikarz badawczo przyglądał się otyłej, zapuszczonej postaci przyjaciela, jego szerokiej, tatarskiej prawie twarzy, zniszczonej roztrząsaniem tego, co bezpowrotnie przepadło, smutkiem i niewiarą w możliwość docieczenia prawdy, choć jako politolog i historyk, wysiłków, aby jej dociec, nigdy nie szczędził. Zastanawiał się jednak nie nad zawartością taśmy (bo wszystko to w jakiś zatrważający sposób uleciało mu raptem z głowy), ale nad problemem technicznym: jak Profesor nagranie zdobył. Lecz nie zapytał. A zaraz potem Profesor, spiesząc się na jakies spotkanie, dźwignął się z kanapy, mówiąc, że mu kasetę wypożycza do uważniejszego przesłuchania w redakcji. Więc jeszcze tylko

krótko rozmawiali zjeżdżając windą na dół i na ulicy w drodze do stacji *U-Bahn*'u. Tam zresztą Profesor sam z ociąganiem przyznał, że osobnik, którego nagrał (a nagrał bez jego wiedzy), to jeden ze średnich urzędników Polskiej Misji Wojskowej, Dziennikarz zaś wtedy pomyślał, że rzuca to na nagranie specyficzne, dodatkowe światło. I przez chwilę, poprzez zdumienie wywołane informacją Profesora, czuł dreszcz czegoś w rodzaju zawodowego podniecenia, towarzyszącego zwykle uchwyceniu w ręce nitki jakiejś sensacyjnej sprawy. Emocję nawet. Ale tylko przez pierwszą chwilę. Bo uczucie to prędko przepadło, ustępując poprzedniemu otępieniu. A gdzieś wewnątrz był także niemal zawstydzony, że tamto podniecenie, tamta emocja mogły się w ogóle w nim odezwać. Zwłaszcza, gdy Profesor, żegnając się, zrobił uwagę: „Musisz w was, Polakach, tkwić jakiś ponadklasowy, ponadideologiczny, narodowy instynkt, wewnętrzny mus, nakaz... Nie wiem, jak to nazwać... Skoro tego oficera, który się przybłąkał, nie zabili, ani nie dali swoim politrukami zabić”. Bo to uświadomiło mu natychmiast, że na drodze, która go w związku z tą historią czekała, Profesor zaszedł jak gdyby dużo dalej. Ale jeszcze wtedy Dziennikarz nie ustosunkował się do jego słów. Nie żeby nie wierzył, nie żeby nawet wątpił, po prostu nie potrafił o tym w ten sposób, jak Profesor, myśleć. Stał w milczeniu przy zejściu do tunelu stacji *U-Bahn*'u, patrzył na starego, otyłego, chorego na astmę i serce przyjaciela, który przyznawał się do związku z ginącym powoli bez oporu narodem (jakkolwiek językiem tego narodu, używanym przez jego chłopskich rodziców i dziadów gdzieś między Pińskiem a Mińskiem, sam ledwo władał) i który w zdumieniu, w nieskrywanym podziwieniu, a nawet z pewną dozą zazdrości mówił: „Musisz w was Polakach tkwić jakiś... instynkt...”, a on nie miał odwagi z nim się spierać, złudzenie to mu zabrać.

Teraz, kiedy drugi raz siedzieli naprzeciw siebie, zupełnie wyżęci z energii przez całodzienny upał, który nie puszczał ani o stopień w dół, ale jak gdyby tężał jeszcze, wciskając z natarczywą wściekłością przez rolety z bambusowych listewek słodkawą woń benzynowych wyczewów wraz ze zgęszczonym kurzem wielkiego miasta, rozmowa zrazu w ogóle się nie kleiła. Wpierw zresztą Profesor przyrządził skomplikowaną mieszankę z kilku naraz alkoholi, sodowej wody i lodu, potem zagłębili się z ulgą w poduszki w greckie wzory, wypchane morską trawą na tych jęczących sprężynami, wysiedzianych przez tysiące pacjentów kanapach pani doktor (jak je Dziennikarz nazywał, kanapach wygodniejszych od wszystkiego, co napełnione plastykiem i poro-

watą gumą, ofiarować mógł dzisiejszy handel) i z nogami opartymi o brzeg przedzielającego ich niskiego stołu, pili drobnymi łykami, milcząc i głośno oddychając suchym jak pieprz, pozbawionym najlżejszego odświeżającego powiewu od jezior i Szprewy powietrzem, które wprost zatykało pory płuc.

Lecz w końcu Profesor zrelacjonował Dziennikarzowi w skrócie przynajmniej okoliczności, w jakich do nagrania tej katyńskiej taśmy doszło. Bo choć trudno było z całą pewnością twierdzić, że istotnie dotyczyła katyńskiej sprawy, postaci bowiem z nagrań opowieści Osobnika z Misji Wojskowej (a raczej fragmentu jego opowieści), wyłaniały się jak ciemne widma z jeszcze ciemniejszego lasu przeszłości i sam narrator, ów Osobnik, choć jego rzeczywiste istnienie Profesor poświadczał, też był jak jedno z tamtych widm, to jednak obaj, i Profesor i Dziennikarz, tak ją właśnie nazwali: katyńską taśmą.

Głos Profesora znowu zaszeleścił, zachrząścił śpiewno gardłowymi, ginącymi już akcentami wschodnich rejonów Polski.

— Oni od razu wiedzieli, gdy ten człowiek, ten oficer, bo nazwijmy go oficerem, do nich się przybłąkał, że to ich sprawa. Że to sprawa między nimi a nim. Że o tym ani słowa nie mogą podać dalej, wyżej. Choć przecież byli czerwonymi partyzantami, komunistami i obowiązywała ich jakaś tam ich, partyjna, czy inna dyscyplina...

Potem długo jeszcze głos Profesora unosił się z utrudzeniem w duszącym powietrzu, pośpiewnie przebijając się przez zapełniający pokój jednostajny szum pracujących na dole, w rytm zmieniających się świateł, samochodów, szum wzmocniony jeszcze wysokością ósmego piętra i podkreślony przecinającym go od czasu do czasu łoskotem *S-Bahn*'u, którego kolejka przebiegała nieopodal po nasypie i słupach nad ulicami, a wreszcie nad murem granicznym, nad zasiekami z drutu i kołkami z betonu ku wschodniej części miasta do przystanku przy Friedrichstrasse. Lecz milczał. I w ten sposób, i w tych warunkach, objawiła mu się powoli ta, jak gdyby pierwsza, zewnętrzna tylko warstwa człowieka, nazywanego przez Profesora Osobnikiem, który zadzwonił do niego niedawno podniecony i powiedział, że chce się z nim spotkać, by wymienić informacje w sprawie niemalże już antycznej (tak to miał powiedzieć ze sztucznym sarkazmem), ale mimo to nie dającej mu spokoju, a wiąże się ona z wycinkami i książkami, które on, Osobnik, od Profesora kiedyś otrzymał i które przeczytał teraz bezpiecznie w czasie urlopu we Włoszech.

— Nie mogłem zrazu połączyć się, o co mu chodzi — powie-

dział Profesor. — Jakie to wycinki prasowe mu dałem i jakie książki. Ale nie wiedziałem skąd dzwoni. Czy z telefonicznej budki, czy ze swego biura w Misji, lub mieszkania, gdzie może mieć podsłuch. Więc nie pytałem. Umówiliśmy się tu u mnie na następne przedpołudnie. — Potem powiedział, że dopiero po kilku godzinach sobie przypomniał, co Osobnikowi przed jego wyjazdem dał; była to teczka z rocznicowymi wycinkami prasowymi na temat sprawy katyńskiej i dwie książki na tenże sam temat. Że tamten przyszedł następnego dnia, i to nawet wcześniej, niż był umówiony. I zanim usiadł do przygotowanej kawy i koniaku, rozejrzał się nieufnie, wpierw się upewniwszy, czy w mieszkaniu są sami, choć przecież już przedtem o to przez telefon pytał. A przyszedł tego dnia przed południem właśnie, ponieważ on, Profesor, solennie go zapewnił, że tak, że będą sami, bo sprzątaczką przychodzi co drugi dzień, więc będą sami na pewno, ale mimo to się upewnił i, jak Profesorowi się zdawało, rozejrzał nieufnie po mieszkaniu, zanim wreszcie siadł na jednej z tych jęczących kanap jego nieboszczki żony i sięgnął po kieliszek.

— Więc chyba teraz rozumiesz... Zaraz wpadło mi do głowy, że to musi coś być. Coś ważnego, co on by najchętniej zachował dla siebie na zawsze, ale tamte wycinki czy książki wyprowadziły go nagle z równowagi i on się tym, co wie, musi z kimś podzielić. W gruncie rzeczy wszyscy ze wschodu jesteśmy gadatliwi. Dlatego też nie wytrzymałem. I po jakimś czasie, udając, że szukam czegoś pośród papierów na stole, nacisnąłem guzik magnetofonu.

Następnie Profesor powiedział, że jednego nie przewidział: taśmy nie mogło starczyć na długo, połowę nagrał wcześniej dyspozycjami do wykładu, skoro zaś ją bez wiedzy tamtego puścił, trudno było zakładać nową, przstraszyłby swego gościa jeszcze bardziej. A przecież widać było, że jest jak podminowany, choć siedzieli sami i pił ten koniak, który on, Profesor, odkorkował, jak wodę, być może ażeby dodać sobie animuszu, albo zapisać wspomnienie, w którym był przecież jedną z działających osób i miał wpływ na los człowieka, o którym później opowiedział, albo nawet żeby, zwierając się, zapomnieć, zwalić to z siebie, pogrzebać na zawsze, czy też u niego, Profesora, znaleźć słowo zrozumienia. Tu następował rzeczowy komentarz Profesora nie tyle do zawartości taśmy, ile do okoliczności, w jakich wydarzenia na taśmie odnotowane miały miejsce: dane geograficzne, czas, sytuacja ogólna wydarzeniom towarzysząca, ówczesne i późniejsze zależności polityczne takich ludzi, jak Osobnik z Misji, ich różne powiązania. A choć było to jak pozbawiony uczucio-

wych elementów i klimatu tamtych lat, akademicki wykład, Dziennikarzowi zdawało się, że poczuł podmuch powietrza dalekiego kraju pośród błot nad rzeką Piną.

Ten wilgotny, dżdżysty podmuch niosący zapach gnijących roślin, schnącego w słońcu na łęgach, ułożonego w sterty torfu, nieruchomo rozlanej wody, szlamu, ryb i ptasiego kału rozpryskanego na zatopionych do połowy drzewach musnął go, przesunął się szybko raz i drugi po jego spoconym ciele, jak udręczone westchnienie stamtąd, nawołujące, domagające się czegoś, wciągające w ciemność tamtego lasu, wszystkich lasów, które nie chciały trzymać się swych korzeni, ale jak gdyby od nich oddzielone, wędrowały, szły naprzód, wdzierały się w teraźniejszość wraz z widmami, które przeżyły i widmami z pozostałego w ziemi po kiedyś żywych prochu. Lecz Dziennikarz nie powiedział nic, nie przyznał, że go ta historia w tej chwili właśnie nagle poruszyła, niczego nie skomentował; spojrzął na zegarek, było już późno, spieszył się, i Profesor, zauważywszy to, powiedział, że dalsze dzieje człowieka, o którym ów Osobnik z Misji Wojskowej mu opowiedział, zrelacjonuje przy innej okazji. Twarz miał posepną, jakby nieco zawiedzioną. Dodał jeszcze, że już i tak nie będą miały one wpływu (te dzieje) na to, czy rzeczywiście trafili na ślad katyński, czy inny, podobny, co zapewne nigdy nie da się ustalić, że stanowią one, jego zdaniem, jedynie zamknięcie pojedynczego ludzkiego losu, ta cała zaś historia, nawet jeśli by udało się ją zrekonstruować, pewnie nie przyda się na nic, w każdym razie w sensie naukowym. I Dziennikarz znowu nie powiedział na to nic.

Zaraz potem musiał się pożegnać. Pojechał na lotnisko w Tegel, skąd odleciał godzinę później samolotem do Genewy, bo był korespondentem berlińskim jednej z tamtejszych gazet i w myśl umowy raz w miesiącu tydzień przynajmniej przepracowywał w centrali. Dopiero wysiadając w Genewie, szukając po kieszeniach marynarki paszportu, spostrzegł, że kasety z nagraniem Profesorowi nie oddał, że ma ją przy sobie i wtedy pomyślał, że przyjaciel celowo się o nią nie upomniał.

Więc w czasie pierwszych dni pobytu w Genewie, pełnych męczącego użerania się o linię swych korespondencji na temat wschodniego bloku z wydawcą, wciąż nie pozbywającym się złudzeń z okresu *détente*, taśma Profesora, jej urwane w połowie albo nawet wcześniej nagranie, uparcie towarzyszyło jego wieczorom.

Kiedy w piątek wrócił wcześniej z redakcji do hotelowego pokoju, nie był zmęczony, ale położył się na łóżku, wypalił mnós-

two papierosów i rozmyślał o samotności człowieka pochodzącego z tamtej strony „kurtyny”. Że wyobraźnia ludzi stąd, zwłaszcza młodych, nie potrafi poza nią przeniknąć. Wszystko odmierza własną miarą, deformuje, albo się po prostu cofa tchórzliwie. Z ulicy przez otwarte okna nienatrzętnie docierał przytłumiony gwar, miasto pustoszało po południu. Cały świat wokoło po zapobiegliwym, pracowitym tygodniu, zabierał się z westchnieniem ulgi do przeżuwania. Wiedział, że to oczywiste, normalne, czuł jednak jakąś pretensję i gorycz. Jestem rozdrażniony, myślał. Powinienem pozbyć się tej naszej polskiej „nadświadomości”, która czyni z nas ludzi niezdolnych dla innych nacji, myślał. Przez okno widział niezwykle wysokie, ostroniebieskie niebo, pokryte tu i ówdzie rozpraszającą się prędko, to znowu formującą się mgiełką *föhn*’u i bliskie, jakby na wyciągnięcie ręki góry w czapach śniegu, zaprzeczające prawom fizycznym odległości i temperatury, które oddychały ku miastu dusznym tchnieniem upału; przegrzane powietrze tylko niekiedy łagodził leniwy podmuch wiatru od jeziora, wprawdzie wyczuwalny, ledwo jednak zdolny poruszyć firany. Jestem rozdrażniony, może to ta pogoda, myślał.

Leżał tak długo, aż się ściemniło, nie zapalał lampy. W świetle lampy ów aseptyczny, pozbawiony cech indywidualnych pokój hotelowy wydawałby mu się jeszcze bardziej obcy. Myślał, że pewnie kiedyś za mało uczynił, żeby swą samotność przełamać, albo że może nie umiał, w każdym razie вина była po jego stronie. To pewnie oni są normalni, nie ja, nie my. Ramię podłożone pod głowę ścierpło i przez chwilę, mimo że się tego najmniej spodziewał teraz, nie była to już jego własna głowa, lecz głowa Lisabeth; poczuł nawet zapach jej włosów. Potem w całym sobie zwielokrotniony głód tego zapachu i na krótko mu się poddał. Ale zaraz ze złością zerwał się z łóżka, włożył buty i wyjął z szafy marynarkę. Szukając po kieszeniach jakiejś zapomnianej paczki z papierosami natrafił na kasetę z taśmą Profesora, wyciągnął ją i rzucił na stół.

Postanowił zejść do hallu, żeby przynieść sobie papierosy z automatu, ale kiedy zszedł na dół, to znalazł się nagle (jakby bez udziału własnej woli) na ulicy, a kiedy już znalazł się na ulicy, zagłębił się w zaułki starego miasta i znowu bez jakiegokolwiek udziału w tym woli, zaszedł wkrótce w poblizsze swego dawnego mieszkanka. Zapytywał sam siebie, jeszcze z tamtą złością, co go w to miejsce ściągnęło, zwłaszcza, że nie zabrał ze sobą kluczy, ale jakaś usługna, choć niezbyt szczerza myśl podsunęła odpowiedź prawdopodobną: potrzebny był mu magnetofon; miał wprawdzie magnetofon w redakcji, lecz do redakcji teraz, późnym

wieczorem, nie miał zamiaru chodzić. Po namyśle wszedł więc do kamienicy, dodzwonił się do konsjerżera, poprosił o zapasowe klucze, pojechał windą, choć mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, otworzył drzwi i nawet ich za sobą nie zamknął, ażeby tylko było szybciej. Od pół roku, jak Lisabeth wyprowadziła się, zabierając większość mebli, nie zajrzał do mieszkania, zawsze obiecując sobie, że zleci jakiejś firmie spakowanie reszty rzeczy i nigdy, jak mu się zdawało, nie znajdował na to czasu; może jednak pośród tych rzeczy nie było nic, co uważałby za potrzebne. Teraz nie wszedł nawet do żadnego z wpół opustoszałych pokoi, ale od razu pomiędzy książkami na półkach w korytarzu wyszukał podniszczone ebonitowe pudełko i wsadzając je do kieszeni, poczuł przeciąg, w przeciągu zaś jakiś zetlały już prawie zupełnie, ulatujący zapach soli kąpielowych, a może szamponu, ciągnący z łazienki, i zarazem ostry ból, który go przeszył wraz z tym zapachem; ból upokarzający. Drzwi od klatki schodowej zatrzasnęły się z hukiem, odwrócił się przestraszony, dopiero wtedy oświadczył sobie, że to przeciąg. Ból minął, kiedy otrzeźwiał i zawrócił do drzwi.

W hotelu znowu położył się na łóżku i żeby się pozbyć myśli, których nie mógł pozbyć się w drodze przez miasto, położył magnetofon na stoliku obok, wcisnął weń kasetę i nastawił. Miał wrażenie, że to mu pomaga. Po jakimś czasie doszedł do przekonania, że istotnie pomogło. Słuchał taśmy do późna, wyłączając i znowu włączając, aż mrok, mimo odbijającego się w suficie odblasku latarni ulicznych, zgęstniał, jednocześnie zmiekkł, wchłaniając chciwie wilgoć ciągnącą od jeziora, a miasto pogrążyło się w ciszy, tak że szum fontanny na jeziorze stał się wyraźny. Potem, nie rozbierając się, zasnął. Na drugi dzień również przesłuchał taśmę kilka razy; był *weekend*, nie miał nic pilnego do zrobienia. A potem znał ją na pamięć i (chciał, czy nie chciał) musiał myśleć o całej sprawie wiele. I powoli z tej coraz bardziej pijanej, prostackiej gadaniny wyłaniać się zaczęła mozolnie druga jak gdyby warstwa Osobnika z Misji, z poszczególnych zaś zdań, z wymownie zapadających chwil ciszy, w których taśma utrwaliła posapywanie i astmatyczny oddech Profesora, wyłaniała się również atmosfera tamtych wydarzeń, teren na jakim się rozegrały, także inni ludzie, pozostali ich aktorzy, przede wszystkim zaś ten człowiek oszalały, który się do nich, tych czerwonych partyzantów, któregoś dnia wtedy przybłąkał.

Już dwa lata wcześniej, zanim oni się tam pojawili, Dziennikarz przemierzał tamtejsze lasy i błota, od chwili, kiedy jeszcze pod koniec zimy czterdziestego roku ze wzgórze, ukryty w osypa-

nych śniegiem zaroślach, musiał patrzeć na zagładę swej wsi wysiedlanej przez NKWD, więc wyobraźnia rekonstruowała sprawnie; były to czasy jego młodości, a nigdy przecież nie odłączył się skutecznie od swych stron.

To mogło być jesienią czterdziestego pierwszego roku, zaraz w pierwszych miesiącach, jak Niemcy poszli na wschód. Ale najprawdopodobniej później, na wiosnę czterdziestego drugiego, kiedy Niemcy zaszli już tak daleko, że teren ów stał się odległym zapleczem frontu. Jakieś luźne watahy sowieckich żołnierzy, którzy uniknęli zagarnięcia przez Niemców do niewoli tułały się od kilku miesięcy po lasach; dołączali do nich partyjni funkcjonariusze, którym nie udało się ewakuować w chwili wybuchu nowej wojny, zbiegli przed zemstą chłopów urzędnicy kołchozowi i milicjanci. Ale dopiero pod koniec zimy, czy też właśnie wiosną następnego roku, sformował się tam z tej zbieraniny zwarty oddział, który nawiązał ze swoimi powietrzną łączność i zaczął otrzymywać lotnicze zrzućty. Pamiętał ich z kilku nagłych przypadkowych zetknięć z oddziałem akowskim, do którego sam wtedy należał, często kończących się krótkim wzajemnym ostrzelaniem. Przypominał sobie, jak odskakiwali prędko i uchodzili głębiej w lasy; nie mieli poparcia ani poleszuckich, ani polskich wiosek, których mieszkańcy mściwie zapamiętali dwa minione lata srozenia się sowieckiej władzy.

Więc mógł sobie teraz łatwo wyobrazić to zdumienie, ten przestach graniczący z bezsilną wściekłością, kiedy tamtego dżdżystego, zimnego ranka w środku ich leśnej kwatery, obstawionej gęsto strażami, ubezpieczonej naturalną, trudną do przebycia topielą, rozlewiskami rzeki i zarośniętymi szuwarem młakami, wychylił się zza kępy drzew bezszelestnie, jak dzikie zwierzę, obcy mężczyzna. Kiedy zbliżając się do rozpalonego ogniska, tracił z każdym krokiem tę charakterystyczną, czujną, zaczajoną, pochyloną i skradającą się postawę, która nie mniej ich zaskoczyła, niż jego nagłe pojawienie się, i prostował się z każdym krokiem następnym, i już, stanąwszy przy ognisku wyprostowany, że od razu rozpoznali jeszcze niedawnego żołnierza, rozejrzał się wzrokiem, w którym było coś, co wzbudzało szacunek, nawet posłuch, a nawet jakąś grozę też. Potem powiedział po polsku: „Od dawna nie piłem nic gorącego...”, bez pozdrowienia, bez jakiegokolwiek innego wstępu, a jego głos był zimny, zimny i obojętny, bezosobowy, jakby martwy. I nawet nie poczekał aż mu tej zbożówki, którą właśnie gotowali w imbryku, podadzą, ale kucnął przy ognisku, jakby to było jego oginsko i na trójnogu nad nim wisił nie ich, ale jego imbryk, i wziął jedną z leżą-

cych tam blaszanek, przechylił imbryk, nie zdejmując go z trójnogu nalał sobie tej zbożówki i zaczął pić drobnymi, ostrożnymi łykami, odchylając szeroko wargi, żeby się nie sparzyć.

Jego płaszcz był łachmanem zimowego płaszcza wojskowego, ale spodnie, także jeden łachman, wystające spod płaszcza, były cywilne, i buty na nogach miał cywilne i czapkę na głowie również. Jednakże było w nim coś, czego te łachmany cywilne nie potrafiły w żaden sposób ukryć, co zdradzało profesję, tak że każdy z nich, tych czerwonych partyzantów, przypatrujących mu się w milczeniu i wciąż jeszcze zaskoczonych, już wtedy myślał, że to musi być wojskowy zawodowy, a niektórzy nawet, że może oficer, a wszyscy, jak jeden, pomyśleli, że on jest najprawdopodobniej szalony. „On jest szalony”, tak właśnie pomyśleli wszyscy, którzy tam pod tymi drzewami siedzieli lub stali, jakby ich myśli zdołały się ze sobą błyskawicznie porozumieć: „On jest szalony”. A nawet jeszcze wcześniej. Zanim kucnął przy ognisku, zanim powiedział po polsku to jedno urwane zdanie, zanim nawet, nie pytając o pozwolenie, sięgnął po blaszankę. Już wtedy, kiedy znieruchomieli nie na szmer, na odgłos jego kroków, ale na jego widok, kiedy w ich krąg wszedł, jakby pojawił się z powietrza, z deszczu, z mgły, albo wprost w ich środek zeskończył z jednego z okolicznych drzew, w każdym razie pojawił się nie normalną drogą, bo idąc normalną drogą, musiałby się kilkakrotnie przynajmniej nadziać na strażę i żywy by pewnie nie przeszedł. „On jest szalony”, myśleli już później bez owego zastrzeżenia że „najprawdopodobniej”, patrząc, jak ostrożnie, żeby nie poparzyć warg, odchyła je, ukazując białe, ostre zęby, niby u dzikiego, leśnego zwierzęcia. A jego oczy były w tym czasie przymknięte, obserwowały ich jednak z czujną, odpychającą, trzymającą na odległość siłą, też niby oczy zwierzęcia doświadczonego w walce o życie i byt, które (gdyby chcieli się na nie rzucić i je pojmać) będzie się zaciekle broniło i wcale nie jest z góry przesądzone, czy oni, mimo liczebnej przewagi, zwyciężyliby; można je było jedynie zastrzelić. Choć nie był wysoki, nawet średniego wzrostu, i wydawał się chudy jak szczapa, lecz było w nim coś, co nakazywało mieć się na baczności. Więc kiedy z ранnego obchodu straży wystawionych wokół ich kwatery wśród bagien odruchowo dowodzący nimi major i stanął zdumiony, sięgając odruchowo po wiszącą na pasku na plecach karabin, odprowadzili go na stronę i szeptali coś długo, aż major aczkolwiek nieufnie, przystał na ich propozycje, czy prośby.

Od tego dnia zaczął chodzić z nimi. Bo oddział rzadko dłużej trzymał się jednego miejsca. Miał na karku nie tylko czyszczące

wciąż teren formacje niemieckiej żandarmerii, hilfspolicji i Wehrmachtu (choć głównym jego zadaniem było wtedy montowanie organizacyjnych siatek raczej i zakładanie baz przyszłej działalności, niż walka, na to był za słaby), ale i AK starała się go, jeżeli nie pozbyć, to w każdym razie zneutralizować. Lecz mówienie, że zaczął z nimi chodzić nie wyrażało właściwie rzeczywistego stanu rzeczy. Gdyby powiedzieć, że chodził przy nich, byłoby to już nieco bliższe prawdy. Bo raz z nimi był, raz znowu zniknął na długie dni i potem dołączał do nich w zupełnie innym miejscu. I zawsze w sposób tak samo nagły, nieoczekiwany, mimo czujek i straży, przez które przemykał się sobie tylko znanymi sposobami bezszelestnie, niewidoczny, jak zjawą. A później, znowu po kilku dniach, czasem zaś już po kilku godzinach, zniknął. I tak, że niewielu albo w ogóle nikt nie wiedział dokładnie, kiedy i jak, bo jeszcze był, wszyscy go widzieli, jadł z nimi, spał wśród nich, uczestniczył w ich potyczkach, w każdym razie na tyle, na ile uczestniczyć mógł nie mając broni, na tyle, na ile potrzebowali i chcieli jego pomocy, lub przemierzał z nimi dziesiątki kilometrów wśród lasów i bagien zarosniętych trzcina i szuwarem, kiedy w pośpiechu, nieraz pod ogniem zmieniać musieli kwatery i teren operacji, a nagle już go nie było. I prócz majora, u którego wywoływał hamowane tylko zniecierpliwienie, politruka, który patrzył nań podejrzliwie, prócz niektórych nie-Polaków, którzy traktowali go niezbyt przyjaźnie, przez resztę był w jakiś tam sposób tolerowany; szeregową większość oddziału stanowili ludzie prości, więc w ich stosunek przymusowej jak gdyby tolerancji jego obecności wmieszał się wkrótce element zabobonnego podziwu, a może lęku przed jego szaleństwem. Bo o jego szaleństwie świadczyły nie tyle nawet postępowanie, znikanie nagłe i nagle pojawianie się, to chodzenie własnymi, niezrozumiałymi dla innych drogami, nawet nie jego nieuczulość na niebezpieczeństwo, nie będąca u niego chyba wcale odwagą, lecz nieświadomością istnienia tego niebezpieczeństwa, graniczącą ze ślepotą na nie i głuchotą, ile raczej niepojęty cel przyświecający jego wędrowkom, który powoli wyłonił się z krótkich odezwań, monologów, z rozmów, a który zdawał się dominować jego wyobraźnię, myśli, wolę, przyświecać jego szalonemu postępowaniu, w ogóle chyba życiu. Bo on szukał mogił swoich towarzyszy, jak im wkrótce wyznał, którzy zostali gdzieś zastrzeleni, niektórzy zaś niedobici i żywcem pogrzebani. Miał nadzieję, że mogiły odnajdą i, jakby zupełnie zatracił poczucie nie tylko rzeczywistości, ale i czasu, także nadzieję, że kiedy je, te mogiły, rozkopie, któregoś z nich zdoła jeszcze uratować. Więc w ten

sposób tylko potwierdzał pierwsze wrażenie, jakie wywarł na nich wtedy, tego zimnego dżdżystego dnia rano, kiedy, jak gdyby zniknął, pojawił się przy ich ognisku.

Ale potem należący do tego wymieszanego narodowościowo oddziału Polacy (a trzymał się ich bliżej, co było zrozumiałe) zaczęli się jego szalonym opowieściom, przywołującym różne posępne wizje, przysłuchiwać uważniej. Nie żeby nie bez pewnego zniecierpliwienia zrazu, nawet niejakiego lekceważenia, którego mu wprawdzie nie okazywali, nie był przecież człowiekiem, któremu lekceważenie można było okazać otwarcie, zresztą jeżeli nie powstrzymywał ich szacunek, jaki bezwiednie wobec siebie wymuszał, to ów podświadomy lęk wraz ze współczuciem, z przeczcuciem (a nawet pewnością) strasznych przeżyć, które jego umysłu nie zniszczyły do końca, ale jednak poważnie zmąciły. Lecz później przysłuchiwali mu się uważniej już ze zmieszaniem, niepewnością, poczuciem niejasności, podejrzliwością, uczuciami jak gdyby nieczystego sumienia, niejasnej współwiny, a w końcu rdzającej się swolna grozy. Bo te jego z nagłą wybuchające opowieści, mówione z błyskiem obłędu i bólu w oczach, nie były wcale takie szalone, jak się z początku im wydawały, odwrotnie, łączone strzęp po strzępie w jedną, ciągłą całość, coraz bardziej tworzyć zaczęły złowrogą historię wprawdzie wciąż jeszcze mglistą, lecz zupełnie logiczną, prawdopodobną, w każdym razie nie sprawiaczą wrażenia wymyślonej.

Ta historia za początek zawsze miała długą jazdę w zamkniętym wagonie, w mroku rozjaśnianym zaledwie kilkoma paskami szarego światła, przedostającego się za dnia z zewnątrz przez szpary, w siekącym gwałtownie o ściany wagonu deszczu, którego zagłuszyć nie potrafił żelazny łoskot kół o szyny ani chrobot osi i podwozi, w lejących się przez nieszczelny dach na głowy strugach wody. Wagonu nikt nie otwierał, nawet na krótkich postojach, a on i jego towarzysze (on raczej używał formy nieokreślonej — „my”), siedzieli lub leżeli stłoczeni na umocowanych wzdłuż wagonu do przeciwnych ścian dwóch rzędach kilkupiętrowych prycz, bez jedzenia i bez zdanej do picia wody przez wiele dni i nocy. I była tam w tej historii udręka głodu i udręka pragnienia zaspokajanego cuchnącą smołą deszczówką, udręka zimna, trzęsących się na pryzkach, stłoczonych ciał, smród uryny, kału i potu. I dręczące zdumienie, rosnąca niepewność losu i lęk.

Poza ten początek jego zmacony umysł nie sięgał, choć nieraz pytali, siedząc przy ogniu i, miast lury zbożowej, w blaszanych kubkach krążących od ust do ust, pili zarekwirowaną chłopom

gorzałkę; jego pamięć jak gdyby nie potrafiła się cofnąć, wydawała się bezsilna, bezradna, w jego oczach zaś było straszliwe napięcie: garbata grdyka chodziła w górę i w dół, gdy przełykał żrący, źle oddestylowany, żółtawy płyn, ale alkohol nie pomagał i nie pomagały dodatkowe pytania, ani ponaglanie. Zresztą nawet tenże sam ostro zarysowany w jego pamięci początek też nie tworzył jakiegos kompletnego, całościowego obrazu. Bo trudno było wydusić z niego, kim byli owi „my”. Oczywiście, towarzysze, najprawdopodobniej, jak on sam, żołnierze, może oficerowie, jeżeli był oficerem, jak przypuszczali niejedni z nich w oddziale; przyciskany pytaniami mówił jedynie „my” albo „nasi”, ale widziało się, że naprawdę nie pamięta i wysiłek przypominania sobie tego, czego chcieli się od niego dowiedzieć, sam przymusowy proces pamięci mającej zawrócić wstecz, sprawiał mu nieopisany, dodatkowy ból i jeszcze bardziej jak gdyby mącił jego umysł. Bo wszystko to, co było przedtem, a zresztą także i wiele z tego, co było potem, przesłaniały wydarzenia nocy, kiedy ten wagon (a nie był to jeden wagon, lecz bez wątpienia cały zestaw wagonów, choć on mówił z uporem o jednym, w którym właśnie się znalazł) zatrzymał się na jakiejś stacji.

Po jednej stronie torów za stacją, to spamiętał dobrze, ciągnęły się łąki, a może pola, w ciemności niezbyt widoczne, ale na ich skraju stały równo ułożone sterty podkładów kolejowych, które były widoczne wyraźnie (zresztą nawet gdyby nie były, rozpoznałyby je po silnej woni kreozotu, jaką wydzielają), a dalej, za nimi, piętrzyły się sęgi czegoś, co przypominało ścięte świeżo w lesie i okorowane bale drewna. Po drugiej stronie torów rzeczywiście ciągnął się las i był czarny, czarniejszy niż niebo nad nim, i otoczył ich od razu swym jednostajnym szumem i jodłowym zapachem. Stacja zaś była zupełnie maleńka, ledwo przystanek dla drwali i na załadunek tego ułożonego w sęgi drewna, a pociąg stał tam już w wilgotnej, zimnej ciemności dość długo, zanim otworzono ich wagon, i reflektor, umieszczony na trójnogu słupów przed stacją, oświetlił dokładnie ten tylko jeden wagon, jakby kierowany nań niewidzialną ręką, inne pozostawiając niewidoczne.

Tę scenę opowiadał wielokrotnie i nie brakło tam wielu detali, podobnie jak przedtem w opisie okolicy stacji. Scenę zaczynającą się od zgrzytu rozsuwanych drzwi wagonu. Widok uzbrojonych mężczyzn na placu przed stojącym na szynach pociągiem pełnił w niej rolę dominującą. W jego pamięci, jak w tej ciemności, ich twarze były jednak słabo widoczne, nieruchome, jakby zatarte przez deszcz, ale na pewno mieli bagnetny zatknięte

na karabinach, a ich szeregi zacieśniły się przed wagonem, kiedy tylko drzwi zostały rozsunięte. I że wszystko, co się wtedy odbywało, mówił, odbywało się niezwykle cicho, niemal w milczeniu, kiedy oni, jeden po drugim, zeskakiwali z wagonu w dół na wysypianą grubym żwirem ziemię i byli przez tamtych od razu jak gdyby między siebie zagarniani. Nikt też nie sprawdzał żadnych list stanu osobowego, nie wywoływał nikogo po nazwisku, lecz natychmiast rozdzielano ich na grupy po dziesięciu, ustawiano do marszu, i to również w zupełnym niemal milczeniu. A potem zaraz była droga w stronę lasu, a jeszcze potem przez las.

Tę drogę zapamiętał jeszcze lepiej. Mokry piasek przesypany tu i ówdzie cienką warstwą igliwia, szeleszczący, chrupiący pod szybko rozmiękającymi podeszwami butów, i siekący w twarz deszcz i wiatr, który przewiewał ich do szpiku kości, szumiące drzewa po obu stronach drogi, a może tylko leśnej przesieki i ciemność, w której gdzieś w głębi, kiedy uszli z kilometr, a może dwa, posłyszeli warkot motorów ciężarówek, albo traktorów i przez mgłę, przez ten deszcz, dostrzegli przebłykujące z dala światła. Ale nie umiał powiedzieć nic o prowadzących ich strażnikach prócz tego, że mieli długie karabiny, a na nich były nasadzone bagnety, co ich zrazu, słuchających, dziwiło, gdyż przyjęli że jest wojskowym, pewnie nawet oficerem i nie mogli pojąć, że pamięć wojskowego nie utrwaliła tak oczywistego zdawałoby się detalu, jak typ broni, ale jednak nie utrwaliła, jedynie to, że karabiny były długie, tak samo jak nie utrwaliła, jakie mundury nosili strażnicy, ani jakim językiem się posługiwali i na nich krzyczeli, bo potem krzyczeli, mówił, a jeszcze potem poganiali ich kolbami i kłuli tymi bagnetami na karabinach, zmuszając do biegu.

Zapamiętał bieg coraz pędniejszy, coraz bardziej zadyszany, tak że niektórzy z nich padali i że padających podrywano do nowego biegu brutalnie kolbami, inni zaś się opierali, i tych, co się opierali, bito i krępowano linkami, ściągając do tyłu ręce. Może jednak nie było to w czasie ich biegu nawet, lecz już wtedy, kiedy dobiegli i zostali zatrzymani, a stało to się na jakiejś polanie, w każdym razie szerszej, gołej przestrzeni wśród lasu. Bo pamiętał dobrze, że był to las wysokich sosen i rozłożystych świerków, i że gdzieś niedaleko przez ich ciemną, gęstą, zieloną ścianę, czarną właściwie w nocnej ciemności, przebłykiwała jasna kora pni cienkich brzołek. Choć jeżeli nie była to już droga wśród lasu, ale to szersze, otwarte miejsce, do którego ich dognano, polana być może, albo przestrzeń wyrębana z drzew, to ciemność rozjaśniały reflektory stojących na skraju dwóch ciężarówek, albo

traktorów, nie rozpoznał dokładnie, a może rozpoznał, lecz nie zapamiętał, bo wtedy wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością. Wpędzono ich w dwuszereg stojących tam mężczyzn i gnano przez ten dwuszereg, a oni, ci stojący po obu stronach mężczyźni, chwytali każdego z nich pod ramiona, wlekli siłą do przodu i skądś zaraz z tyłu padał strzał.

I on (wtedy, gdy siedzieli przy ognisku powtarzał to uparcie wielokrotnie) dopiero wtedy zaczął się wyrwać. Bo przedtem dał się im pędzić przez las i przez polanę, i nawet przez ten dwuszereg czekających tam mężczyzn też. Ale wtedy zaczął się wyrwać i oni wykręcili mu do tyłu ręce, i próbowali owiazać je drutem, a wtedy stracił nagle wszystkie siły i padł twarzą na ziemię, oni zaś nie krępowali mu już rąk drutem dalej, i ten strzał od tyłu padł, kiedy leżał, więc został doń oddany nieco z góry i pewnie dlatego był niecelny. Poczł wtedy gorące, osmalające jak ogień uderzenie kuli w głowę, lecz to nie mogło być uderzenie kuli, która by poszła w głąb, musiała mu osmalić po wierzchu włosy tylko, rozerwać skórę i ześliznęła się po kości, bo dalej był przytomny, choć ogłuszony, cały jak sparalizowany i zalany już krwią. Wszystko jednak odbywało się tak błyskawicznie, że żaden z tych mężczyzn nad nim się nie nachylił, żeby sprawdzić i go dostrzelić. Zresztą przez dwuszereg gnano już następne ofiary. Więc zaraz któryś z nich popchnął jego ciało nogą i ono stoczyło się do dołu w pobliżu, w dole tym zaś leżały jedno na drugim inne ciała zalane ciepłą jeszcze krwią i niektóre z nich jeszcze się ruszały.

A potem mówił, że może na chwilę stracił przytomność. Bo gdy ją odzyskał, wydawało mu się, że światło reflektorów od stojących tam w głębi traktorów, albo ciężarówek, choć niezupełnie zgasło, to jednak przygasało i mieszało się powoli z jakąś sinoszarą poświatą, jakby przebrzaskującego nieba. Motory również były wyłączone. A strzałów nie było słychać w ogóle żadnych, tylko gdzieś niedaleko ludzkie głosy. Słyszał też wyraźnie, że ktoś szedł w pobliżu, potem szurgot ciągniętego po ziemi żelaza i potem znowu głosy. Ale nie były to głosy grozy, ani rozpacz, ani głosy trwogi, ani wściekłości, nawet nie głosy bólu. Były to głosy zupełnie inne i może dlatego zastanawiające. Tyle, że on w tamtej chwili nie przywiązywał do nich żadnej wagi. Wciąż był jeszcze ogłuszony, oszołomiony i jego zalana krwią głowa oparta na czymś zabłoconym bucie, w którym wyczuwał nieruchomą stopę, wydawała mu się czymś absolutnie obcym, wypróżnionym z wszystkiego, co tam w środku winno być; usunął te głosy ze swej świadomości, nie słuchał ich wcale, bo całą jego

uwagę pochłoneły ciała, które zapełniały dół, wśród których leżał, niektórymi nawet przygnieciony i rozpaczliwa myśl, że zaraz będzie wraz z nimi zasypany.

Więc wpieryw wydzwignął się na wierzch i czołgał się po tych ciałach, i czuł, że jedne z nich były nieruchome zupełnie, inne zaś takie, jak gdyby tliła się jeszcze w nich jakaś iskierka życia. I choć był wciąż ogłuszony i oszołomiony, jego rozpaczliwy lęk, że zostanie zasypany, rósł. A potem natrafił na pionową ścianę z ziemi i spróbował się wyciągnąć na górę, co mu się po jakimś czasie udało. I wtedy zobaczył tamtych mężczyzn znowu. Stali w gromadzie, ale nie w pobliżu, tylko przy tych ciężarówkach, czy traktorach, w ich przygasłym, choć nie wyłączonym świetle, w którego długich smugach kłębił się srebrny deszcz. I zobaczył również, że butelki z wódką (bo na pewno były to butelki z wódką, mówił), krążyły z rąk do rąk, z ust do ust. Dalej jednak nie przywiązywał do ich obecności żadnej wagi, nawet nie patrzył więcej w tamtą stronę, ale wyciągał się coraz wyżej, aż się prze-walił przez zwał świeżej ziemi pochodzącej zapewne z wykopu, w którym leżały jedno na drugim ciała jego towarzyszy, a później wreszcie udało mu się przeczołgać kilka metrów dalej w błocie, w kałużach, w skopanym, zdeptanym, zrytym mchu i zgniłych liściach, zanim powtórnie utracił przytomność. Tylko że tym razem musiało to trwać nie tak długo jak przedtem. Bo kiedy ją znowu odzyskał, kilku z mężczyzn tam przy ciężarówkach czy traktorach piło jeszcze, i minęło sporo czasu, zanim zaczęli zabierać porzucone na ziemi łopaty i się zbliżać. Wtedy on znowu czołgał się metr po metrze, dobywając z siebie resztki sił, aż odczołgał się na tyle, że ciemność okryła go zupełnie i jakieś niskie, jakby w świeżej, niedawno poruszonej ziemi posadzone świerczki.

Potem mówił im, że siedział na drzewie. Czuł między ścierniętymi udami niegrube widły konarów, ciepłe od jego uścisku, pod stopami sękaty pień, w który wpierały się jego buty, choć nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy i jak się na to drzewo wdrapał. Ale siedział na niewysokim drzewie, mówił, wśród gestych, oślizłych gałęzi; musiał to być rozrośnięty szeroko świerk albo jodła, bo deszcz ściekał mu na twarz z igliwia i było już prawie jasno, tylko że ciągnąca nisko biaława mgła utrudniała widoczność. Lecz mimo to widział, że oni tam w odległości kilkudziesięciu metrów od niego metrów byli i kończyli właśnie zasypywanie napełnionego ciałami wykopu, z którego on się był w nocy jakimś cudem żywy wyczołgał.

A potem te różne obrazy w jego opowieści nabierały zmiennego

rytmu; niektóre były gwałtowne, szybkie, inne zatrzymane w miejscu, statyczne niemal. Niektóre zdawały się utrwalone w pamięci z perspektywy wciąż tego samego drzewa, na którym wówczas siedział, choć już nastał dzień, i to miejsce wśród lasu raz było dlań polaną, innym razem gołoborzem ze sterczącymi z ziemi odziomkami pieńków, raz maszerował ścieżką po środku oddziału mężczyzn z karabinami zakończonymi bagnietem, innym razem chodził tam tylko jakiś pojedynczy strażnik, jeszcze zaś innym razem traktor (a wówczas był to traktor na pewno), ciągnący za sobą walec, zrównywał ziemię. Natomiast w innych obrazach rysowała się długa droga przez las, a nawet wiele lasów, bo nie mogły to być wciąż te same lasy, gdyż kierując się różnymi znakami, przede wszystkim zaś słońcem, szedł na zachód. Wciąż jeszcze jednak towarzyszył mu deszcz i było zimno, i było głodno, i raz on sam występował w tych obrazach jako tropiony i przez kogoś ścigany, innym razem on tropił i ścigał kogoś.

Ale później wszystko ostatecznie mu się zmąciło, pomieszało, pozamazywało. Wprawdzie nie padał już ustawnie deszcz, nie było też zimno, pozostał jednak głód zaspokajany z trudem różnymi korzeniami, dzikimi roślinami, owocami leśnymi, poszukiwanie żywności nocami na bezgranicznych polach bez miedz, noclegi w chaszczach leśnych, albo trzcinach nadrzecznych, bardzo rzadkie spotkania z ludźmi, zawsze nieprzyjazne, zawsze łączące się z pogonią, ucieczką, przede wszystkim zaś głód, trawiąca go gorączka, umykająca gdzieś świadomość rzeczywistości, tak że zasypiał w jednym miejscu, a budził się w zupełnie innym; wszystko pomieszane, zamazane, dnie z nocami, pory roku, teren, na którym się poruszał też. Znacznie później dopiero w jego opowieści, a raczej w wielu opowieściach, gdyż to oni, słuchający, składali je strzęp po strzępie w jedną całość, znowu zaczęli pojawiać się ludzie. Lecz byli to zupełnie inni ludzie, już bez tej poprzedniej towarzyszącej im zawsze otoczki grozy, gwałtu, walki; ludzie, którzy jeżeli nawet nie byli przyjaźni, to nie byli też wrody, którzy nieraz dawali mu jeść albo coś do ubrania, przemocowali, opatrywali rany i kazali znikać jak najprędzej, wskazując drogę, jaką ma iść. Więc może były to już zupełnie inne niż poprzednio strony, w każdym razie od tamtego czasu musiało minąć wiele czasu, bo w tych strzępach jego opowieści, które oni przy ognisku składali razem, były i słoty, i upały, ale również mrozy i śniegi, nawet krótki, straszliwy ogień artyleryjski, który wypalił ziemię jak płonącym deszczem, szum czołgów pędzących drogami w tumanach nagrzanego upałem kurzu, wybuchająca i zamierająca palba broni maszynowej na skrajach ludzkich osiedli,

pożary na horyzoncie upodabniające noce do dni, ciężki warkot ciągnących wysoko samolotów, a potem wielka, osłupiająca, dudniąca w uszach cisza po lasach i polach.

Ale jego opowieści zawsze w jakiejś chwili się urywały i powracały znowu uporczywie tam, do tego ciemnego lasu, tego wolnego od drzew miejsca oświetlonego jedynie reflektorami ciężarówek czy też traktorów, czterema reflektorami drażącymi w ciemności cztery rozszerzające się w miarę oddalania tunele, w których kłębił się i sypał jak szklane paciorki na ziemię deszcz; do tamtej chwili kiedy dognany do końca dwuszeregu uzbrojonych mężczyzn zaczął się opierać, kiedy wykręcono mu do tyłu ręce i, tracąc nagle siły, padł twarzą na rozdeptaną butami w rzadką paczkę ziemię. Do tej piekającej, palącej smugi, którą poczuł jak błyskawicznie prześliznęła się po kości czaszki, zanim zaraz, kopnięty nogą jednego ze stojących nad nim mężczyzn, zwałił się w głąb pobliskiego dołu. Do tego ciepłego, lepkiego dotyku ciała tam leżących, jednych nieruchomych, innych jeszcze się poruszających, i ciepłej krwi swojej albo ich, raczej ich, bo czuł ją pod dłońmi, gdy się czołgał do starannie ściętej ściany dołu, do której się był później doczołgał. A także wracały do widoku, który uchwyciły jego oczy w soczewki źrenic po jakimś czasie (który był zapewne czasem wyłączenia się świadomości), do widoku tych mężczyzn przedtem uzbrojonych, już bez broni, stojących w snopach przygasłego światła reflektorów i pijących wódkę. Albo następnego, po ponownym wyłączeniu się świadomości i jej odzyskaniu — jak patrzył w kierunku dołu, a może wielu dołów (tego nie pamiętał), a oni, ci obcy mężczyźni, je zasypywali i uklepywali, choć zsypywana z łopat ziemia zdawała się tam na dole ruszać i zdawało mu się też, że słyszy z głębi, spod sypiącej się ziemi, dobywające się jęki i krzyki. Ale może to był tylko krzyk jego oszalałej wyobraźni, nie byli pewni; on zresztą raz ten krzyk i jęki słyszał, innym razem już nie.

Więc oni potem nie słuchali jego opowieści z tym zrazu trudnym do sprecyzowania poczuciem zmieszania, niepewności, niejasności, nawet nie z uczuciem nieczystego sumienia, niejasnej współwiny, a nawet rodzącej się w końcu zwolna (i wreszcie w pełni zrodzonej) grozy, lecz zaczęli się go bać. I mówili głośno, otwarcie, demonstracyjnie nawet, że jest szalony, a innym razem, że nawiedzony, a Rosjanie w oddziale powtarzali za nimi chętnie, że *jurodiwyj*, któremu wszystko się pomieszało. Ale najczęściej uspokajali go i prosili, żeby już zamilkł, albo żeby sobie poszedł, co później się stało. Bo zapewne zaczęli się bać również i tego, że na ślad prowadzący do tamtych moglił, którego z takim upo-

rem szukał, mogliby trafić wraz z nim razem i musieliby wtedy sobie samym wyjaśnić zbyt wiele spraw, których woleli nie wyjaśniać.

Więc Dziennikarz, leżąc na hotelowym łóżku znowu w mroku (czuł bezszelestny oddech ciemnego, nabierającego już nocnej wilgotności powietrza; gdy taśma zatrzymała się sama), nie zapalając lampy i wsłuchując się w mrok, miał teraz wrażenie, że nie tylko słyszy w nim zdumione, grozą brzmiące głosy tych czerwonych partyzantów, pełne bezsilnego zaprzeczenia, odrzucania, oporu, rozpaczliwego gniewu również. Bo słyszał w sobie także wiele innych głosów. Były to głosy ludzi, z którymi w ciągu lat osobiście się zetknął i rozmawiał, tropiąc ślady wiodące w owe ciemne lasy przeszłości, nad którymi wprawdzie przestał już się unosić zakrzyszający, dławiący tchawicę, ściskający płuca odór rozkładających się ciał pomordowanych (ułatwił się w deszczach i śniegach, w upałach i mrozach, w mijających porach roku i czasie przemijających lat), ale które bezustannie wysyłały w przestrzeń niewidzialne sygnały pamięci, zapoczątkowane tamtymi przedśmiertnymi krzykami, tamtym bólem. I w głosach tych, tak samo jak w tamtych, tych czerwonych partyzantów, a może z większą nawet jeszcze dobitnością, słyszał podobnie odrzucającą, odpychającą niewiarę, albo udawanie niewiary. Myślał nadto o wszystkich śladach tamtej zbrodni, albo kilku identycznych, w różnych miejscach popełnionych zbrodni, na jakie natrafił w trzydziestoletniej już niemal karierze korespondenta wschodniego jednej z genewskich gazet. I wreszcie myślał o Lisabeth. Nie powinien był o niej myśleć. Wielokrotnie obiecywał sobie, że nie będzie, a nagle nie potrafił jej z myśli usunąć, bo i jej głos wmięszczał się nieoczekiwanie w słyszane teraz głosy: ironiczny, ostrzegający, że nie ma żadnych szans na wyjaśnienie prawdy...

Myślał, że ona od niego czegoś innego oczekiwała w ich wzajemnym życiu. Zresztą być może zawsze kobiety oczekują czegoś innego, niż mężczyźni mogą im dać. Czasem myślał o tym w ten właśnie sposób, przypominając sobie jej twarde, ostre, absolutnie rzeczowe, nie do odparcia w swej rzeczowości argumenty wypowiedane głosem, jakby nie była kobietą, ale mężczyzną (a pod suknią, myślał, jest jak każda inna), gdy dowodziła, że w ukryciu prawdy zainteresowane są zbyt potężne siły, aby można ją było, tę prawdę, wyjaśnić. I że jego upór, jego karierę, niegdyś świetnie się zapowiadającą, ostatecznie zahamuje, a nawet pogrzebie. Teraz myśli o Lisabeth nie były wprawdzie pozbawione dawnego gniewu i żalu, ale pierwszy raz gniew i żal głużyła gorycz. I kiedy sobie z tego zdał sprawę, z pewnym lękiem zastanowił się,

czy to gorycz kłęski, czy tylko chwila słabości, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Przed laty, kiedy kierownictwo gazety powierzyło mu opracowywanie (a nie było nikogo innego chętnego) sprawy Katynia, wydawało mu się to zupełnie zrozumiałe. Gazeta mogła tym być istotnie zainteresowana, ponieważ jeszcze w czasie wojny, jako jedna z pierwszych i nielicznych poza prasą nazistowską, informowała o działalności i ustaleniach dokonanych tam pod Smoleńskiem przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zadanie wydawało mu się wtedy poważne, dla niego nawet zaszczytne. Musiało minąć sporo czasu, zanim się zorientował, że dla gazety nie był to nigdy naprawdę temat, że w ogóle nie jest to już temat dla prasy, że w swojej pracy dziennikarskiej wkroczył na boczny, nieważny tor, na który, logicznie rzecz traktując, nigdy nie powinien był wkroczyć rasowy dziennikarz, za jakiego go uważano. I że być może tylko uczciwość dziennikarska najstarszych członków redakcyjnego zespołu nie pozwalała na odłożenie sprawy *ad acta*. A jeszcze dodatkowo sporo czasu musiało minąć, żeby pewnego dnia pojął, że nie tyle wkroczył na boczny tor, ile został na ten tor „zwekslowany” przez konkurencję w jego zawodzie szczególnie ostrą i bezwzględną, że dał się odsunąć od spraw, które czytelników gazety naprawdę obchodziły, a co gorzej, niejako mechanicznie, zgodził się przez swe zajęcia, przykleić sobie etykietkę w tym zawodzie morderczą: antykomunisty.

Tylko że nigdy nie przywiązywał do tego wagi. Wkraczając na drogę wyznaczoną przypadkową decyzją redakcji, miał własne powody, nakazujące mu na nią wkroczyć, które w decyzji redakcyjnej nie znaczyły nic, ale znaczyły wiele dla jego decyzji przyjęcia powierzonego zadania: był Polakiem, więc wierzył w potrzebę i celowość swej pracy. Ale czy jeszcze dziś z tą samą siłą wierzył? Wsłuchując się w niezliczone odgłosy napływające ku niemu z ciemności głosy ludzi, ich pytania, zapewnienia, ostrzeżenia, potwierdzenia, pomruki zadowolenia, krzyki oburzenia, wywołujące z pamięci twarze, nazwiska, wydarzenia, miejsca, wszystko to z czego składało się jego życie, znowu nie umiał znaleźć odpowiedzi. Okłamywałbym sam siebie, gdybym powiedział, że to zadanie przyniosło mi jakiś poważniejszy sukces, myślał. Tylko że wcale nie chcę się okłamywać...

Przez te lata przeprowadził wiele rozmów z oficerami, którym udało się przeżyć wymordowane obozy jenieckie, spotkał i wypytał nielicznych świadków spośród tamtejszej ludności, którzy stawali niegdyś przed szwajcarską komisją i zeznawali, a potem pewni zemsty NKWD, uciekli z cofającymi się Niemcami (zresz-

tą większość z nich później, już na wolnym Zachodzie, ginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, a on z kolei zajmował się ich zagadkową śmiercią), przeczytał grube tomy dokumentów i miał nadzieję, że kiedyś, kiedy to wszystko zgromadzi, spisze to i ogłosi drukiem, i będzie miało to jakiś choć drobny wpływ na zachowanie się wolnej opinii w innych sprawach dotyczących Wschodu. A potem spisał i ogłosił, i spostrzegł był, że nie miało to wpływu żadnego. Lecz mimo doświadczenia, że wcale nie idzie o wiarę czy niewiarę, pewność lub niepewność, jasność lub niejasność, bo niewiara była udawana, niepewność wygodna, niejasność zaś nie istniała żadna co do tożsamości oprawców, co najwyższej szczegółów techniki wykonania zbrodni; tego doświadczenia mówiącego, że po prostu świat nie chce wiedzieć, gdyż wiedza zakłócałaby mu sen, utrudniałaby trawienie, i czeka tylko, aż umykająca z latami prawda zatrze się sama w ludzkiej pamięci i przypadnie, dawał się wciąż na nowo wciągać, jak przed kilkoma dniami Profesorowi, w rozwikływanie jakiejś nowej, prowadzącej w tamtą odległą ciemność nitki śladu, jak owa relacja Osobnika z Misji Wojskowej. I jego droga biegła dalej po torze, na który wkroczył przed laty, choć nie zdawało mu się nawet, że owa nitka tamte wydarzenia wyjaśni. Najważniejsze to coś robić, myślał teraz, rezygnując z szukania odpowiedzi na dręczące go przedtem pytania. Jeżeli nawet Boga nie ma, to jest pamięć. Może ludzka pamięć jest jakimś przejawem Boga. Może nawet ona sama jest Bogiem. Trzeba coś zrobić, żeby nie wygasła...

Potem dzwignął się z łóżka i zaczął szukać na stoliku obok papierosów. Dawno powinien był już spać, porannym samolotem miał wracać do Berlina i od razu po przybyciu czekało nań wiele pracy, ale czuł, że nie zaśnie. Papierosów nie znalazł i poszedł szukać w wiszącej na poręczy krzesła przy stole marynarce. Jego bosa stopy odrywały się bezszelestnie od podłogi, nie słyszał też swego oddechu. Posłyszał go dopiero, gdy zapalił papierosa, wraz z trzaskiem zapalniczki, kiedy wydmuchiwał pierwszy dym. Nie był zdenerwowany, nie był nawet wybity ze snu rozmyślaniami o przypadku wyłowionym dla niego przez Profesora, ani rozpałmiętywaniami wątpliwej skuteczności swoich upartych starań na tym odcinku. Nie był również podniecony samym faktem odkrycia naocznego świadka, czy też ściślej: odkrycia świadka, że istniał kiedyś taki świadek. Był spokojny, oddychał spokojnie i spokojnie wydmuchiwał z płuc dym, a jego dłoń, trzymająca papierosa, którego żarzący się koniec widział zawieszony nieruchomo w mroku, nie drżała, była spokojna także. Ale powichniem dawno spać, myślał z posępnym spokojem. To wszystko

dlatego, że wmieszałem w te sprawy Lisabeth. Trzeba raz na zawsze oddzielić wspomnienie Lisabeth od spraw, które były i są z tamtej strony żelaznej kurtyny. Trzeba się w ogóle od wspomnienia Lisabeth oderwać.

Podchodząc do okna, potknął się o but i kopnął go z siłą, tak że but przeleciał pokój i z trzaskiem uderzył o drzwi. Słuchał głośnego trzasku, aż przebrzmiał gdzieś w głębi korytarza i pstryknięciem palca pozbył się niedopałka przez okno. Patrzył, jak zatacza różowy łuk w ciemnym powietrzu, znikając nad pustym trotuarem. Wciąż myślał spokojnie, ale myślenie przychodziło mu ciężko, choć jego głowa była trzeźwa, jak rzadko kiedy podczas ostatnich upalnych dni nie ustającego nad Alpami i miastem *föhn*'u. Lisabeth od początku była obca, myślał, choć jakaś inna myśl mu zaraz podpowiadała, że nie o to chodzi. W gruncie rzeczy w jakiś kobiecy sposób rozumiała jego pracę, tylko nie potrafiła pojąć, że mógł łądować w nią tyle uporu, energii, siły i czasu, doświadczywszy już dawno, że nie ma szans na wygraną nawet jednej setnej rundy. A i nie o to też, myślał. Dla niej to, w czym się grzebał, było jedynie zalewem nieczystości ze Wschodu. Jej głęboko zakorzeniony szwajcarski zmysł porządku, jasności, umiaru, prawa i czystości bronił się przed tym zalewem. Nie chciała dopuścić, żebym tym wschodnim paskudztwem zabrudził jej życie, jej dom, myślał. Zagrożoną poczuła się jej przyrodzona wiara w pokonującą wszelkie zło moc wysiłku, dobrej woli, międzyludzkiej życzliwości. Ale winieniem raz na zawsze skończyć z myśleniem o niej, myślał później, gdy powrócił w stronę łóżka i chwilę się zastanawiał, czy rozebrać się, czy też jeszcze raz nacisnąć guzik magnetofonu, bo wciąż był przeraźliwie trzeźwy i nie czuł najślabszej nawet potrzeby snu. A wtedy spostrzegł, że dłoń, trzymająca zapalniczkę, usiłująca zapalić nowego papierosa, drży. Więc wpatrując się w chyboczący płomyk pomyślał: Niedobrze ze mną... Gdy zaś płomyk zgasł, wsłuchiwał się w ciemność i w swój oddech, wciąż myśląc jeszcze: Niedobrze ze mną, choć nie przychodziło mu do głowy, jak i dlaczego, a potem zawrócił na środek pokoju, włożył marynarkę, zgarnął z podłogi porzucone skarpety, wszystko jednym jak gdyby ruchem, następnie odszukał buty, z których jeden był pod łóżkiem, drugi w okolicy drzwi, i wyszedł szybko z pokoju, wiedząc że ucieka, ale nie wiedząc przed czym. Skarpety i buty włożył na boso stopy dopiero w jasno oświetlonym hallu, unieruchomiony na dole schodów na chwilę zdumionym spojrzeniem nocnego portiera, którego wzrok, jak szpilki, spostrzegł był, gdy już miał buty na nogach.

Kiedy znalazł się na ulicy, ruszył w kierunku jeziora. Odblask światła latarni i nielicznych tu wystaw był utopiony w stojącej bez ruchu mgłę, rozsypany, rozproszony zupełnie i zdawało mu się, że opływa go wraz z ciemnym powietrzem obojętnie, lecz łagodnie; ten nieuchwytny, wyczuwalny jednak wyraźnie dotyk miał w sobie coś kojącego. Tylko najbliższe, odległe na kilka kroków otoczenie dawało się przeniknąć wzrokiem. Ale wynurzające się z głębi ulicy, przejeżdżające samochody rozświetlały na krótko mgłę jak błyskawica i burzyły złudzenie bezruchu, ukazując jej gęstniejące kłęby, falami nachodzące na miasto. Po drodze nie spotkał żadnego przechodnia. Poruszał się w ciemnym powietrzu powoli, niemal bezszelestnie. Oddychał też powoli, ale głęboko, czując, że z każdym oddechem wypełnia się na nowo tą rozrzedzoną przez mgłę ciemnością, stając się samotną cząstką pustki i ciszy, nie odzywających się żadnym ludzkim głosem, i to było dobre. W końcu niczego więcej nie pragnąłem w życiu, myślał. Żebym mógł robić, co robię, czy to przyniesie pożytek dzisiaj, czy za sto lat. I żeby mnie inni nie popychali w tę czy inną stronę, ale dali spokój...

Dopiero gdy niemal zderzył się z kamienną obmurówką brzegu, spostrzegł powierzchnię jeziora, stojącą we mgłę, ciężką, nie ruchomą jak oliwa rozlana na żelaznej płycie. Sięgnął znowu do kieszeni w poszukiwaniu papierosa, ale zaraz zrezygnował. Tak jest dobrze, powtarzał w myśli. Tak jest najlepiej. Niczego więcej nie pragnąłem i nie pragnę, myślał patrząc na bezkłęskowe, zaciągnięte czernią niebo, rozjaśnione w dali nikłym odbiciem śniegu zalegającego góry i widział, a w każdym razie miał wrażenie, że widzi szczyty, ostrymi kreskami zamykające horyzont. Jego myśli były wciąż nieszybkie i spokojne, ale czuł, że jeszcze nieprędko zaśnie. Wreszcie powoli zawrócił i wydawało mu się, że idzie w stronę hotelu, lecz szedł prosto, następnie zaś nieco pod górę zweżającymi się uliczkami i zanim zdał sobie sprawę, że jest na starym mieście, już rozpoznał dom, w którym przez lata mieszkał, a przecież nie miał żadnego powodu, żeby tu przyjść. Zbliżył się jednak do bramy i tym razem natychmiast znalazł w kieszeni klucze, choć nie pamiętał, żeby je tam wkładał, a nawet jeżeli wkładał, to nie pamiętał w jakim celu. Mimo to bez namysłu otworzył bramę i nie nacisnąwszy guzika zapalającego światło na klatce schodowej, lecz idąc nieomylnie w ciemności, minął windę, wspiął się po schodach i włożył w otwór zamka kluczy. Kiedy próbował go przekreślić, drzwi od razu drgnęły i ustąpiły, a wtedy przez sekundę ani ręka, ani jego mózg nie chciały w to uwierzyć: drzwi nie były wcale zamknięte na

patent, lecz tylko zatrzaśnięte. Więc wchodząc do środka miał ściśnięte gardło, bo przez chwilę tysiące niedorzecznych myśli przelatowało mu przez głowę, z których każda dotyczyła bliżej lub dalej Lisabeth, zanim sobie wreszcie nie przypomniał, że był tu przed kilkoma dniami i sam pewnie jedynie je zatrzasnął. W końcu jednak z tamtego zaskoczenia i zdumienia nie zostało śladu, a jego oddech znowu się uspokoił, gdy na ślepo, ale zupełnie pewnym krokiem przeszedł mieszkanie.

A potem z szafy ściennej w korytarzu, prowadzącym do łazienki i ich dawnej sypialni zaczął wyjmować koce. Krótco każdy z nich badawczo miętosił w palcach i rozpoznawał węchem, gdy myśli tymczasem podpowiadały: To z plaży, albo — Ten kupiła, kiedy nas okradli w Mediolanie, albo — A to ten z leżaka na tarasie, albo — To z jej samochodu, i po kolei odrzucał, aż znalazł odpowiedni i wrócił do pokoju od strony ulicy, który był kiedyś jego pracownią, rozłożył koc na podłodze i położył się na nim w ubraniu, zdejmując tylko buty z nóg.

Leżał później na wznak, podłożywszy ręce pod głowę, jak człowiek z góry przekonany, że wciąż jeszcze nie nadszedł czas, ażeby mógł zasnąć. Rzeczywiście nie zasypiał. Patrzył na dwa pocięte paskami żaluzji, nieco jaśniejsze niż ściana prostokąty okien. Wdychał niedrażniący zapach cienką powłóczką pokrywającego podłogę kurzu, do którego mieszały się jakieś umierające resztki tych różnych innych, znanych mu dobrze woni, ciągnące z pozostałych pokoi i łazienki, razem tworzących teraz nieintensywny, ale wyraźny zapach opuszczenia, i zrazu nie myślał o niczym, ani nie chciał myśleć. Czekał, aż wzrok oswoi się z rozrzedzoną odbłaskiem dalekiej latarni ulicznej ciemnością, a gdy to się wreszcie stało, patrzył na gołe ściany oznaczone jaśniejszymi kwadratami i owalami śladów po obrazach, na puste kąty, stertę gazet i książek porzuconych przy kaloryferze, na czarny, przepastny otwór drzwi prowadzących do korytarza i stamtąd do sypialni, i po jakimś czasie dopiero pomyślał — Zapaskudzili mi dom, i następnie — Zapaskudzili nam wszystkim dom, a potem — Zapaskudzili trzydziestu pięciu milionom dom, poprawiając się zaraz prędko w myśli — Zapaskudzili kilkuset milionom dom, a jeszcze potem myślał o tym człowieku szalonym, siedzącym przy rozpalonym na suchej łasze śród bagien ognisku w otoczeniu tych czerwonych, słuchających go ze skupieniem i zgrozą partyzantów, i jak on im mówił, jak siedział wczepiony w osłizłe, splukiwane zimnym deszczem konary drzewa na skraju lasu i polany, a także, jak patrzył, jak tamci zasypywali ten dół. Jeszcze zaś później myślał o swym białoruskim przyjacielu, Profesorze z Ber-

lina, którego rodzice wyemigrowali z kraju pomiędzy Pińskiem a Mińskiem przed pierwszą wojną, zanim on się był urodził, i który, choć od wielu lat zajmował się historią Wschodu, widział ten wschód zamglony przez naiwne wyobrażenia zachodnio-Europejczyków, tak że nawet swego konającego bez oporu narodu nie potrafił już zrozumieć. I przypominając sobie wypowiedziane przez Profesora przed kilkoma dniami słowa: „W was, Polakach, musi tkwić jakiś ponadklasowy, ponadideologiczny, narodowy instynkt”, zastanawiał się czy to właśnie temu instynktowi Profesor przypisuje ową siłę pozwalającą przetrwać. I jak z owym instynktem i przetrwaniem w ogóle jest. W końcu z tymi myślami, nie zmieniając pozycji, zasnął.

Obudził się nie wypoczęty wprawdzie, ale pokrzepiony, z podniecającym niemal poczuciem lekkości. Nie spojrzął na zegarek, w pokoju zresztą panował wciąż mrok, ale wiedział, że czas jechać na lotnisko. Dźwignął się z koca, wsunął tylko stopy w buty, otrząpął z kurzu ubranie i poszedł do drzwi, tym razem zamykając je za sobą dobrze, jakby przekręceniem klucza chciał zamknąć pewien rozdział życia. Nie pamiętał dlaczego tu nocował, lecz nie zastanawiał się nad tym, nagle uprzytomniwszy sobie, że już nawet nie chciałby się wcale zastanawiać. Czuł się naprawdę dobrze, lekko i głowę zaprzętały mu teraz myśli o sprawach i pracach, które go czekają.

Szedł szybko mokrą od opadłej mgły ulicą, nad którą wysokie niebo zaczynało różowieć. Na dachach gruchały gołębie i synogarlice, z rynien kapało, po zapoconych szybach okien okolicznych domów ściekały strużki wody. Pierwsze ciężarówki rozwijające towar zatrzymywały się przed sklepami żywnościowymi, pracownicy zakładów oczyszczania miasta, ubrani w żółte kombinezony robocze, przystępowali do pracy. Na bulwarze nad jeziorem przyspieszył kroku, wstrząsały nim dreszcze, wywoływały jednak tylko ostrzejszą jeszcze trzeźwość i potęgowały nie zaznawane od dawna ożywienie. Pięć minut później jechał z walizką na lotnisko, po piętnastu minutach minął barierkę kontroli paszportowej i nieogolony, w przybrudzonej koszuli i wymiętym ubraniu wsiadł wkrótce do samolotu, myśląc, że po starcie pójdzie do toalety i doprowadzi się do porządku, ale kiedy samolot znalazł się wreszcie w powietrzu, zanurzając się w różowoniebieskie niebo nad Alpami, posypane jak pudrem delikatnymi obłoczkami *föhn'u*, zasnął powtórnie.

Obudził się dopiero, kiedy samolot zniżył się do lądowania nad berlińskim Tegel, z silnym przekonaniem, że historia wyło-

wiona dłoń przez Profesora od Osobnika z Misji nie może być zmarnowana. Nawet jeżeli istotnie tak jest, jak Profesor twierdzi, że w sensie naukowym nie przedstawia wartości. Żaden ślad, żeby nie wiem jak nikły, nie jest bez wartości. Nawet ludzkie sny, zjawy, przywidzenia, nawet majaczenia. Jest w niej przecież jądro, rozjaśniające obraz tamtych albo podobnych wypadków nowym snopem światła. To informacja o technice, myślał wchodząc prosto z lotniska w drobny, uciążliwy deszcz i tak duszne, nagrzane powietrze, że ścisnęło mu się serce. Ale czuł się dobrze. Pomyślał nawet, Dawno nie czułem się tak dobrze, od razu zajmę się tą sprawą, żeby nie przepadła w natłoku innych. Zanim poszedł do redakcji, umówił się telefonicznie z Profesorem u niego na wczesny wieczór.

Ale później, kiedy zbliżył się wieczór, nie czuł się już tak dobrze. Miał za sobą za wiele zajęć i pisaniny, którą zwykł nazywać młóceniem codziennej sieczeni dziennikarskiej w myśl hasła „na wschodzie bez zmian”, deszcz wciąż padał, choć drobniejszy niż z rana, i wciąż było duszno, jakby nagrzane trotuary i jezdnie zmieniały go od razu w parę. Znow siedzieli razem w pokoju, który odzwierciedlał dwa jak gdyby życia Profesora, gdzie obok szafek ze szkła, w których na szklanych półkach leżały starannie poukładane, do połysku odczyszczane, choć nikomu już niepotrzebne przyrządy medyczne, na podłodze zaś między szafkami piętrzyły się stosy byle jak zwalonych na posadzkę zakurzonych roczników gazet, różnojęzycznych encyklopedii, wszelkiego rodzaju leksykonów, zestawień statystycznych i demograficznych, broszur i książek, w tym pokoju, który był niegdyś Gabinetem Lekarsko-Psychoanalitycznym jego żony, a teraz służył mu za pracownię, stołowy i chyba od czasu do czasu za sypialnię także. Siedzieli na starych kanapach nieboszczki żony Profesora, przedzieleni zawalonym papierami i innymi rupieciami stołem, a stojąca na jego brzegu lampa jeszcze się nie paliła. Dziennikarz myślał: Będzie mnie nakłaniał, żebym z tego zrobił dla gazety jakąś *story*, a jednocześnie tego Osobnika z Misji nie zechce odsłonić, zdekonspirować, bo uważa, że nie należy zrywać nielicznych kanałów na wschodnią stronę, którymi można na to i owo wpłynąć, to i owo złagodzić. Co za bzdura!

Profesor nie podciągał rolet, w pokoju było mroczno i Dziennikarzowi wydawało się, że jest tu jeszcze duszniej, niż na dworze. Uświadomił sobie, że jego przyjaciel tych rolet nie podciąga od lat. Pomyślał, że być może, ażeby nie widzieć linii *S-Bahn*'u biegnącej po nasypie i słupach nad ulicami, nad murem granicznym, nad zasiekami z drutu i kozłami z betonu ku wschodniej

części miasta, aż do przystanku przy Friedrichstrasse. I żeby nie być zmuszonym patrzeć w głąb tamtego świata, bez ochronnych okularów naukowo sprawdzalnych statystyk, raportów, uczonych analiz i sondaży, pomyślał jeszcze. Dopiero teraz czuł w pełni to całe zmęczenie dnia wypełnionego pisaniną w redakcji. Półmrok, który pulsował parną wilgocią wydzielaną przez wszystkie betonowe pory ścian, działał odurzająco i krew płynęła w żyłach opieszale, uciążliwie, jakby nie była krwią, ale czymś gęstym, jak smoła. Siedzieli wciąż w milczeniu. Zresztą Profesor, zgodnie z rytuałem powtarzanym od lat, wpięrował się i rozlewał do szklanek alkohol, a potem wrzucał kostki lodu i znowu mieszał. Więc potem pili lodowaty płyn nie spiesząc się, małymi łykami, czując jak drętwieje im od niego język, wdychając jego cierpko-gorzki zapach i myśleli o minionym tygodniu, w czasie którego obaj (a wiedzieli o tym obaj dobrze), nim udało się im zasnąć, wielokrotnie słyszeli wciskający się w ich samotność zgrzytający żelazem odgłos hamowania kół pociągu na szynach leśnej stacji, łomot otwieranych i rozsuwanych drzwi wagonu, ich jęklivą skargę rozrywającą ciemność, przenikliwy szum deszczu i drzew otwierającego się przed pędzoną kolumną lasu, a później bieg tych ludzi pozbawiony tchu. Ale nie musieli jeszcze nic, czekając aż zgęszczona krew rozrzedzi się zwolna i popchnięta alkoholem zacznie płynąć w żyłach prędeej i swobodniej. Dopiero potem Profesor zapytał ostrożnie, czy on, Dziennikarz, nie zagubił czasem gdzieś tej jego taśmy i czy ją przesłuchiwał, a on, Dziennikarz, odpowiedział, że nie i że tak.

Profesor twarz miał pochyloną, jakąś zastygłą, lecz była w niej ledwo uchwytna ciekawość. W jego głosie też brzmiała ciekawość, jednocześnie coś każącego oczekiwać że to, co ma zamiar powiedzieć, nie będzie przyjemne ani dla niego samego, ani dla Dziennikarza. — Niełatwo ci to przyjdzie spożytkować. Nawet, gdyby ta kreatura podała tę historię do protokołu. A przecież nie poda. Ale nawet gdyby, to i tak będzie to wtedy tylko historia z drugiej ręki. Spodziewałeś się, że to powiem?

— Spodziewałem się. Bo dla ciebie liczą się fakty, które można opisać od początku do końca i od końca do początku, zaopatrując w przypisy o źródłach, w indeksy nazwisk i miejscowości oraz inne załączniki. Lecz ja, na szczęście, nie jestem uczonym sowietologiem. I nie jestem, jak ty, stamtąd z drugiego pokolenia, ale urodziłem się tam i spędziłem tam duży kawał młodości. Więc ta historia nie musi być dla mnie dodatkowo uwiarygodniana.

— Dla ciebie nie, może nawet dla mnie nie. Ale dla świata.

— Dla świata, który ty reprezentujesz — powiedział Dziennikarz. — Nie obawiaj się, nie mam zamiaru tego faceta dekonspirować. I tak nic więcej nie potrafiłby już powiedzieć. To jednak, co powiedział, mnie wystarczy. Jeżeli zaś ty z kolei nie spodziewałeś się, że ode mnie to usłyszysz, to jesteś największym osłem, jakiego spotkałem w życiu.

— Spodziewałem się — powiedział Profesor spokojnie. Siedział dalej nieruchomo, spoglądając w dół i jego twarz była zamysłona. — Choć może to nie z tej, lecz zupełnie innej masakry — powiedział po chwili z wahaniem. — Trudno sobie wyobrazić, żeby w czasie, kiedy zgładzić postanowili tysiące, teren nie był szczególnie obstawiony i pilnowany. Żeby jakiś człowiek zdołał się wymknąć...

Dziennikarz nie odpowiedział zrazu nic, upił tylko duży łyk ze szklanki. Lodowaty płyn, jak coś twardego, jakby był nie płynem, ale podłużnym kawałkiem żelaza, przecisnął się przez przelyk i schodził w dół, przyspieszając oddech. Jednocześnie opar ciągnący od okien przesunął się opieszale po jego spoconej skórze i zdawało mu się, że wskroś tego wilgotnego, nagrzanego tchnienia poczuł raptem tamten zimny podmuch wiatru wraz z uderzonym westchnieniem ziemi chłostanej deszczem, razem wzbijające się ku nawisłemu nisko niebu pozbawionemu księżycy i gwiazd. Teraz lampa na brzegu stołu już się paliła, ale w pokoju dalej było mroczno, światło obejmowało zaledwie ich obu. Odezwiał się, kiedy oddech mu się na chwilę wyrównał. — Odwrotnie. Przy takiej masakrze chce się mieć jak najmniej świadków wykonawców. Nawet, gdy z góry się zakłada, że i wykonawców z czasem się usunie. Ale usuwanie wykonawców, to przecież niewygodna. Więc lepiej, gdy jest ich jak najmniej. Poza tym, zauważ, działa tu pewne prawo ekonomiczne: im bardziej masowa produkcja, tym więcej błędów w wykonaniu, bubli. Kiedy zabija się pojedynczego człowieka, pięciu, dziesięciu, można to jeszcze wykonać względnie precyzyjnie. Kiedy jednak zabić trzeba tysiące, maszyna zabijania zgrzyta. Dodaj do tego pośpiech, noc, deszcz, wiatr, zdenerwowanie oprawców, ich przemęczenie, przeciążenie tą pracą, którą im nakazano wykonać, opór ofiar, bo przecież niektórzy się opierali, i różne elementy psychologiczne nadto... — Dziennikarz urwał, spostrzegł, że Profesor mu się uważnie przygląda.

— Według mnie nie ma w tej historii niczego, czego byśmy nie wiedzieli wcześniej. W każdym razie w zakresie faktów. Mnie tam coś innego uderzyło, i moim zdaniem jest bezcenne... Ten jakiś instynkt wspólnoty...

— Jak to rozumiesz?

— Że oni go nie wydali Rosjanom. Nawet komunizm nie zdołał im tego instynktu odebrać. Że on dla nich był najpierw Polakiem. A potem dopiero kimś, kto z punktu widzenia ich ideologii, ich przynależności do czerwonego oddziału, opowiada rzeczy... czy ja wiem jak to nazwać... wrogie. Przesłuchamy jeszcze raz? — I nie czekając na odpowiedź, zaczął przygotowywać magnetofon, gdy zaś Dziennikarz wyjął z kieszeni kasetę, nastawił ją, choć na razie nie naciskał guzika. Teraz obaj patrzyli na siebie w zamyśleniu i uważnie. — Czy nie jest to sprawa tłącej się w każdym z was straszliwej nienawiści do Rosji? — zapytał raptem Profesor. — Nawet jeśli dana osoba o tym nie wie, nawet jeśli to jest głęboko ukryte w podświadomości, przytłumione...? A nienawiść może być zarzewiem buntu...

Dziennikarz nie odpowiadał. Bo znów przez duszność wciskającego się między listewkami rolet wieczoru dmuchnął nań, zbliżył się doń tamten zimny wiatr od tamtego lasu, musnął mu bezszelestnie twarz, przenikając całe ciało krótkimi, nie chcącymi ustać, powtarzającymi się dreszczami. Więc przez chwilę zdawało mu się, że nie ma czym oddychać i że się udusi. — Puść wreszcie tę cholerną taśmę! — powiedział ze złością, starając się opanować to, co działo się z jego płucami. — Jeżeli już musisz raz jeszcze słuchać tego bełkotu, to słuchajmy!

Profesor nacisnął wtedy guzik magnetofonu:

„... więc panie, to mogło tak być (wymowna pauza i głos Profesora): to nie mogło tak być, ale tak było, zapewniam pana, że było... (i poirytowany głos Osobnika z Misji). Było, było! Ale teraz to i tak próżne pieprzenie, bo Sowietarze nigdy się już nie zgodzą na ogłoszenie prawdy. Była jedyna okazja za Gomułki. Ale Gomułka okazję ze strachu przed własnymi rodakami przesrał! Nowa się nie nadarzy, cudów nie ma! A jak sami Sowietarze nie ogłoszą, to, panie, świat i tak tego nie usłyszy, wiadomo... (odgłos przetykania, mlaśnięcie, odstawianie kieliszka) Mydło. Wszystkie kapitalistyczne koniaki mają taki sztych pod mydło. Trzygwiazdkowy gruziński lepiej idzie na język. Ale bez urazy, ten też da się pić... (znowu dźwięk odstawianego szkła) Tylko, że wtedy, kiedy ten wariat gadał jak najęty o tym transporcie, o tej gonitwie przez las i jak ich tam na polanie tłukli po dziesięciu strzałami od tyłu, to nikt z nas nie pomyślał, że to o Katyń chodzi. Dopiero później. Zresztą, kiedy on się do nas przypętał, to jeszcze żadnego Katynia nie wygrzebano. Wiedzieliśmy i to i owo z trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku,

mówiło się po cichu między sobą niejedno. Ale to nie to samo. Tamto było likwidacją starych klas posiadaczy, ot co! Dziedziców, kułaków, osadników wojskowych, różnych podpór przedwojennego reżimu, kościoła, reakcyjnej kontry! Ale kto by tam pomyślał, że jeńców wojennych. No nie, o czymś takim, to nie. Więc jak ten wariat gadał, to w głowie się kręciło, człowiek tracił grunt pod nogami. A potem to strach! (znowu odgłosy picia) Zresztą wariat, nie wariat! Jak gadał, to wariat, a jak chodził z nami po lasach, nie wariat. Bić się potrafił. Kto by się w nim rozeznał. Tyle że kiedyś był ranny w głowę i w ogóle... widać było, że dużo przeszedł. Więc mogło mu się to i owo pokręcić. Jednak, że był z naszych, to pewne. A jak z naszych, to co się inni mieli do niego przypieprzać, nie? Jak nic by go zaraz stuknięto za te jego antyradzieckie dyrdymałki, co ciągle opowiadał, gdyby się nasi nim zajęli. Choć nas, Polaków, w oddziale nie było pewnie więcej, niż z dziesięciu. Całe szczęście, że ci inni jakoś do niego potem przywykli, no i nie wszystko rozumieli, albo w ogóle nic. A z naszych nikt do majora z meldunkiem nie biegł, bo to już nasza była sprawa. Od oficerów politycznych też trzymaliśmy go jak najdalej. I tych pierwszych, z miejscowych, i później tych ze rzutów. Tylko że po jakimś czasie stało się dla nas jasne, że pokręcić, to mu się nawet mogło, ale nie tak znowu bardzo. Bo żeby nie wiem co to było, co on nam opowiadał, to stać się to musiało nie na terenie zajęтым przez Niemców. Nawet nie na naszym terenie zajęтым przez Rosjan. Ale że gdzieś w głębi Rosji, gdzie ich, tych, o których on opowiadał, pociągami zawieźli. I że nie przed paroma miesiącami, dużo wcześniej. Przed rokiem albo nawet dwoma. On miał tę dziką tułaczkę już długo w kościach (krótka pauza): Można sobie jeszcze jednego? (głos Profesora) Ależ, proszę (odgłos nalewania, stuk butelki) więc po jakimś czasie wszystko to zaczęło śmierdzieć. Każdy z nas dobrze wiedział, że tu kryje się gruba antyradziecka chryja. Nie mówię, że się nie wierzyło, ale wierzyć się nie chciało. I tylko każdy z nas myślał, że jak któryś z Rosjan usłyszy i oficerom politycznym doniesie, to rozwalą go jak dwa i dwa jest cztery. I jeszcze my za to do dołu pójdziemy, czy ja wiem zresztą co? Rozumie się... Zresztą pewnie i tak by do tego doszło. On gadał i gadał. I wciąż to samo. Całe szczęście, że na całe tygodnie przepadał, więc wtedy był spokój. Albo na całe tygodnie milkł, to też był spokój. Bo nasi ciągle mu mówili: ty się zamknij, idziemy w tamtą stronę, w tamte lasy, my ci już te doły, których szukasz, znajdziemy, tylko ty się zamknij. Komendant ma teraz inne rzeczy na głowie, jeszcze

będzie jakiś kłopot. Chociaż w stronę, to myśmy całkiem inną szli. Ale my ci te doły znajdziemy, tak my mu... (odgłos picia, westchnienie) Tyle, że on później, to chyba nie bardzo nam wierzył. I mawiał: wy macie mnie za wariata. Albo: ja, prawda, tego i owego nie pamiętam, ta kula, co poszła po czaszce, coś tam popsowała, ale nie jestem wariat. Już później od Rosjan, to trzeba go było siłą trzymać z daleka. Bluzgał przekleństwami. I wypadu robił na własną rękę coraz dłuższe. Zimował też nie u nas wcale. Licho wie gdzie. Między ludźmi w okolicznych wsiach pewnie. No, to nieraz myśmy już myśleli, że przepadł na zawsze. Ale potem znowu się pojawiał. Więc kłopot był coraz większy. Bo później doszły do nas te wiadomości z zewnątrz o Katyniu. Spotkani ludzie opowiadali, niemieckie gazety o tym pisały. A komendant i polityczni to robili zebrania i mówili, że niemiecka propaganda. I gazety zabierano. Choć przecież kręciło się w nich potem machorkę. Myśmy też mówili, że to propaganda. Ale ten i ów sobie myślał o tym wariacie i co on gadał. Więc dobrze, że on już do nas wtedy rzadko zachodził. Bo jak zachodził, to każdy mówił: zaraza nie człowiek, nieszczęście dla wszystkich jeszcze wygada. I trzeba go było pilnować już dobrze i izolować (odgłos picia, westchnienie)”.
I w tej krótkiej przerwie Dziennikarz powiedział twardo:

— Wyłącz!

— Daj spokój, wysłuchamy do końca — zaoponował Profesor.

— Znasz to tak samo na pamięć, jak ja. Wyłącz do diabła! Słuchać nie można!

— Co chcesz, przecież to prymityw...

— Nie o to chodzi!

— Więc dlaczego tak się denerwujesz? Masz coś znowu z sercem?

— Nie. Jestem zupełnie spokojny — powiedział Dziennikarz. Rzeczywiście był spokojny, w każdym razie wydawało mu się, a jednocześnie się dusił. Nic na to nie mógł poradzić.

— Chcesz może coś zjeść? Zaraz wyjmę z lodówki.

— Nie! Nie jestem głodny.

— Może jednak. Poczujesz się lepiej.

— Czuję się dobrze! Czuję się świetnie! Dawno nie czułem się tak świetnie. Mam znowu kawał wiarygodnego materiału, który mi uzupełnia tę historię. Dzięki tobie. Dzięki.

— Więc jednak chcesz napisać?

— Na razie nic jeszcze nie chcę. Mówię, że mam kawał wiarygodnego materiału, nic więcej!

— W sensie naukowym jest bezużyteczny...

— Już mi to mówiłeś. Ale wcale nie oczekujesz ode mnie, żebym się z tobą zgodził.

— Nie — powiedział Profesor. Jego spokojna, zacięta twarz o zapadniętych, ciemno podkrążonych oczach, z głębokimi, obwisłymi workami pod nimi była zdecydowana. — Nie. Bo jakkolwiek ty na to patrzysz, ja też jestem stamtąd.

— No właśnie! — I po chwili milczenia Dziennikarz zapytał: — Jak to się skończyło? Miałeś mi opowiedzieć. Wiesz coś o tym więcej?

— Tak — powiedział cicho Profesor. Zaczął opowiadać. Dziennikarz poczuł zapach gorącego kurzu wzniesianego na drogach przez kolumny posuwającej się w kierunku Wisły sowieckiej armii. Było to przedostatniego lata wojny, kiedy ci czerwoni partyzanci zostali wcieleni w regularne szeregi i na jakiś czas po tym wariacie, jak go nazywali (choć nigdy nie mieli pewności, czy wariatem istotnie był) zaginął wszelki ślad. Więc w ten sposób zaczęła odśłaniać się Dziennikarzowi jeszcze jak gdyby trzecia warstwa Osobnika z Misji. Bo w tej opowieści była twarda droga żołnierza, to jego codzienne żmudne zmaganie się ze śmiercią w okopach frontowych i potem beczynne stanie nad Wisłą, kiedy bezsilni patrzyli zza rzeki na stolicę w ogniu niemieckiej artylerii, stolicę konającą w powietrzu tak jasnym, słonecznym, że widziało się nurkujące nad dachami samoloty i zlatujące na domy bomby, niby wydłużone przez pęd i ciężenie krople srebrnej rtęci, na tę stolicę, której płomienie nocami zdawały się sięgać aż do głębi wściekłe roziskrzonego gwiazdami, równie bezsilnego nieba, i potem czekanie przez całą jesień, a jeszcze potem była zimowa ofensywa przez Wielkopolskę i Śląsk w śniegu, w ścinającym oddech mrozie i forsowanie Nysy, i oblężenie Berlina. Ale w tej samej opowieści, przepleciona z tamtym wątkiem, była już także ta, nasilająca się wciąż, intensywna praca ideologiczna politruków, przerabiania cierpliwie poszczególnych ludzi w posłuszną, stapiającą się zwolna w jedno masę, to ugniatanie duszy, przepieranie mózgow, uśmierzanie własnej refleksji, wymazywanie pamięci, usuwanie ze świadomości wszelkich wątpliwości, a potem coraz silniejsze przyciskanie butem piersi, tłumaczone słusznością dziejowego posłannictwa rewolucji. Więc on, Dziennikarz, tak jakby już widział go, tego Osobnika, jakim on wrócił później w te lasy.

No, nie były to te same poleskie lasy, co wtedy w czterdziestym drugim ani trzecim roku. Ani nie te w czterdziestym czwar-

tym na Hrubieszowszczyźnie. Były to lasy zamojskie, lubelskie, świętokrzyskie. A więc wcale niepodobne do tamtych. I lata były też wtedy dwa albo trzy później. On zaś, Osobnik, już wcale nie był partyzantem ani frontowym żołnierzem, bo wrócił do domu i zdjął wytarty, tu i tam przepalony, wyblakły mundur (tyle że nie przywdział czarnych zarękawków subiekta ze sklepu z towarami żelaznym, jakie przed wojną nosił, ani kupieckiego kitla), lecz ten wytarty, wyblakły, frontowy mundur zmienił na inny, nowy, oficera Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ci partyzanci natomiast, kryjący się wciąż jeszcze po lasach, zwani byli przez tamtych bandytami i tępiono ich z nienawiścią i zjadłością tym większą, że nawet niejedyn z tych, jak Osobnik, w mundurach KBW, w głębi własnej świadomości nie zupełnie, nie do końca być może przenicowanej, przydepniętej i zahartowanej jak stał do rewolucyjnych zadań, w tej zagadki kryjących przed nim samym w zakamarkach własnej duszy, uważał ich, tych nazywanych bandytami, za bohaterów, którzy pragnęli przedłużyć nadzieję na kraj rządzący się prawami, sprawiedliwością i tradycjami nie narzuconymi przez obcą siłę, choć, oczywiście, żaden nie przyznałby się do tego otwarcie, chyba że w śnie.

Więc Dziennikarz widział i to... Jak ten Osobnik w czasie jednej ze swoich licznych wypraw pacyfikacyjnych otrzymał tę elektryzującą go wiadomość. To była zupełnie konkretna, jednoznaczna wiadomość. Że tam na południowym skraju świętokrzyskich lasów włóczy się jakiś człowiek, co uciekł z Sowietów. Choć chyba nie to właśnie, że uciekł z Sowietów i że się włóczy po lasach go tak poruszyło. Po lasach wtedy włóczyło się wielu ludzi, a między nimi mogli włóczyć się i tacy, co uciekli z Sowietów. Ale w tej wiadomości tkwił tylko dla niego zrozumiały rdzeń. Że ten człowiek w rzeczywistości wcale nie włóczy się po lasach, bo mieszka, czy też kryje się u pewnej samotnej kobiety w jednej z tamtejszych wsi, natomiast włóczyć się po lasach to wychodzi niekiedy nocami, albo że on gdzieś na skraju tych lasów przesiaduje do świtu na drzewie. Więc ta wiadomość przekazana przez szpicla, która wywołała wesołość w komendzie jednostki, jego nie rozśmieszyła, on jeden przecież od razu wiedział, o kogo w niej chodzi.

To był styczeń. Kiedy ze swoimi ludźmi, rozlokowanymi w trzech jeepach, podjechał pod tę wieś, zaczynało świtać. Jeszcze było w popielatym mroku trochę księżycy, ale igiełki mrozu syjące się w suchym powietrzu nie miały więcej tego srebrnego, co nocą, lśnienia. To oboje nieco z boku za wsią rysowało się na śniegu czarno: niewielka chałupa, stodoła i jeszcze jeden bu-

dynek, pewnie chlew i obora, a może i stajnia. Świt się na wschodzie wyraźnie przejaśniał, gdy jeden z ludzi posłanych do sołtysa (którego zresztą wcale nie trzeba było budzić, bo wieś nie spała od chwili, kiedy tylko wjechali w jej opłotki i w coraz liczniejszych oknach zapalały się światła), powiedział, że to właśnie tam. Ale zanim zapuścili na nowo motory, patrzył w tę stronę, wciąż wprawdzie jeszcze podniecony pośpiechem z jakim jechali, już jednak przytłoczony myślą o wszystkich tych niewiarogodnych kłamstwach, którymi wymusił na szefie podjęcie akcji i to, żeby właśnie jego na nią posłał, i pełen rosnącej wściekłości na samego siebie, że się miesza w coś, w co nie musiał się mieszać, jakby chciał wyręczać los, czy nawet Pana Boga, dopiero wtedy czując tę sprzeczność między swoim komedianstwem a nakazem wewnętrznym, który kazał mu komedię odegrać, kiedy było za późno, żeby się wycofać. A potem usadowił się w pierwszym jeepie szybko i pełen z tą wściekłością pomieszanego lęku, żeby nie wpadła mu do głowy jakaś nowa myśl, jak z tej namotananej przez siebie sprawy wybrnąć, kazał jechać i chwilę później, gdy otaczali to obejście, zobaczył, że w jednym z okienek tej dwuizbowej chyba chałupy też błysnęło światło i pomyślał, że przynajmniej tu, w tym miejscu, udało mu się znaleźć wcześniej, niż został spostrzeżony. Ale kiedy popchnął drzwi, już podnosząc drugą, zaciśniętą dłoń, żeby w nie zastukać, a one ustąpiły, nie zatknięte od wewnątrz nawet zaszczypką, i niemal równocześnie w drzwiach następnych, prowadzących z płytkiej sionki do izby, gdzie świeciła się naftowa lampa, stanęła kobieta w średnim wieku, uświadomił sobie, że od dawna nie spała, bo była ubrana jak do wyjścia, włosy miała gładko zaczesane i w jednej dłoni trzymała chustkę, jakby ją właśnie chciała nałożyć na głowę. Więc do tamtej wściekłości, pomieszananej z lękiem, dołączyło się jeszcze zaskoczenie.

Może ją pozdrowił, może nie, tego nie pamiętał nawet kilka sekund później, a co dopiero po latach, ale spamiętał, że wkrótce ujął się w karby i zapytał, czy jest sama, ona zaś odpowiedziała, że jest sama, choć z głębi oświetlonej izby za jej plecami, z której wionęło nań zapachem mleka i jałowej owsianki, usłyszał płacz dziecka, widać z góry zakładając, że on może pytać tylko o mężczyznę, zresztą zaraz dodała, że mąż został zastrzelony w zeszłym roku; tak właśnie powiedziała, że zastrzelony, w bezosobowej formie. Wtedy on postąpił naprzód i odsunął ją na bok, choć wcale nie dotykając, i nakazał swoim ludziom, żeby szukali. Ona stała już więc nie w samych drzwiach, lecz przy ścianie, obok drzwi, wciąż z tą chustką w dłoni, jakby zamierzając nią nakryć

głowę, i przyglądała mu się spokojnie, choć niemożliwym do zniesienia spojrzeniem.

Przyglądała mu się, jak jego ludzie wpadli do izby i potem do tej drugiej po przeciwnej stronie chałupy. Jak zagląдали nawet do szuflad w komodzie, choć nie zmieściłoby się tam dziecko, a co dopiero dorosły mężczyzna. Jak odbierał po chwili raport od nich, że przeszukali także całe obejście i rozrzucili słomę w stodole, a nawet nakłuwali widłami siano na strychu nad stajnią i że nikogo nie znaleźli, ani po nikim podejrzanym żadnego śladu. Tym samym spojrzeniem przyglądała mu się również, gdy zaczął krzyżeć na nią, gdzie go, tego obcego, ukryła, gdy miotał się po sionce i klął, że niech nie stawia oporu, gdy jej wreszcie dotknął, złapał za ramię i nią potrząsnął, i zaraz jak oparzony puścił i odskoczył, i znowu krzychał, jakby tym krzykiem nie chciał już z niej czegokolwiek wydobyć (bo nie był to krzyk, który mógł cokolwiek z niej wydobyć, był to krzyk bez siły), ale raczej zakrzyżeć samego siebie, coś ukryć, coś zamaskować. I tym spojrzeniem przyglądała mu się jeszcze, gdy wreszcie krzyżeć przestał i zaczął znowu pytać, i kręcił, i wygadywał niestworzone rzeczy, których nie powinien był powiedzieć głośno, skoro jego ludzie stali za jego plecami i u drzwi na dwór. A wygadywał nie, żeby ją przechytryć, ale już jakby się usprawiedliwiając, aż z tej jego surowej, nadętej srogości człowieka reprezentującego władzę i siłę, podpartej obecnością tam za plecami kilku uzbrojonych ludzi, pozostały żalosne resztki. A ona wtedy wolno przeniosła wzrok z niego na nich wszystkich (był to wzrok bez niepokoju, może tylko nieco zdziwiony, to on stał między dwoma swymi ludźmi niespokojny, wspierając się na nogach twardo, jakby deski podłogi ugiwały się pod nim, już tylko mamrocząc coś pod nosem) i powiedziała — „Muszę iść do wsi. Jeśli jeszcze coś macie do mnie, to załatwajcie to prędzej”. Więc po raz drugi złapał ją wtedy za ramię i popchnął do izby, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, odgradzając ją i siebie od swych ludzi, i powiedział: „To jest jeden z naszych...”. A zaraz potem, pojawiwszy, że słowo „naszych” zostanie przez nią zrozumiane, jakby mówił o którymś ze swoich ludzi, poprawił się: „To jest jeden z oddziału partyzanckiego, w którym byłem w czasie wojny. Oni go zastrzelą, jeśli dostaną w swe ręce. Albo przekażą Rosjanom. Gdzie on jest?”. A ona od razu, nie czekając dalszych wyjaśnień, ale wiedząc o kogo mu chodzi, powiedziała spokojnie: „Już tydzień będzie, jak sobie poszedł. Wasi po lasach strzelają akowców. Więc jak pan naprawdę go zna i chce ostrzec, to wie pan też, gdzie go szukać”, i jej głos, gdy to mówiła, podobnie jak twarz,

był spokojny. Spokojny, niedrwiący, niegniewny, nieustraszony, chłodny.

Nawet teraz, w cichym, ale już zmęczonym głosie Profesora, gdy opowiadał, jakim trzęsącym się, łzawym głosem Osobnik relacjonował wydarzenia tamtego dnia (od mroźnego świtu na skraju wioski do niemal północy, kiedy potem okrążyli tę gromadę ludzi z wozem i końmi na leśnej polanie, położonej kilkanaście kilometrów dalej na południowy wschód), to Dziennikarz wciąż jeszcze wyraźnie słyszał głos tej kobiety. Chłodny, nieustraszony, niegniewny, niedrwiący, spokojny głos kobiety stojącej naprzeciw Osobnika w izbie za zamkniętymi drzwiami, gdy powiedziała, że on sam musi wiedzieć, gdzie tego, kogo szukają, szukać, jeżeli go naprawdę zna, bo przecież musi znać także jego zwyczaje, bo wie, że on jest z Katynia.

— To była kobieta prosta — powiedział Profesor — męża jej zabito, więc ona była po stronie tych, których ścigano, którzy musieli się ukrywać, do których strzelano. Ona go chyba przechowywała u siebie dłuższy czas. Bo jego tam w tej okolicy dobrze znano. Przedtem ciągnęło go w pobliże linii frontowych, potem w lasy, gdzie tropiono i strzelano niedobitki partyzantów. Ona go przechowywała też u siebie, gdy był ranny. Ale potem znowu powrócił do swej wędrówki. Zachodził do niej tylko od czasu do czasu i ona go opierała, obcierowała i dawała jeść. Jak wyżej na zapach zwierzyny, tak on szedł na odgłos nocnych strzałów. Była jakaś magiczna, przyciągająca go siła w ich odgłosie. On je słyszał, kiedy nikt inny ich nie słyszał, i szedł w tamtą stronę...

Więc Dziennikarz mógł sobie bez zbyteńnego trudu wyobrazić cały potem dzień, kiedy po powrocie z wyprawy do tej wioski po powiecie rozdzwoniły się telefony i rozbiegli na robotę szpicle. I jak Osobnik usiłował sprawdzić, gdzie ostatnio była przeciw partyzanckim oddziałom akcja. Bo, jak Profesor mówił, mówił mu Osobnik: „Kto wtedy w lesie chodził, do tego trzeba było strzelać”. A potem niemal dokładnie widział, jak późnym wieczorem znowu wyjechali tymi samymi trzema jeepami w teren i po zapadnięciu nocy dotarli do lasu od strony południowych stoków Świętokrzyskich Gór, gdzie przed kilkoma dniami przeprowadzano oblawę, w której on, Osobnik, nie uczestniczył, więc musiał jeszcze zahaczyć o jedną czy dwie gajówki, żeby dokładnie dopytać się o drogę, dopytując się nie tylko z wzbierającą, jak rano, i rosnącą wściekłością na samego siebie, że wmieszał się w coś, w co mógł się nie mieszać, dotknął czegoś, czego mógł nie dotykać, poruszając lawinę, której chciał zapobiec, a ona odwró-

ciła się i stacza się ku niemu, grożąc zasypaniem, ale z wściekłością pomieszaną z rozpaczą, z wściekłą rozpaczą, że tym razem ta droga prowadzi do celu i on będzie musiał zrobić to, czego zrobić nie zamierzał. I potem Dziennikarz też widział, jak niemal przed północą, zgasiwszy motory i zostawiwszy pod strażą jeepy, szli księżycem rozjaśnioną pośrodku, jak w dzień (bo śnieg, niby żywe srebro, skrzył się mrozem), szeroką przesieką leśną po jej cienistej stronie w ciszy aż dzwoniącej w uszach, aż ogłuszającej, że skrzypienia podeszew własnych butów zdawali się nie słyszeć, najwyżej od czasu do czasu krótki trzask pękającego, rozsadzającego klinem mrozu drewna, który rozlegał się jak chłaśnięcie bicza albo strzał. Aż w końcu posłyszeli w pobliżu ludzi.

On kazał tym swoim ująć go żywcem. Ale to był głos nie jednego człowieka ani głosy dwóch ludzi, lecz dużo większej gromady. A wkrótce ją zobaczyli. I stojący obok wóz zaprzęzony w dwa konie. To było za niewielkim zakrętem, gdzie przesieką otwierała się wprostokątną, wyciętą z trzech stron w lesie polanę, z czwartej zamkniętą nie wyższą niż po pas szkółką świerczków. To nie byli sami mężczyźni, tam były również kobiety i to wyglądało tak, jakby skądś, z okolicy, cała wieś tam na tę polanę wyległa, żeby pod osłoną nocy dokonać jakiejś czynności, coś zrobić, uporządkować jakieś sprawy, których nie mogła, czy nie chciała uporządkować w dzień. To było w pobliżu tej szkółki świerczków, więc żeby się zbliżyć, musieli wyjść z cienia ściany lasu, przejść ze dwadzieścia, albo trzydzieści kroków otwartej przestrzeni pod księżycem, skrzypiąc podeszwami na śniegu i już chrzęszcząc i łomocząc rymsztunkiem, bo biegli, bo zdawało im się, że muszą biec, żeby tamtych okrążyć. Ale kiedy dobiegli (zresztą może nawet jeszcze, kiedy biegli) nikt się z tych ludzi nie ruszył w ich stronę, a kiedy już ich otoczyli i potem się zatrzymali zadyszani, nikt nawet ku nim nie spojrział. I on, Osobnik, nie musiał wydawać rozkazu, żeby strzelać lub nie strzelać, albo żeby kogoś ująć, albo zacząć za kimś pogoń, bo nikt nie uciekał, nikt się przed niczym nie opierał, oni, ci ludzie, po prostu, jakby ich w ogóle nie dostrzegli, dalej wykonywali te swoje tajemnicze czynności, dla których wykonania na tej polanie nocą się znaleźli. Musiało upłynąć kilkanaście albo kilkadziesiąt sekund, zanim zobaczył, zanim dopiero uświadomił sobie, co to były za czynności, nad czym oni się tam pochylali, co przynosili. To były zeszytniałe, wyrabane motykami ze zmarzniętej ziemi płytkiego dołu trupy kilku mężczyzn, które oni układali obok na śniegu, pewnie żeby zaraz załadować na wóz. Oni po te trupy zeszlizli się na tę polanę nocą, widać nie mogą albo nie chcą

zrobić tego w dzień, i w nieruchomości księżycowego światła byli jak gromada czarnych żałobników nad rozgrzebaną w śniegu i ziemi otchłanią, ku której on, Osobnik, i jego ludzie nie śmieli bliżej przystąpić, zatrzymani nie tyle nagłym zamilknięciem tamtych, ile uswiadomieniem sobie, że są z pogardą ignorowani, odrzuceni, że nie istnieją dla tamtych jak gdyby wcale. I pewnie już wtedy zbili się w gromadę naprzeciw tej chłopskiej gromady, zwłaszcza, że on dalej nie wydawał żadnego rozkazu, nic nie mówił (i przypatrywali się tym ludziom w milczeniu, przez tamtych wciąż nie obdarzeni żadnym spojrzeniem), i może w końcu on by się ocknął i zarządził odwrót, gdyby raptem od strony wozu nie rozległ się krzyk.

Bo to był krzyk nieludzki, dziki, obłąkany. On, Osobnik, spojrział w tę stronę. Patrzył na tego człowieka, gdy się zbliżał wymachując laską w powietrzu i krzyczał, a usta krzyczącego lśniły od piany. To był dość drobny, kruchy człowiek o głowie dziecka i zasuszonej, pomarszczonej twarzy, jego ręka wymachująca laską też była krucha, drobna jak u dziecka, więc to nie mógł być człowiek, którego szukał. Ale jednak to pierwsze, pierwszym krzykiem wywołane przerażenie, które skoczyło mu do gardła, chwilę jeszcze podcinało mu nogi. Ten człowiek, starzec chyba, szedł przez gromadę chłopów i ich kobiet, skupionych wokół rozgrzebanego dołu, usiłujących go powstrzymać, wyrwijając im się z jakąś niebywałą siłą, strząsając ich z siebie, rozwścieczony wydzierając się nieartykułowanym krzykiem, to znów na przemian przeklinając, wywijając się im z rąk, jakby był z gumy, aż w końcu przedarł się i już był przy nim i jego ludziach twarzą w twarz, i tą laską grzmocił ich po głowach i grzbietach. A wtedy padł strzał. I to kruche, drobne ciało jak gdyby się nagle w jednej chwili rozsypało na śniegu, przybierając postać kupki skłębionych szmat.

W pół godziny później, gdy wracali swoimi jeepami do miasta, towarzyszący mu ludzie musieli go z całą mocą trzymać, gdy się miotał i wił na tylnym siedzeniu, wykrzykując wciąż to samo pytanie: „Kto wystrzelił?”. Profesor przypuszczał, że może on, Osobnik, sam. Więc pewnie później dał spokój tej sprawie ostatecznie, pomyślał Dziennikarz, i powiedział głośno, jeszcze na tym samym przyspieszonym oddechu:

— Już dla niego ta sprawa była zakończona...

— Dla niego tak. Choć musiał ją w sobie nosić, skoro nie zapomniał. Skoro, kiedy te wycinki i książki, co mu dałem, przeczytał, to przyszedł tu i opowiedział — odrzekł Profesor.

— Żeby się jakoś zrehabilitować? — zapytał Dziennikarz, znowu czując tamten przyływ duszności.

— Nie sędzę, zresztą nie wiem... — Profesor urwał, zamilkł; zdawał się wsłuchiwać w odgłosy miasta za oknami. Na dole przebiegł jeden z ostatnich pociągów *S-Bahn*'u na wschód, zwalniając na pobliskim wiadukcie. Słychać go było wyraźnie w przycichającym przed nocą szumie sunących ulicami samochodów, i jak zwalniał, zbliżając się do umocnień przy murze i do samego muru. Słuchał i czekał, aż ów przyhamowywany łoskot kół pociągu przebrzmi po tamtej stronie. Dziennikarz też zachowywał milczenie. Pół siedząc, pół leżąc na kanapie oddychał z trudem i, choć nie słuchał zacichającego dźwięku pociągu i nie myślał o nim, był on w obrębie jego świadomości i na brzegu jego myśli. W centrum jego myśli był jednak wciąż jeszcze Osobnik z Misji, siedzący przed kilkunastoma dniami na tym samym, co teraz on, miejscu na kanapie, być może nawet także obłożony tymi samymi w greckie wzory poduszkami, przywiezionymi z któregoś z urlopów przez żonę Profesora z Krety, wypchanymi morską trawą, które już były płaskie i ubite, a których Profesor nie potrafił się pozbyć. Dziennikarz patrzył i widział Osobnika, jego tłuste, poruszające się niepotrzebnie dłonie jak gdyby próbowały z siebie strząsać krople zbytecznie rozlanej (zapewne niejeden raz) krwi, niezdarne w swym przeczuciu zbliżającej się starości, zapadające na chwilę w bezwład i znowu zaczynające te różne niepotrzebne ruchy: do butelki z koniakiem, do kieliszka, podnoszące kieliszek do ust, odstawiające go z powrotem na stół, poprawiające włosy, ocierające chusteczką pot z czoła, mnące nerwowo tę chusteczkę, jakby zaopatrzone były nie tylko we własne samodzielne życie, ale i we własną pamięć dokonanych fatalnych czynów, od których już nie ma odwrotu, które to dłonie, poruszając się, usiłowały mu pomóc wydobyć na światło tę przez lata ukrywaną na dnie duszy opowieść, bo być może jej, tej duszy jakaś drobna, nieustępliwa cząstka, która nigdy się nie poddała i nie upodliła, podszeptęła mu, że jeżeli on to opowie i zaświadczy prawdzie, z którą musiał budzić się i zasypiać przez długie lata, to może (choć Profesor w to nie wierzył) się zrehabilituje i może kiedyś łatwiej mu będzie umrzeć.

— Nie sędzę, żeby dało się to wyznanie rozpatrywać w kategoriach prób rehabilitacji — powiedział Profesor.

— Więc jakich?

— Nie wiem. Ale nie rehabilitacji. Prędzej jakiegoś chwilowego odruchu. Może... tylko nie nazwij mnie znowu osłem, podświadomej, głuchej nienawiści was, Polaków, do Rosjan. W tym

wypadku także dodatkowo nienawiści ucznia do mistrza młodości, który zawiódł. Chęci osłabienia własnych zbrodni przez ukazanie zbrodni mistrza. Głównie jednak w kategoriach nienawiści. Ona was wszystkich łączy i trzyma. Was z tej i z tamtej strony barykady...

— Bzdura! To nie nienawiść.

— Nie nienawiść? Jak to nazwiesz?

— To coś dużo mniej, równocześnie dużo więcej! — wybuchnął Dziennikarz. — Ale nie sądzę, żeby to z nienawiścią miało coś wspólnego. To pewność końca Rosji. Wiara w nieuchronność jej końca. To wizja przebiegu tego końca...

— Nie rozumiem — powiedział Profesor.

— Rozumiesz! — powiedział Dziennikarz. — Aż tak zachodni nie jesteś. Choć się tam na wschodzie nawet nie urodziłeś, to aż tak zachodni nie jesteś. Rozumiesz. Nawet takie mięsożerne zwierzęta jak ten twój facet z Misji, które w życiu wielokrotnie węszyły za krwią i zabijały, teraz, kiedy straciły zęby i się zestarzały, ten koniec przeczuwają. Może stąd to jego wyznanie.

— Naprawdę nie rozumiem — powiedział Profesor.

— Rozumiesz — powiedział znowu Dziennikarz, a potem, czując że jego płucom wciąż brakuje powietrza, w rosnącym podnieceniu, gniewie niemalże, myślał i mówił — Nie mówię, że na Placu Czerwonym trzeciego Rzymu, w cieniu ruin Kremla i Mauzoleum będą się kiedyś pasły dziczące kozy... Jak, pamiętam, według kronikarzy z piątego, czy szóstego wieku na Forum pierwszego Rzymu... Choć sto, co ja mówię, pięćdziesiąt lat przed jego końcem kwitło tam bujne życie i biegły stamtąd rozkazy we wszystkie strony świata, uśmierzające, jak na skinienie ręki, wszelkie bunty w najodleglejszych prowincjach imperium. Ja w ogóle nie mówię, że historia się powtarza. Ale historia ma tak samo mało wyobraźni, jak ludzie kierujący polityką, życiem publicznym i państwami. Nie potrafią wyciągać żadnych wniosków z przeszłości, a więc ona musi formować się wciąż według podobnych sztańc. Ale dlatego też jestem pewny końca. Jego nieuchronności. Jak pierwszy Rzym musiał paść za swoje rozliczne łajdactwa, tak padnie ten trzeci. Za tych i innych pomordowanych, za miliony zgnojone w łągach, przy budowach tam, kanałów, kolejowych linii syberyjskich i linii gazociągów, za umarłych w kopalniach rudy żelaznej, złota, węgla, na tundrach, nad Białym Morzem, na Kołymach, za masowy głód na Ukrainie, za ludożerstwo z głodu, za rozrywanie rodzin, donosy syna na ojca,

brata na brata, za zabijanie w ludziach duszy, za największe zło, jakie zna historia, a także za to bez jęku powolne konanie narodu białoruskiego, na które ty patrzysz z rozdartym sercem i któremu próbujesz zapobiec, lecz nie umiesz, bo już twoja skóra wchłonęła za dużo tych zatrutych, usypiających czadów i oparów stąd. Mylisz się, to nie nienawiść nas trzyma i podtrzymuje, i każe działać. Raczej ta pewność. Nienawiść jest uczuciem ponurym. Ta pewność natomiast jest uczuciem radosnym i podniecającym. To to, co tak przeraża tych kilku szlachetnych Rosjan. Różnych Sołżenicynów, Amalryków, Bukowskich... Gdyż oni też są pewni końca i właśnie to ich przeraża... Że panowanie tego największego w historii zła skończy się totalnym upadkiem, dzikim buntem, rzezią wewnętrzną, nową pugaczowszczyzną, w której zginie, rozpadnie się i rozsypie ich matuszka Rosja, a co z niej zostanie, to będą okruchy tylko, jak po innych imperiach...

Więc to, co ich przeraża, boli i spać im nie daje, to mnie napawa radością. Bo napawa mnie radością wszystko, co sprawiedliwe, słusne i zasłużone. Bo, co zasłużone, słusne i sprawiedliwe, to dobre. Początek końca zrodził się już w tych ciemnych lasach, gdzie oni mordowali strzałem w tył głowy... W tym bólu, w przedśmiertnym jęku, w krzyku konania. Początek końca zaczął się w sponiewieranych, zhańbionych ciałach pomordowanych, a z sokami zhańbionej wraz z nimi ziemi przeszło to przekleństwo w korzenie drzew i te drzewa, te lasy ruszyły i idą ku Dunajnańskiemu Wzgórzu. Las Birnam ruszył już wtedy przed laty, kiedy oni tych oficerów gnali przez dwuszerę, wyłamywali, krępowali im ręce, po strzale kopniakiem spychali ciało w dół... i idzie. Mimo nakazu milczenia, totalnego zakłamania, fałszowania faktów, wymazywania z historii wydarzeń, cenzury, fizycznego i psychicznego przymusu i całej łżepropagandy. Las Birnam idzie, choć odgłos jego marszu jest niedosłyszalny. Idzie w przyszłość, nieubłagane zbliżając się pod mury trzeciego Rzymu na Dunajnańskim Wzgórzu i te mury kiedyś skruszy. Więc nie mów mi o nienawiści! Mnie nawet żal tych Rosjan mrących z przerażenia, bo to ich ojczyzna, której wielkość, acz zbudowana na nieprawości, jest im droga. We mnie... w nas nie ma nienawiści! Jest radość pewności końca, a to nie ma nic wspólnego z nienawiścią. Nie pomniejszaj uczucia, które rozpiera mi piersi, lepiej zamilcz, jeśli nie rozumiesz!

— Udusisz się tym uczuciem radości — powiedział Profesor. Zabrzmiało to jak ironia, ale w zdaniu tym nie było ani odrobiny, ani nawet drobinę cienia ironii.

Dziennikarz nie powiedział nic. Pół leżał, pół siedział i raptem

nie musiał wcale uciszać ani przyhamowywać oddechu, oddychał teraz normalnie. Zastanawiał się, czy ten gwałtowny, powtarzający się tego wieczoru parokrotnie, zatykający płuca i rozsadzający piersi paroksyzm duszności znowu powróci, wsłuchiwał się w swój oddech i pracę serca z czujną uwagą i ciekawością, ale nie powracał. Nie tylko oddech miał spokojny i serce pracowało spokojnie, nagle w nim całym też był spokój. Spokój i chłód. Po pewnym czasie spostrzegł falowanie rolet na oknach i przybrudzonych kurzem, dawno nie zmienianych firan. Przez cienkie, bambusowe listewki wciskał się do pokoju powiew wiatru, rozpraszając stężony, duszący opar lipcowej nocy, nagromadzony w ciągu dnia wśród betonowych ścian. Ale to nie było to, nie miało to nic wspólnego z tym, że nagle jego płucom nie brakło powietrza do oddychania. Gdzieś daleko na jakiejś wieży kościółka wydzwonił zegar drugą. Szum miasta na dole prawie zaciął zupełnie, zaczynały się martwe godziny przed świtem. Ale jego spokój teraz, jego uspokojenie serca i umysłu miało swe źródło gdzie indziej. Co on wie, myślał, co on wie, radość nie potrafi nikogo zadusić, chyba że byłoby już po wszystkim. A tego i tak nie dożyje.

— Chcesz wiedzieć, jak to się skończyło? — zapytał Profesor.

— Z tym facetem z Misji? Nie.

— Z tym oficerem. Z tym wariatem, którego nawet oni nie uważali za wariata.

— Pewnie go następnym razem zastrzelili — powiedział Dziennikarz.

— Może... zastrzelili. Jeżeli tamten zastrzelony, starzec... jak on twierdził, że starzec... rzeczywiście nim nie był — powiedział Profesor. — Albo może ta kobieta go ukryła i się nim zajęła. Ta kobieta pełniła w tej historii... jakąś rolę. Jestem pewny, że ważną.

— Więc nie wiesz...?

— Nie. W każdym razie nic konkretnego. Po prostu wtedy zniknął bez śladu.

— Tak ci on powiedział?

— Tak, że zniknął...

— Więc nie wiesz?

— Nic pewnego.

— Ale czy jest w ogóle pewne, że ten po wojnie, w Świętokrzyskich, to był ten sam, co przedtem, na Polesiu?

— Ten sam. On tak mówił, tu mu wierzę — powiedział

Profesor. — Kto z tych bandziorów akowskich siedziałby na drzewie, mówił. Tak właśnie: bandziorów akowskich. Jak gdyby od tamtego czasu nic się nie zmieniło. Jak gdyby oni sami nie zmienili w końcu kilkakrotnie swego języka. Widać była to wtedy jego szumna młodość. Tak w niego zapadła, że nie potrafi już inaczej mówić. Zwłaszcza, gdy się upije. Ale mnie w tym wszystkim interesuje naprawdę tylko jedno. Nie, czy to ma być próba rehabilitacji, czy ekspiacji. Zapewne ani jedno, ani drugie. Tylko to, że on i tamci inni Polacy w oddziale tego oficera Rosjanom wtedy nie wydali, że go, jakby to powiedzieć — konspirowali...

Dziennikarz nie powiedział na to nic.

— Więc istnieje u was jakiś ponadklasowy, ponadideologiczny instynkt wspólnoty... — dorzucił z uporem Profesor.

— Nie zaczynaj dosiadać znowu swego konia — przerwał Dziennikarz.

— A jednak.

— Nie, nic takiego nie istnieje! W każdym razie ani w mniejszym, ani w większym stopniu niż u innych narodów. Jeżeli już miałoby to o czymś świadczyć, to może tylko o tym, że już wtedy pewne zbrodnie, nawet dla takich ludzi jak ten facet z Misji, nie były do przyjęcia. Że już wtedy rodziło się w nich przeczucie, albo nawet strach, że zbrodnia obrócić się może przeciwko sprawcom zbrodni, że te lasy pełne pomordowanych kiedyś ruszą w przyszłość. A teraz sypią, bo wiedzą, są już pewni, że tak się stało.

Tym razem to Profesor nie powiedział nic. Wstał z kanapy dopiero po chwili, zebrał ze stołu szklanki po alkoholu wraz z pustą butelką i idąc do kuchni, rzucił za siebie: — Przyniosę ci koce. Nie ma sensu, żebyś jechał teraz do hotelu. Jeżeli się zaraz położysz, złapiesz jeszcze z kilka godzin snu. — Potem z kuchni dochodził jego głos, gdy monologował: — Wszystko jedno, co to jest: nienawiść, pewność końca, bunt, czy nawet wyrzuty sumienia, zawsze możesz z tego coś zrobić... Nawet jeśli ta historia w sensie naukowym... — i już jego głos w głębi mieszkania zanikał.

— Oczywiście, że coś zrobię. Czy przyniesie pożytek dzisiaj, czy za sto lat — powiedział Dziennikarz, choć wiedział, że przynajmniej go nie słyszysz. Pozbył się już lęku, że to coś, co tkwiło w tej historii, przerasta go. I że nie ma ona znaczenia, albo że tykać jej nie warto. Jak pozbył się poprzedniej nocy w Genewie myśli o Lisabeth i wielu innych myśli, które nie dawały mu ostatnio spokoju; aż nagle przepadły. Oddychał głęboko i lekko

i czuł ulgę w całym ciele. Lecz gdy zamknął na chwilę oczy to znowu, po raz któryś tej nocy i tak jak przedtem, w czasie całego ubiegłego tygodnia, od kiedy Profesor pierwszy raz opowiedział mu tę historię i wypożyczył taśmę, ujrzał tamten las pełen widm przeszłości. Ale oderwał się od nich szybko; był teraz naprawdę zupełnie spokojny. Myślał z chłodnym spokojem: Może paść jeden człowiek, mogą paść nawet tysiące, ale nie można zabić w człowieku wiary, że to kiedyś się skończy. Gdyby ten, kto zabija, był zawsze zwycięzcą i nie musiał zdawać sprawy ze zbrodni ani za nią płacić, świat byłby niedorzeczny. To prawda, że Kain zabił Abła. Ale niemożliwe, żeby nie musiał myśleć o tym później z przerażeniem. Nie mów mi, że my, Polacy, lubimy rozdrapywać rany i rozdzierać szaty, nie mów, że nienawidzimy. Chociaż ty nienawiść podniosłeś do rangi uczuć pożytecznych, w każdym razie upatrujesz w niej źródło siły, która pcha do buntu. My tylko pamiętamy i cierpliwie patrzymy w oczy zbrodniarzowi, czekając aż w jego żrenicach pojawi się spóźnione o dziesiątki lat odbicie twarzy ofiary. Czujesz się zawiedziony, że nie mogę się zgodzić z twymi abstrakcyjnymi teoriami i przypuszczeniami, choć pewnie moje są dla ciebie równie abstrakcyjne. Ale naprawdę to dzieli nas tylko jedno: ja nie potrzebuję naukowych uzasadnień dla swojej wiary, że ten las idzie i dla swojej pewności, że dojdzie. Bo mimo lat, jakie przeminęły, jestem wciąż stamtąd i nie zatrąły mnie te czady zwątpień i rozkładu stąd. Może istotnie w ludziach jest niewiele miłości, ale jest za to dużo przerażenia, pamięć zbrodni i wyobrażenia. Dlatego on, ten las, dojdzie do Dunzynańskiego Wzgórza, tak musi być. Inaczej nie byłoby żadnego porządku w historii, a pewnie i w naturze...

W STEPIE, W OSTACH I BURZANIE

Nie zostawiajcie mnie w spokoju! Nie porzucajcie dla waszej gadaniny, pisaniny, krzątania, starań przynoszących drobne zyski, powszedniej zapobiegliwości! Dla waszych zajęć pomiędzy kuchnią a odpływowym kanałem klozetu i kubłem na śmiecie, między ciułaniem pieniędzy a ich wydawaniem, między myślą o procentach od oszczędności albo kapitału, o podatkach, rachunkach za gaz, zepsutym telewizorze, kupnie nowego mebla, niedrobionym zadaniu szkolnym syna, palącym marihuanę przyjacielu córki, filmie o subtelnych psychopatach kopulujących z własnymi dziećmi, nagrodzonym najwyższą nagrodą na najświetniejszym festiwalu filmowym świata. Ani w pędzących autostradami samochodach, z których widoki z okien o intensywności aż bolesnej ledwo drażnią naskórek waszej znudzonej wyobraźni, ani w górach, których krajobrazy nieuchwytnie, zamglone i nagie tak ukochałem w mojej młodości, że umierałem z nimi po tysiąckroć, zanim umarłem naprawdę na płaszczyźnie tak rozległej i bezkresnej, że przywodziła na pamięć jedno z wcieleń piekła nadrealistów, ani nad brzegami morza, na tych wybielonych jak kość żarem plażach, gdzie wystawiacie na słońce swą na złoto i brąz spaloną skórę, a fala jak domowy pies łasi się do stóp, której szmer daleki wciąż słyszę jeszcze, mimo coraz głuchszej nade mną ciszy. Nie zostawiajcie mnie samego drząc nocą w ramionach tych wspaniałych kobiet, których ciała potrafią ukoić każdy ból mężczyzny; nie zostawiajcie mnie i nie zapominajcie na zawsze, zasypiając uspokojeni i syci, i śniąc obietnice następnych poranków...

Niech obudzi was lodowaty wiatr znad Wołgi, którego przeciągłe zawrodoenie wciąż przekrzykuję swym słabnącym głosem!

Otwórzcie jeszcze choć raz oczy ze szronem na rzęsach i powiekach, jak wtedy, kiedy wypadając z baraku z rozpędem w nieodsłonięty niczym mróz zapierający oddech, w ciszę stojącą jeszcze wśród budynków zony w nocnej poświacie jak w starej pleśni, nad którą tylko granatowa nieskończoność białego obłoku Mlecznej Drogi i gwiazdy, i jaśniejąca Wielka Niedźwiedzica i Orion, że gdy wyteży się dobrze słuch, słyszy się ruch i obroty obcych, dobrych światów; i spójrzcie potem na rzekę wyłaniającą się z mgieł w bieli kry i splątanego czarnego żelastwa, na rusztowania tamy jarzące się setkami rozkołysanych na drutach żarówek nie dających ani trochę ciepła i zapalających się niebiesko i gasnących srebrnym spięciem w syku palników acetylenowych, prowadzonych ręką wolnych spawaczy, zawieszonych nad przepaścią na linach, jak pająki, też niewolników, jak my. Budowaliśmy tę tamę dla Rosji od wczesnej jesieni i przez tę najzimniejszą z zim, jaką pamiętam, i nie nasza wina, że tak niewiele widziało jej ukończenie i pożytki przynoszące waszemu nowemu, wspaniałemu światu. Zaszuchani w międzyplanetarny chrobot iskrzących się gwiazd wyteżcie słuch bardziej jeszcze, a dosłyszycie być może nasze suchotnicze oddechy i jęk pustych trzewi, a nawet krzyk dobijanych kolbą za zoną.

Zaraz zabrzmi w ciemności pobudka. Więc jeszcze raz ustawcie się z nami pośpiesznie w kolejce do latryny, w biegu zrywając z siebie wasze łachy i przytrzymując je zdrętwiałą dłonią, która nie odzyskała wciąż uczucia, śpiąc jeszcze na jawie, z zacerwienionymi jak rozdarłe rany oczami, które nie wiedzą, że płaczą z zimna, bo łzy nie kapią, zamarzając natychmiast, w pół widząc, wypatrując brygadiera, kiedy wynurzy się gdzieś z głębi masy baraków i krzyknie, że niosą poranną zupę. Gdyż biada tym, którzy się spóźnią.

Jeszcze jest noc, choć zaczyna się już dzień, choć go jeszcze naprawdę nie widać, a tylko Orion obniżył się nad step za rzeką i kilka ośnieżonych drzew samotnych na przeciwnym brzegu wynurza się z rzednącej ciemności, mierzając nagimi gałęziami w naszą stronę, jak maszynową bronią. Na teren za zoną zaczynają nadciągać czarne kolumny nocnej zmiany, wymacywane światłami reflektorów z wieżyczek i przystają sto metrów przed kolczastymi drutami i wyżkami najeżonymi strażą. Niosący się stamtąd głos odliczających i meldujących stan przewodników brzmi bezosobowo i obojętnie, tylko tak straszliwie niecierpliwie łomot zbiorowego przytupywania i kaszel, który rozdziera powietrze salwami. Kolumny formują się znowu w czwórki i ruszają, a u szerokiego wejścia, nad którym powiewa transparent z napisem

„Przez pracę do socjalizmu”, orkiestra na podium z belek gra Poloneza Czajkowskiego z Eugeniusza Oniegina. I znowu skrzypli śnieg pod tysiącami nóg, i znowu utysiąkrotniony kaszel wstrząsa powietrzem czystym jak źródłana woda, ostrym jak kryształ, i parują ciała, i niesie się zgęszczony smród brudu i flegmony, a psy przytrzymywane przez bojców na rzemieniach szarpia się i szczekają.

Ale jeszcze zwałam się w śnieg, który za latryną jest nietknięty, miękki jak aksamit, jeszcze marne złudzenie kilku sekund snu; blaszanka wypada spod fufajki, szukam wokół siebie ręką i kiedy natrafiam, przymarza do palców; lecz teraz już trzeba naprawdę zebrać się w sobie, każda chwila droga, plac zaraz znowu się zaludni. I wreszcie na nogach. Więc teraz, chwając się, do stołówki; każdy krok jest wysiłkiem podejmowanym z nadzieją, choć bez wiary, że się uda. A potem już w ciasnocie u wejścia do stołówki, gdzie nasz *dniewalny* przelicza, formuje nas w grupy według wczorajszej normy, a do mnie, Ty won! mówi i, nie patrząc, odsuwa na stronę. Więc powinienem był wiedzieć, może nawet wiedziałem, ale wiedzieć nie chciałem...

Dlatego popatrzcie raz jeszcze i przypatrzcie się (ta chwila jest ważna), jak teraz wlokę się w wietrze targającym moją szmatką na strzępy fufajkę, pokonując jego zimny oddech, na śmietnisko za kuchnią, gdzie w mroku walczą szkielety *dochodzą*ów o jakąś porzuconą wśród brudów główkę od śledzia, albo zgniły odpad brukwi, albo wyrzucone z kantyny oficerskiej kości, w których ukryć się mogła resztką szpiku. Słuchajcie przekleństw, mieszających się ze złorzeczeniami, a później pojedynczych urywanych szeptów, mlaskania, ssania i żucia. Bo ludzie mimo wszystko kochają więcej życie od dobroczynnej śmierci. W moim pustym mózgu tłuką się dwie myśli: ileż to już dni nie wyrobiłem żadnej normy, i że kto nie pracuje, ten nie je. A potem trzecia, też osobna: kiedy to ostatni raz śledczy pytał mnie o nazwisko i paragraf? Wczoraj? Przedwczoraj? Czas się miesza, zaciera. Przeszłość, to są tylko te tygodnie, kiedy pracowałem na boczniczy kolejowej przy zładowywaniu bali. Reszta przepadła. Wyrabiałem wtedy sześćdziesiąt procent i jeść dostawałem z trzeciego kotła. Zanim coś nie trzasnęło w kręgosłupie. Bo potem już byłem do niczego. Choć przy tym zwożeniu taczkami piasku do jednej z mieszarek betonu na tamie starałem się jak mogłem i *lek-pom* powiedział, że nic mi nie jest. Więc teraz patrzcie, jak wlokę się na apelowy plac głodny, bo kto nie pracuje ten nie je, a na śmietniku nic nie znalazłem. Ale gdzieś w ostatnich drobnych ciepłej krwi wciąż jeszcze pulsuje beznadziejna nadzieja.

A teraz już na placu. Lecz podbiega nadzorca i krzyczy, słowa nie docierają, pochłania je apelowy gwar, a brygadzysta odsuwa mnie na bok; jego spojrzenie jest zimne, badawcze i dalekie. Teraz ja z kolei krzyczę. Miotam najokropniejszymi przekleństwami, jakie ten ich język tylko zna, choć moje wargi ledwo się poruszają, nie wydając nawet szeptu. I brygadzysta zawraca, i znowu to spojrzenie dalekie, jak by się namyślał, a potem wciska mi pajdkę chleba, nie większą niż pół dłoni; widać jest dobry. Nigdy nie pomyślałem o nim w ten sposób, że jest dobry, pewnie go nie zdążyłem poznać, w obozie każdy zajęty jest nazbyt samym sobą. Więc teraz posłuchajcie mojego żucia. Żuję tak długo, że zapominam o świecie. Tak długo, że już zaczyna się apel. Wlokę się ustawić w szeregu. Ludzie mieszają się jak piasek. Czuję wprawdzie mdłości, powinienem był pamiętać, żeby nie jeść od razu, od wczoraj nie jadłem nic, ale jest cieplej, i gdy ustawiam się w szeregu, jest dobrze.

Zaczyna sypać śnieg. Nie z góry, lecz idzie z wiatrem, z dołu, który podrywa się od Wołgi i niesie białą kurzawę najpierw po nogach, po butach z opon, po walonkach, łapciach, po umocowanych drutem onucach, potem się podnosi chłuszcząc po udach i po plecach. Tymczasem nas ustawiają, przeliczają, znowu ustawiają, część ciała od strony rzeki traci czucie, jest dziś nie mniej niż czterdzieści stopni niżej zera; znowu nas przeliczają. Szron zatyka nozdrza, ale zaraz będzie cieplej w marszu, jeżeli nie popędzą nas pod wiatr. Wtedy brygadzysta znowu wpada na mnie piersią i z krzykiem odstawia na bok. Więc dziś nie idę za zonę. I znowu nie będę jeść.

Więc jeśli mnie jeszcze nie straciliście z oczu, to widzicie zapewne, jak przysiadam w śniegu na skraju placu; powinienem był wiedzieć, być przygotowany, zawsze jednak w końcu dzieje się tak, że to spada na człowieka, jakby się nie wiedziało nic, jakby nigdy nie było oczekiwane i mogło się przytrafić każdemu, ale nie samemu sobie. Teraz kolumny dziennej zmiany, z której mnie wypchnięto, zaczynają mnie mijać; widzicie je? Czy słyszycie? Słychać krzyki brygadzystów, nawoływania straży, idą stachanowcy, spryciarze, symulanci, czarna masa, potem już tylko sama czarna masa powłócząca nogami, setki, nie przeliczysz. Orkiestra na oświetlonym podium znowu grzmi Poloneza, już nie widać poszczególnych ludzi, tylko długi czarny wąż kolumn za bramą, obrastających prędko bielą. I jest coraz zimniej. Po-tem i myśli zamarzają. Choć jedna wciąż się jeszcze tłucze po głowie osobna, samotna, grzejąca, przyspieszająca strumyk krwi przeciekającej przez serce: wspomnienie tych kilku tygodni na

bocznicy przy wyładowywaniu bali. Nie widziałem wtedy jak wygląda prycza w baraku. Wychodziłem przed świtem, wracałem w nocy, szesnaście godzin roboty na dobę, dziesięć kilometrów w każdą stronę, ale miałem za to prawo do trzeciego kotła.

Próbuję trochę spać. Potem naprawdę śpię, czując ciepło podetkniętej jakąś nieznaną ręką pod brodę miski zupy, zapach miski zupy, smak miski zupy, kaszy, połci mięsa, tłuszczu, ktoś mnie jednak potrząsa za ramię. I wprawdzie widzę czarne buty, a potem widzę nade mną bojca, którego zapewne i wy widzicie, jeżeli słyszycie moje wołanie i mój szept. Jak potrząsa mną wcale nie brutalnie i podnosi za ramiona, bo zamarłem jak kłoda drewna. I widzicie, że nie jestem sam, jest nas tu na skraju placu cała gromada podobnych do mnie cieni, otoczona teraz przez bojców z nastawionymi na karabiny szpikulcami bagnetów. Więc będzie jeszcze jeden apel. A potem i my pójdziemy za zonę. Tylko że bezładną gromadą pod wzmocnionym konwojem. I konwojenci już nie niecierpliwiają się, nie krzyczą, nie popędzają i nie prowadzą na rzemieniach ujadających zajadłe psów.

Nie spuszczaście nas z oczu, jak posuwamy się ku bramie w świetle reflektorów. Ani rusztowań tamy przecinającej rzekę, w której ukończeniu nie dane nam było uczestniczyć, wyłaniającej się z szarości poranku, czasem niknącej na krótko w zawirusze białej kurzawy, oddalającej się coraz bardziej w głąb rozjaśnianego się zwołna na horyzoncie nieba. Nie spuszczaście nas z oczu w stepie, który otwiera się za zoną nieskończonością marszczącego się, jak fale morza, śniegu, przesypującego się w wietrze sucho i szeleszcząco, w stepie, który wiosną tak samo sucho i szeleszcząco kołysać będzie nieustający ruch fal zielonych i pływających traw, rozbijających się o kępy ostów i burzanu, wynurzające się, jak samotne wyspy, gdzie moja wypełniona teraz gliną czaszka krzyczy jak oszalała — Nie zostawiajcie mnie w spokoju! Nie porzucajcie dla waszej gadaniny, pisaniny, krzątaniny, starań przynoszących drobne zyski, waszej powszedniej zapobiegliwości! Nie porzucajcie, nie zapominajcie! I gdzie moje szczęki, z których już wcześniej wypadły zęby, wciąż jeszcze szepcą, Ojciec nasz... jest w niebie... święte imię Twoje... Módl się za nami grzesznymi... Wybacz nam nasze winy... Jako że my nie wybaczymy naszym winowajcom... Tak w ich godzinie śmierci, jak w godzinie śmierci naszej... Amen...

SPIS RZECZY

<i>List</i>	7
<i>Bóg z Tobą, synu</i>	31
<i>„I Duch się skupił w jedno ziarno”</i>	49
<i>Pod murem</i>	61
<i>Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las</i>	73
<i>W stepie, w ostach i burzanie</i>	117

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Październik 1984

	Stron	F.
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1982-1984), T. III	256	80,00
Bronski, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> . Kultura (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawnicza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej</i> <i>w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdynand</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie</i> . — <i>Wędrówki po Argentynie</i>	256	50,00
Głos („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herbert, Z.: <i>Raport z obleżonego miasta</i> (Wiersze)	88	40,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1980-1983) ..	346	95,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Holzer, J.: „Solidarność” 1980-1981 (Geneza i historia)	360	95,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januskiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kozeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotrus</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Masć na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrożek, Sł.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i>	84	40,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Notatki z codzienności</i>	160	50,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i>	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka</i> w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982)</i> . Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Rozmowy polskie latem 1983</i>	160	60,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00

	Stron	F.
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkola zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne</i> przez Leopolię	176	55,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Israel w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. II/III	968	66,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 69 (sierpień 1984). Cena pojedynczego Zeszytu		60,00
Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).		

Prenumerata KULTURY na rok 1985:
rocznie — F.400,00; półrocznie — F.220,00.

Prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH na rok 1985:
rocznie — F.240,00 (pojedynczy Zeszyt — F.60,00)
(dla prenumeratorów KULTURY — F.220,00).

ACHEVE D'IMPRIMER
Le 19 OCTOBRE 1984
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1984.

N° d'imprimeur 6620.

